Czy Polska jest bezpieczna ▪ Fenomen Antoniego Dudka ▪ On urządzi Niemcy
Dobry jak faryzeusz ▪ Bóg Jordana Petersona ▪ Oswojony wampir ▪ Motyle na śniegu

Kraków 19 – 25 lutego 2025 nr 8 (3946) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Czy Ameryka opuszcza świat

SZANSE UKRAINY, WYZWANIA DLA EUROPY, OBOWIĄZKI POLSKI

STRONY SPECJALNE
MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA
SOS WIOSKI DZIECIĘCE
Nie muszą mieć Twoich genów, żeby odziedziczyły po Tobie wszystko co najlepsze.
Pomóż stworzyć dom dla opuszczonych dzieci i przekaż 1,5% podatku na SOS Wioski Dziecięce.
1,5% KRS 0000 056 901
dziecisos.org

KS. ADAM

Boniecki: *Faryzeusze, kwestia wieku i zawodu*

Skąd się to w ogóle wzięło i co naprawdę znaczy? Faryzeusz – określenie, które przylgnęło do ludzi, którzy inaczej mówią, a inaczej postępują. Obłudnicy, zakłamani, tchórzliwi. Faryzeuszem zwykliśmy nazywać człowieka zakłamanego, niby życzliwego, gdy w gruncie rzeczy jest wrogi. Chociaż nie, raczej to ktoś słaby, bez kręgosłupa moralnego. Jest taki, jakim być w danej sytuacji wygodniej. Faryzeusz chwali nas, gdy to mu się opłaca, a przynajmniej nic nie ryzykuje, który okazuje się jednak zdrajcą, kiedy tak mu jest wygodniej.

Nie wiem, czy tacy byli wszyscy współcześni Jezusowi faryzeusze, ale postawa określana w ten sposób nie jest obca Chrystusowi – spotykał i takich. Faryzeusze nie byli kapłanami, ale ich autorytet, jako myślicieli, w miarę wydarzeń historycznych rósł. Określano ich także jako „uczonych w piśmie". I Jezus chętnie z nimi rozmawiał, nawet się spierał, wykazując w niektórych kwestiach większą surowość. Ale zostawmy faryzeuszy badaczom dawnych dziejów – o tym, jak to z nimi było, piszemy w dziale Wiara. Teraz zatrzymajmy się na faryzeuszach nam współczesnych.

Są zawody, które zdają się wręcz prowokować do „faryzeizmu" (mniejsza o nazwę). Niestety, faryzeuszami w tym złym znaczeniu bywają duchowni. Noszą długie szaty, albo i niedługie, lecz akcentujące ich zawód. Mówią piękne rzeczy, których się nauczyli w seminarium, głoszą nauki innym, podczas gdy sami... No, nie zawsze, nie we wszystkim... Żyją odcięci od normalnego życia, powołują się na głos Boga, który jakoby usłyszeli (powołanie), ale lata płyną, a oni jeśli nawet kiedyś coś słyszeli, to zapomnieli lub jakoś to sobie wyjaśnili. Pan Bóg nie wypełnia ich życia (ile można?), lecz wynaleźli inne rzeczy (godziwe), które im zajmują czas i zaprzątają uwagę. Ich wakacje, ich czas emerycki, ich starość i wreszcie czas stawienia się przed Panem Bogiem. Tajemnica śmierci.

Tak, bycie księdzem wprost prowokuje faryzeizm. Od księdza zawsze się spodziewamy stanu, który tylko czasem i tylko niektórym jest dostępny. Nie sposób jednak poznać, którym i kiedy. Jest „obraz księdza" i są księża – ludzie bardzo zwykli, którym zabrakło tego czegoś. Może chodzi o współpracę z łaską, może mieli tę łaskę na początku, a może tylko im się wydało, że mają, a nie mieli. Nie wiem, na szczęście nie muszę wiedzieć. Nie muszę martwić się o innych, na pewno muszę wiedzieć o sobie, zwłaszcza że jestem księdzem. Inaczej jest się księdzem na początku, a zupełnie inaczej na końcu. Na początku bardzo ważne jest bycie w oczach innych. Ważne są oczekiwania innych. Te oczekiwania poniekąd nas tworzą i budują nasz faryzeizm. Ale...

Na końcu długiego życia zostajesz sam. Nie dosłownie, bo przy tobie są ludzie, przyjaciele, znajomi, nieznajomi. Ale już nie jesteś ich księdzem, mają innych albo nie mają. Ty zaś nieuchronnie się zbliżasz do bram raju. Jak nigdy wcześniej, musisz to wszystko, co miałeś dla innych (bardzo dobrze, że miałeś), teraz zaaplikować sobie. Dziwna czynność. Dla mnie czas pokory. Słowa, zdania kiedyś wypowiadane z przekonaniem, ale i z łatwością, teraz nie są już użyteczne. Nie to, że są nieważne czy nieprawdziwe – są nieadekwatne. Adekwatnych nie ma i to jest odpowiedź na konstatację o ich braku. Wchodzimy w rzeczywistość inną. Wiara jest przyjęciem istnienia takiej rzeczywistości. Jej obrazy i przybliżenia w końcu przestają wystarczać. Zostaje sama wiara. Mam nadzieję, że Pan Bóg dołącza do tego pewność, która nie jest z tego świata. Zobaczymy. ©℗

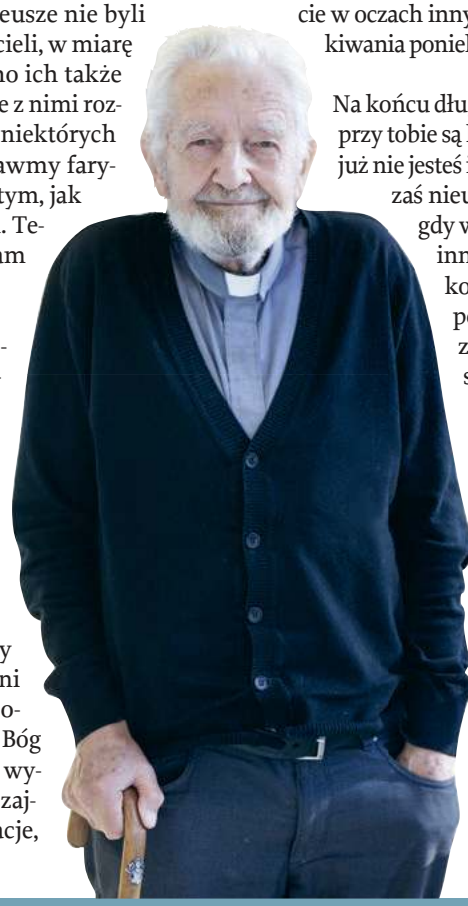

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

ANDRZEJ KOHUT:
Jak wygląda katolicyzm amerykański w erze Donalda Trumpa i dlaczego wyznanie to staje się coraz bardziej modne.

MATEUSZ GOLA:
Autor książki „Gdy porno przestaje być sexy" w rozmowie z Anną Goc tłumaczy, jak uzależnienie od pornografii wpływa na mózg.

PATRYCJA BUKALSKA:
W Europie Środkowej powstaje „oś prorosyjska". Najpierw Węgry i Słowacja – a teraz w Czechach partia ANO zapowiada zwrot antyukraiński.

Ojciec Adam Szustak – bohater naszego okładkowego tekstu sprzed tygodnia, dysponent niemal miliona subskrybujących jego kanał youtubowy dusz – w jednym ze swoich filmików udzielił „Tygodnikowi" kaznodziejskiego napomnienia. Choć odnotował też i naszą powolną drogę ku światłu: o ile dziewięć lat temu, gdy ostatnio jego podobizna pojawiła się na okładce, okropna była i ona sama, i tekst, teraz nie do zaakceptowania jest wyłącznie artykuł (swoją fotografię dominikanin przyjął z powściągliwym zadowoleniem).

Portrety osób publicznych, wpływowych, ważnych piszemy – warto o tym przypomnieć właśnie przy okazji tego numeru – dla Czytelników, nie dla szczególnej satysfakcji ich bohaterów. „Kamieniem milowym na drodze do popularności Dudka stało się uruchomienie na YouTubie własnego kanału propagującego historię. Ma on dziś 150 tys. subskrybentów, a jego autor – status gwiazdy, także w młodym pokoleniu" – pisze o prof. **ANTONIM DUDKU**, politologu, w tym akurat (internetowym) aspekcie mającym wiele wspólnego z o. Szustakiem, **PIOTR ŚMIŁOWICZ**. Autor próbuje odpowiedzieć na pytanie, czy znienawidzony dziś przez PiS, a kiedyś kojarzony z prawicą naukowiec zmienił poglądy, czy po prostu jest tak jak zawsze politycznie „niesformatowany".

„Nigdy nie był politykiem, który potrafił do siebie przekonać większość społeczeństwa. Wciąż zdarza mu się stracić nad sobą kontrolę, pokazywać emocje, palnąć nieprzemyślane zdanie" – pisze z kolei o **FRIEDRICHU MERZU**, prawdopodobnie wkrótce kanclerzu Niemiec, **ŁUKASZ GRAJEWSKI**.
A **JAREMA PIEKUTOWSKI** opowiada o **JORDANIE PETERSONIE**, guru konserwatystów, krytyku politycznej poprawności, psychoterapeucie i podkasterze, który wraca z piekła uzależnienia: „Peterson nie lubi odpowiadać na pytanie o to, czy wierzy w Boga. Odbija piłeczkę w stronę pytającego i każe mu sprecyzować, co oznacza wiara".

Mam nadzieję, że w tych tekstach nie tylko odnajdziecie Państwo na nowo znane sobie postaci, ale też – taki jest cel pisania podobnych portretów – dowiecie się wiele o polityce, społeczeństwie, życiu duchowym czy artystycznym (jest przecież jeszcze **PIOTR PAZIŃSKI** o **MARKU BIEŃCZYKU**!). Dobrej lektury. ©℗

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".

20 Rubikon Dudka
PIOTR ŚMIŁOWICZ
Był czas, gdy jako badacza historii najnowszej z IPN kojarzono go z prawicą. Dziś jest w PiS wręcz znienawidzony. Czy Antoni Dudek zmienił poglądy – czy politycy zderzyli się z człowiekiem, którego niełatwo sformatować?

34 Jordan wraca
JAREMA PIEKUTOWSKI
Jordan Peterson, kanadyjski psycholog i konserwatywny podkaster, który wrócił z piekła uzależnienia, zmaga się z Bogiem i mówi nam, jak żyć.

64 Potrzebujemy wartownika
ROZMOWA Z JOANNĄ RĄCZASZEK-LEONARDI, PSYCHOLOŻKĄ:
Musimy badać, co w kontaktach międzyludzkich jest na tyle istotne, że przekłada się na nasz dobrostan i jakość życia. I pilnować, by sztuczna inteligencja tego nie zniszczyła.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP" // SVENSKA DAGBLADET / TT NEWSAGENCY / FORUM // ARCHIWUM PRYWATNE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 I ryzyko, i szansa
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Rubikon Dudka
PIOTR ŚMIŁOWICZ

24 Na zakładzie bez zmian
MAREK RABIJ:
Koalicjanci obiecywali odpolitycznienie spółek skarbu państwa. Wyszło jak zwykle

27 Teraz poczuj mój ból
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK
o rodzicach dzieci cierpiących na depresję

■ ■ WIARA

34 Jordan wraca
JAREMA PIEKUTOWSKI

38 Modlitwa głębi
ROZMOWA Z O. WOJCIECHEM DRĄŻKIEM
o modlitwie i otwieraniu się na ciszę, która jest „ojczystym językiem Boga”

41 Dobry jak faryzeusz
PAWEŁ RAKOWSKI:
Ewangelie nie stawiają ich w dobrym świetle. Niesłusznie

■ ■ OPINIE

44 Nasi Niemcy
ZBIGNIEW ROKITA:
Dla jednych są Ślązakami udającymi Niemców. Dla innych przeoczeniem powojennych komisji weryfikacyjnych. Albo piątą kolumną lojalną wobec Berlina

■ ■ ŚWIAT

48 Charkowski Dzień Świstaka
ANTONINA PALARCZYK:
Tak żyją ludzie, którzy zostali w ukochanym mieście pomimo wojny

TEMAT TYGODNIKA

OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

12
Pożegnanie z Ameryką, jaką znaliśmy
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Pierwszy miesiąc urzędowania prezydenta Donalda Trumpa zmusza nas, Europejczyków, do zadania sobie pytania: czy rzeczywiście nadal mamy te same cele i wartości co Stany Zjednoczone?

16
Prezent dla Putina
ANNA ŁABUSZEWSKA

■ STRONY SPECJALNE ■

32 TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH
68 MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ. WYSTAWA NIESTAŁA. 4 x KOLEKCJA

■ FELIETONY ■

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 WOJCIECH BONOWICZ
84 OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: PREZYDENCI TRUMP I PUTIN
FOT.: PABLO MARTINEZ MONSIVAIS / AP / EAST NEWS
MONTAŻ „TP”

51 Friedrich Cierpliwy
ŁUKASZ GRAJEWSKI
o przyszłym kanclerzu Niemiec

54 Dwie Słowacje
PATRYCJA BUKALSKA:
Protesty przeciw rządowi Roberta Ficy są coraz liczniejsze

56 Efekt mrożący
TADEUSZ MICHROWSKI:
RPA na celowniku Trumpa i Muska

58 System szantażu
PAWEŁ BRAVO
o włoskim systemie blokującym afrykański szlak migracyjny

■ ■ HISTORIA

60 Widok znad Sewanu
KAROL FRYTA:
Podróż autostopem po Armenii to jak wyprawa wehikułem czasu

■ ■ NAUKA

64 Potrzebujemy wartownika
ROZMOWA Z JOANNĄ RĄCZASZEK-LEONARDI

■ ■ KULTURA

74 Nowe szaty wampira
ANITA PIOTROWSKA:
Dzisiejszy „Nosferatu” to ukłon złożony wielkim filmowym poprzednikom. Ale w równym stopniu nowej publiczności

78 Kręć się wiatraku
PIOTR PAZIŃSKI
o nowej książce Marka Bieńczyka

80 Berlin, zwrot akcji
ANNA PAJĘCKA: *To miasto było wzorcem polityki kulturalnej. Teraz politycy AfD jako zwolennicy „kultury ludowej” walczą z teatrami*

83 Tajemnicza wyspa
LEKTOR *o książce Jeffa Biggersa „Sardynia. Podróż w czasie”*

■ ■ ZMYSŁY

86 Motyl na śniegu
ANNA GOC:
Nie od razu go złapali. Najpierw śledzili. Ze zdziwieniem zauważyli, że delikatnie podlatuje nad śniegiem, a gdy wychodzi słońce – przysiada, rozkłada skrzydła i wygrzewa się. Ale co tu właściwie robi?

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

NOWA PRENUMERATA...
... „TYGODNIK” PROSTO DO MOJEGO DOMU
STR. 59

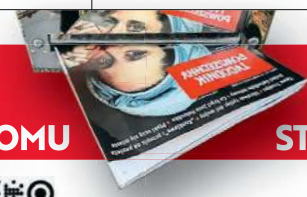

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

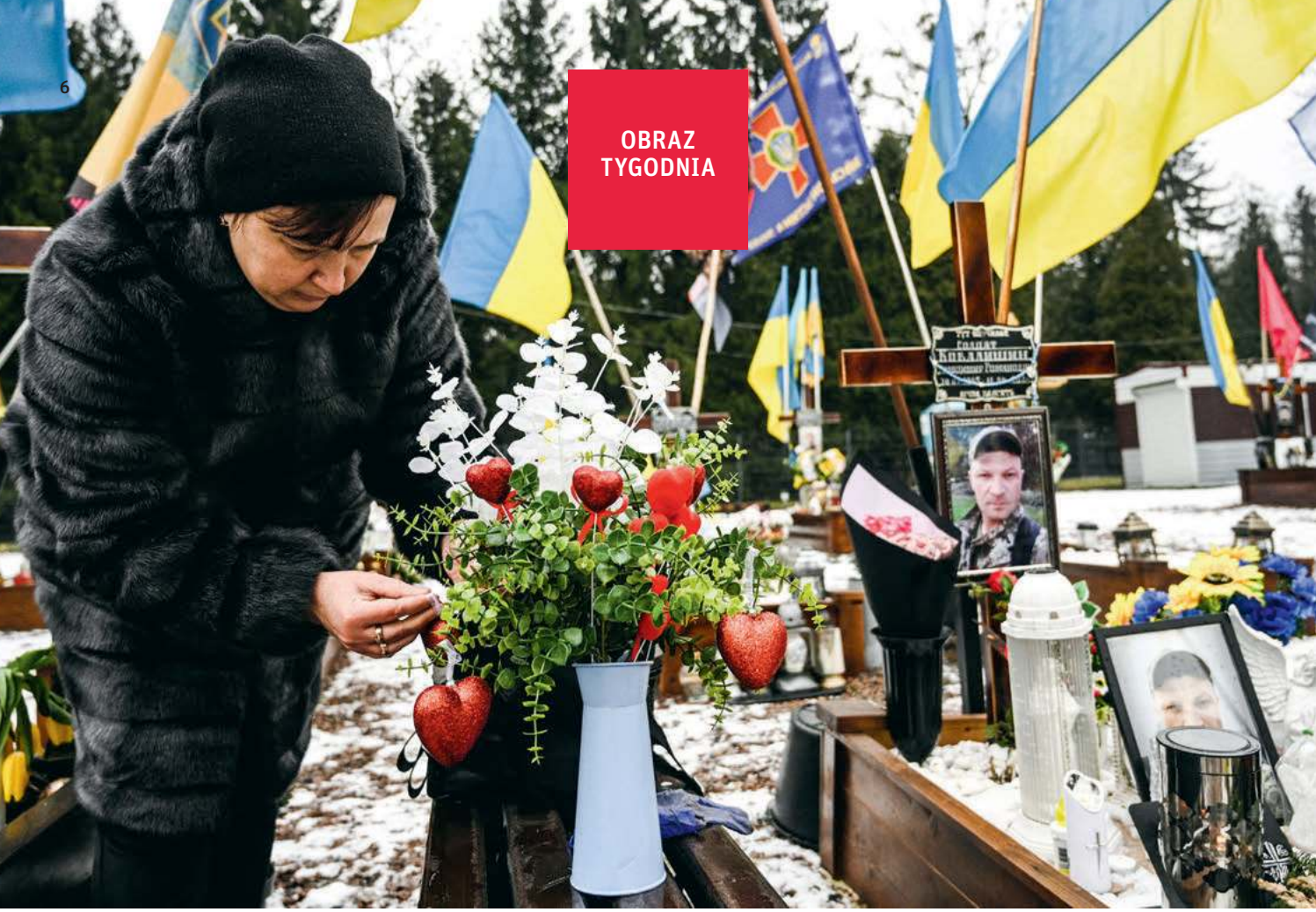

I RYZYKO, I SZANSA

Czy to może wyglądać tak? W mroźny poranek, późną wiosną, granicę polsko-ukraińską przekroczy ich pierwszy rzut: siły specjalne, łączność, logistycy. Wyposażeni na razie w sprzęt lekki. Wyruszą jako sześć zgrupowań: „Kursk", „Charków", „Kupiańsk", „Donbas", „Zaporoże" i „Chersoń". W każdym – żołnierze z jednego z większych krajów Europy (Brytyjczycy, Francuzi, Hiszpanie, Niemcy, Włosi, Polacy), zasileni przez mniejsze kontyngenty narodowe. Oraz komponent amerykański. Skromny, lecz będący „ekspozyturą odstraszania", tj. odgrywający taką rolę jak przed 1989 r. żołnierze USA w Berlinie Zachodnim: gwarantów tego, gdzie jest „czerwona linia".

UKRAINA ma dwie główne drogi komunikacyjne biegnące równoleżnikowo: północną (przez Żytomierz, Kijów i dalej na Charków) i południową. Niemcy, Polacy i Włosi ruszą tą drugą: przez Lwów do Humania, gdzie Włosi skręcą na południe, na Chersoń. Niemcy i Polacy pożegnają się w Dnieprze: pierwsi skierują się do Donbasu, a drudzy na południe, na odcinek zaporoski. Lub może na odwrót?

Na miejscu zacznie się zwykła robota. Podobna do tej, jakiej polskie wojsko uczyło się na Bałkanach, a potem w Afganistanie i Iraku (dokąd pojechaliśmy na prośbę Amerykanów, traktując to jak sojuszniczą solidarność – bez traktatowego musu). Rozpoznanie terenu; nawiązanie kontaktów z ukraińskimi dowódcami i władzami cywilnymi. Oraz planowanie dyslokacji dla tych, którzy przybędą w następnych rzutach – piechoty, saperów, obrony przeciwlotniczej itd.

Słowem: dla polskiej dywizyjnej grupy taktycznej, współtworzącej siły pokojowe. Te mające gwarantować, że umowa pokojowa – wynegocjowana przez USA z Rosją, a zaakceptowana przez Ukrainę i Europę – nie skończy się tak jak porozumienia mińskie z 2014 i 2015 r., które miały zatrzymać rosyjską agresję w Donbasie, a skończyły się w 2022 r. agresją pełnoskalową.

Jest za co krytykować Trumpa. Ale to, co robi w sprawie Ukrainy, jest szansą na wyjście z dramatycznego schematu „pomocy dla (samego już tylko) przetrwania".

WOJCIECH PIĘCIAK

POWYŻEJ:
Wojskowe kwatery na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, 14 lutego 2025 r.

WYSTAWIENIE tych sił byłoby dla Europy wysiłkiem (30 lat temu pokój w Bośni nadzorowało 60 tys. żołnierzy, z których co trzeci był Amerykaninem). Byłby to też wysiłek polityczny: politycy europejscy musieliby zbudować spójne stanowisko. Musieliby też wytłumaczyć obywatelom, że posłanie ich synów i córek to nie akt altruizmu wobec Ukraińców, lecz interes – Polski, Europy. Że lepiej, by linia styczności była pod Pokrowskiem, a nie Przemyślem. Byłoby to też ryzyko; takie chwile zawsze są obarczone ryzykiem. Dla tych, którzy pojadą, i dla tych, którzy wezmą za nich odpowiedzialność.

Ale to także szansa. Nie tylko dla Ukrainy – na koniec cierpień i zachowanie wolności. Także szansa na moment założycielski nowej Europy: tej scementowanej, jak to ujął na tych łamach Olaf Osica („TP" nr 6), konsensusem strategicznym, wzmocnionej i mądrzejszej. Czyli takiej, jaką chcą widzieć elity z USA, zresztą nie od dziś i nie tylko Republikanie: Europy biorącej za siebie odpowiedzialność.

Czy tak to może wyglądać? Tego dowiemy się wkrótce. Na razie niektórzy polscy politycy sugerują, że lepiej, by pojechali inni, bo my robimy już dość. Naprawdę? Jeśli pojadą Czesi, Litwini i Niemcy, my mielibyśmy stać z tyłu i dostarczać im konserwy?

ROZMOWY na gościnnym gruncie Arabii Saudyjskiej z udziałem Amerykanów i Rosjan już ruszają (Ukraina ponoć na razie wstrzyma się z wysłaniem negocjatorów). A Europejczycy? Keith Kellogg – jeden z ludzi tworzących wąską grupę wokół Trumpa, odpowiadającą za te rozmowy – podczas konferencji w Monachium argumentował, iż lepiej, by krąg negocjatorów był wąski. Z kolei sekretarz stanu Marco Rubio mówił europejskim politykom, którzy zjechali w miniony weekend do stolicy Bawarii, że wszystko odbędzie się we współpracy z sojusznikami.

Niemniej chaos, jaki zapanował na linii USA-Europa, to nie tylko skutek postawy niektórych ludzi z ekipy Trumpa i jego samego – butnej, wobec Europejczyków paternalistycznej. To też efekt uboczny dynamiki, którą uruchomił telefon Trumpa do Putina. Bo jakkolwiek oceniać tu Trumpa (że ta „szklanka" jest do połowy pusta lub pełna), otwiera on nowy nieznany etap: politycznej gry, jakiej Zachód doświadczył ostatnio 35 lat temu, gdy walił się Związek Sowiecki. Tylko dziś jest trudniej: po drugiej stronie nie jest upadłe imperium, lecz Putin, który – nawet jeśli pójdzie na ustępstwa – musi ogłosić się zwycięzcą.

TRZY LATA mijają od początku inwazji. Przez te trzy lata Zachód ratował i uratował Ukrainę. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy: przez cały czas pomoc Zachodu była wprawdzie dość duża, by Ukraina nie upadła, ale za mała, by mogła wygrać – jeśli rozumieć pod tym nie tylko ocalenie niepodległości, ale też wyzwolenie okupowanej ziemi. Kontynuowanie dziś przez Zachód tej strategii (o ile można to nazwać strategią) to dalsze wyniszczenie kraju, bez żadnej pozytywnej perspektywy.

Można krytykować metody Trumpa (pochlebstwa wobec zbrodniarza, próba przejęcia ukraińskich surowców jako „zapłaty"). Jednak to, co robi, jest szansą na wyjście ze schematu „pomocy dla przetrwania" i na podjęcie gry z Putinem. Rzecz tylko w tym, by ta gra nie skończyła się dla USA z chwilą podpisania umowy, choćby najlepszej, zapewniającej wolność Ukrainy – zakładając, że Putin ustąpi z celów maksimum – lecz także by Stany włączyły się w etap kolejny: gwarantowania jej realizacji swym potencjałem odstraszania. Podpis Putina nic nie znaczy. Dlatego tak istotne, by w misji pokojowej byli Amerykanie. Choćby tylko tylu, co kiedyś w Berlinie Zachodnim.

Inna rzecz, że choć kilka dekad temu różnie bywało z „chemią" między Ronaldem Reaganem i George'em Bushem seniorem z jednej strony a politykami z Europy Zachodniej z drugiej, to szanowali się wzajemnie – i we wspólnych sprawach, tych dla Zachodu egzystencjalnych, sobie ufali. ©℗

YURIY DYACHYSHYN / AFP / EAST NEWS

NATO przetrwa

JUSTYNA GOTKOWSKA

To była brutalna pobudka. Najpierw w rozmowie z Putinem Donald Trump zapowiedział odmrożenie relacji i bezpośrednie rozmowy amerykańsko-rosyjskie o zakończeniu wojny na Ukrainie. Z równoległymi negocjacjami z Ukrainą, ale bez Europejczyków, którzy mają być jedynie „konsultowani". Drugi cios wyprowadził sekretarz obrony Pete Hegseth, komunikując europejskim sojusznikom, że mają wziąć odpowiedzialność i za dalsze wojskowe wsparcie dla Kijowa oraz obecność wojskową na Ukrainie po zakończeniu konfliktu, i za swoje bezpieczeństwo. USA będą musiały skoncentrować się w coraz większym stopniu na powstrzymywaniu Chin i zwiększaniu obecności na Indo-Pacyfiku.

To, co Europejczycy usłyszeli w tak dosadnej formie, tak naprawdę nie jest niczym nowym. W NATO taki przekaz ze strony Waszyngtonu płynął już od 2011 r. Kolejne fazy rosyjskiej inwazji na Ukrainę w 2014 i 2022 r. zwiększyły amerykańską obecność wojskową na kontynencie, ale Donald Trump i jego ludzie uznają obecnie, że dotychczasowe zaangażowanie USA w Europie jest nie do utrzymania.

Czy to oznacza, że NATO nie przetrwa? Nic na to na razie nie wskazuje. Administracja Trumpa podkreśla wartość Sojuszu Północnoatlantyckiego, ale także konieczność dużych zmian jego formuły.

Europa musi odzyskać zdolność do prowadzenia operacji obrony zbiorowej jedynie ze wsparciem ze strony USA. Europejscy sojusznicy do tej pory byli uzależnieni od woli politycznej Amerykanów i ich zdolności wojskowych w prowadzeniu większych operacji wojskowych. Teraz będą musieli szybko rozwinąć własne zdolności w tym zakresie, co będzie wymagało niepopularnych decyzji o zwiększeniu krajowych wydatków na obronność ponad 3 proc. PKB – i to szybko. Dodatkowego wsparcia na rozwój przemysłu zbrojeniowego i europejskich sił zbrojnych mogłaby udzielić UE, jeśli osiągnie konsensus w sprawie zaciągnięcia wspólnego długu na ten cel.

Polska i inne państwa wschodniej flanki są w tej całej sytuacji chlubnym wyjątkiem, co potwierdziła wizyta sekretarza Hegsetha w Warszawie. I my, i nasi sąsiedzi potrzebujemy jednak efektywnego NATO, aby odstraszać Rosję przed agresją. Miejmy nadzieję, że brutalna pobudka, którą Trump zafundował Europie, zadziała, a zmiana odpowiedzialności za obronę zbiorową w NATO będzie prowadzona w ustrukturyzowany sposób, czyli w amerykańsko-europejskich konsultacjach. ©

Autorka jest wicedyrektorką Ośrodka Studiów Wschodnich.

Wybiorą niezdecydowani

MAREK KĘSKRAWIEC

Kampania Karola Nawrockiego, która w pierwszych tygodniach przyprawiała o bezsenność polityków obozu władzy, straciła impet. Głównym jej paliwem okazało się umiejętne zagospodarowanie lęków związanych z imigracją i stosunkami polsko-ukraińskimi. Pozwoliło to kandydatowi PiS wejść na pole Konfederacji, jednak dla politycznego centrum nie ma on nic, poza mętnymi tłumaczeniami faktów z własnej przeszłości.

Obietnic obniżenia o 33 proc. cen energii – w sto dni od objęcia fotela prezydenta – nikt nie bierze poważnie. Polki i Polacy mają już dość takich „konkretów" z każdej strony. Zresztą, Nawrocki nie radzi sobie nawet z naturalnym elektoratem – z sondaży wynika, że ma w społeczeństwie poparcie mniejsze niż partia, która go wspiera. Z tym wsparciem też sprawa nie jest oczywista, biorąc pod uwagę zdystansowanie polityków PiS, takich jak Beata Szydło, a zwłaszcza Mateusz Morawiecki.

Podobnie jest z kampanią Szymona Hołowni, do której nie pali się ani spora część działaczy Polski 2050 (przestali wierzyć, że staną się trwałą siłą polityczną), ani PSL, który nie ma ochoty przepalać pieniędzy na przegraną sprawę. Dziś wygląda na to, że marszałka Sejmu na trzecim miejscu podium trwale zastąpił Sławomir Mentzen, pomimo ostentacyjnego ignorowania go przez główne media.

Najbardziej zaskakuje Rafał Trzaskowski. Krytykowany za miałkość kampanii i ukrywanie progresywnych poglądów, zatrzymał regres i wydaje się odzyskiwać wyborców, mimo balastu złych notowań rządu. I nawet jeśli lewicowy elektorat jest nim trochę rozczarowany, nie sądzę, by w drugiej turze pozostał w domu, ryzykując zwycięstwo Nawrockiego. Większym kłopotem dla kandydata KO może być ogólne przesunięcie na prawo społecznych sympatii oraz fakt, że co czwarty wyborca wciąż się waha. Część z nich zapewne na złość całej klasie politycznej zagłosuje na Krzysztofa Stanowskiego, który jeszcze nie zaczął prawdziwej kampanii.

O tym, co stanie się w drugiej turze, mogą zdecydować sprawy międzynarodowe, na które prezydent może akurat mieć wpływ. Być może wygra ten kandydat, który najlepiej rozpozna, jak Polska powinna się ustawić wobec USA i Europy, by skutecznie oddalić zagrożenie ze strony Moskwy. ©℗

WOJCIECH JARGIŁO / PAP

Spotkanie Rafała Trzaskowskiego z sympatykami w Lubartowie. 12 lutego 2025 r.

Buksowanie w polu

MONIKA OCHĘDOWSKA

Ministra kultury Hanna Wróblewska powołała zespół ds. pola literackiego, w którego skład weszli przedstawiciele rządu oraz organizacji zrzeszających pisarzy, tłumaczy, bibliotekarzy i księgarzy. To – jak mogliśmy usłyszeć podczas konferencji prasowej – odpowiedź na postulaty listopadowego WspółKongresu Kultury, który „wskazał potrzebę reformy rynku książki".

O potrzebie uregulowania rynku dyskutuje się od lat. Próby wprowadzenia ustawy o książce podejmowano wielokrotnie, bez skutku.

Być może słusznie, bo projekty zgłaszane były przez najsilniejszych na rynku graczy i zabezpieczały głównie ich interesy. Aby temu zaradzić i zabrać się za prace na nowo, rok temu powołano w Sejmie Podkomisję stałą ds. Czytelnictwa i Prawa Autorskiego, której przewodniczącą została posłanka Paulina Matysiak. Spotykano się raz w miesiącu, by omówić m.in. aktualny stan czytelnictwa, naruszenia praw autorskich w internecie, sytuację małych wydawców, księgarni oraz bibliotek powiatowych. Czy w ślad za wielogodzinnym referowaniem trudnej sytuacji wszystkich podmiotów podjęto kroki mające na celu realną zmianę? Kilka dni temu spytaliśmy o to przewodniczącą podkomisji, jak dotąd nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

Wiemy natomiast, że oba zespoły spotkały się jakiś czas temu, by uzgodnić swoje kompetencje. Będą działać równolegle. Już w marcu podkomisja będzie omawiać szczegóły wprowadzenia zerowej stawki VAT na książki, gazety i czasopisma. Wedle ostatnich obietnic ministra finansów zniesienie VAT-u nastąpi w przyszłym roku (przypomnijmy, że stawka wzrosła w roku 2011, a jej likwidację obiecywał pięć lat temu ówczesny minister kultury, Piotr Gliński). Czy to rozwiązanie korzystne dla rynku książki? Wedle przedstawicieli Unii Literackiej (której reprezentant znalazł się w zespole ds. pola literackiego) taka zmiana osłabi budżet państwa bez rozwiązania problemów rynkowych. Unia proponuje utrzymanie 5-procentowej stawki VAT i przeznaczenie wpływów na fundusz wspierający literaturę. To z kolei nie podoba się ministerstwu.

Kibicując pracom obu zespołów, mam nieodparte wrażenie, że jak dotąd w polu literackim nieustannie buksujemy, a droga do celu wciąż daleka. Obyśmy z końcem zimy ruszyli z miejsca. ©℗

NA PUNKTY

DWÓCH TUSKÓW
Osoby obsługujące w mediach społecznościowych profil Donalda Tuska mają sprzeczne poglądy. Jednego dnia piszą, że „sytuacja międzynarodowa jest na tyle poważna, że nie możemy sobie pozwolić na kłótnie w kraju w sprawie naszego bezpieczeństwa" i wzywają wszystkie siły polityczne do zawieszenia sporów i do jedności. Kolejnego wytykają „niektórym polskim politykom" wspieranie prorosyjskich tendencji na świecie.

DWÓCH KANDYDATÓW
Po świecie lepiej nie jeździć: „Gazeta Wyborcza" zarzuca Karolowi Nawrockiemu, że jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej i prezes IPN odbył zagraniczne podróże, które kosztowały niemal 800 tys. zł. PiS odpowiedział wyliczeniem, że jako prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski spędził 250 dni w delegacjach.

DWA WYWIADY
Ze światem lepiej się nie łączyć: „To poniżej krytyki" – skomentował szef MSW Tomasz Siemoniak przerwanie przez Monikę Olejnik wywiadu z nim, spowodowane wejściem na antenę korespondenta z Londynu rozmawiającego z wypuszczonym z więzienia b. szefem RARS Michałem Kuczmierowskim.©℗

Big Techy na wojnie

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Gdy po spotkaniu prezesa Google Sundara Pichai (na zdjęciu) z polskim premierem podano, że koncern zainwestuje 5 mln dolarów w ciągu pięciu lat, informacja wywołała mieszaninę wesołości i zażenowania. Szybko pojawiły się sprostowania, że kwota – będąca równowartością pięciu autobusów – będzie dużo wyższa. Z kolei w poniedziałek 700 mln dolarów inwestycji zapowiedział Microsoft.

SERGEI GAPON / EAST NEWS

Między bajki można jednak włożyć anonimowe głosy z polskiego rządu w money.pl, że Google do inwestycji przekonała „dynamiczna dekarbonizacja" naszej gospodarki. Polska mogłaby mieć energię z samych toksycznych śmieci, a gigant i tak by obiecywał inwestycje, bo tu chodzi o coś więcej niż nasz rynek.

Big Tech od lat jest na wojnie z Unią Europejską, która od blisko dekady stara się trzymać w ryzach działalność takich koncernów. I jest w tym coraz skuteczniejsza, o czym mogą świadczyć wielomiliardowe grzywny nałożone w zasadzie na wszystkie technologiczne molochy. Teraz jednak to Big Tech przechodzi do kontrofensywy. Nie ma przypadku w tym, że wszyscy techno-magnaci z Doliny Krzemowej hojnie sypali groszem na „fundusz inauguracyjny" Donalda Trumpa, a później zjawili się na jego zaprzysiężeniu. W nowej administracji widzą sojusznika w walce z unijnymi regulacjami.

Biały Dom chętnie pomaga. Podczas styczniowego Światowego Forum Ekonomicznego Trump nazwał kary na Big Tech „formą opodatkowania". „Czy wam się podobają, czy nie, to są amerykańskie firmy, więc nie powinniście tego robić" – stwierdził. Podobnie wypowiadał się wiceprezydent J.D. Vance. Tyle że Bruksela w sprawie ochrony praw unijnych obywateli ani europejskich innowacji ustępować też nie zamierza. Idziemy więc na zderzenie.

Po konferencji Tuska związek dostawców usług internetowych Polska Chmura przestrzegł, że „zapowiedzi ze strony rządu o pogłębionej współpracy z globalnymi gigantami (...) budzą obawy o zbyt preferencyjne traktowanie zagranicznych podmiotów, co może odbić się negatywnie na polskich przedsiębiorstwach". Bezkrytycznie zalecając się do amerykańskich molochów, raczej nie dorobimy się „polskiego Google'a". ©

Bardziej katoliccy niż papież

EDWARD AUGUSTYN

List papieża do biskupów amerykańskich, krytykujący program masowych deportacji, wzbudził gwałtowne reakcje sympatyków Donalda Trumpa. Choć przecież nie powinien nikogo dziwić – o szacunku dla ludzi, którzy przekraczają granice (nawet nielegalnie) i prawie do imigracji w poszukiwaniu lepszego życia, Franciszek mówi od pierwszych dni pontyfikatu. Jednak tym razem papież odniósł się wprost do decyzji prezydenta USA, w dodatku popieranej przez miliony „białych chrześcijan", w tym katolików, dla których w ostatniej kampanii wyborczej retoryka antyimigracyjna okazała się ważniejsza nawet od antyaborcyjnej (tym razem dużo słabszej, jak na standardy Republikanów). Franciszek skrytykował też w liście manipulowanie katolicką doktryną, czyniąc wyraźną aluzję do słów wiceprezydenta J.D. Vance'a, który antyimigrancką postawę próbował usprawiedliwiać konceptem „porządku miłowania" (*ordo amoris*).

Stosunek do imigrantów (a także do wstrzymania rządowego programu USAID, wspierającego także kościelne organizacje pomocowe) to nowy front w amerykańskiej wojnie kulturowej, która podzieliła i zmieniła również tamtejszy katolicyzm. Wojnie toczonej nie tylko z pozycji pro-choice i pro-life, wokół gender, woke i LGBT+, ale też – od ponad dziesięciu lat – z nauczaniem papieża.

Wygrana Trumpa przechyliła, jak na razie, szalę zwycięstwa na stronę tych, którzy to nauczanie uważają za utopię. Którzy dosłownemu traktowaniu Ewangelii przez Franciszka przeciwstawiają jej zdroworozsądkowe interpretacje, wypracowane przez wieki w Kościele. I którzy są przekonani, że za krytyką zawartą w liście kryją się polityczne preferencje argentyńskiego papieża. To postawy nieobce także katolikom z innych krajów, w tym z Polski, którzy powtarzają – bez ironii – że J.D. Vance jest „bardziej katolicki niż sam papież". ©℗

Potrzebujemy ruchu

ZDROWIE ▪ Nadmierną masę ciała ma prawie 70 proc. Polaków, a na otyłość choruje prawie 9 mln dorosłych i 3,5 mln dzieci. Nadwagę ma 12,5 mln osób dorosłych i ok. 1 mln dzieci – ostrzegła podczas konferencji w Białymstoku prof. Lucyna Ostrowska, prezes Polskiego Towarzystwa Leczenia Otyłości (PTLO). Od 2018 r. Uniwersytet Medyczny w Białymstoku prowadzi badania populacyjne, z których wynika, że tylko co czwarty dorosły mieszkaniec tego miasta ma prawidłową masę ciała.

Osób otyłych i z nadwagą znacznie przybyło podczas pandemii – według zeszłorocznego raportu NIK w jej trakcie przytyło 40 proc. Polaków. Prof. Ostrowską martwi szczególnie skala wzrostu choroby wśród dzieci: jak wskazała, zajmujemy obecnie pod tym względem 4.-5. miejsce w Europie.

Jedną z najistotniejszych przyczyn otyłości i nadwagi jest rozpowszechnienie żywności przetworzonej, zawierającej wiele cukrów tzw. ukrytych (innymi czynnikami ryzyka są stres i niedobór snu). Jak zwrócił niedawno uwagę prof. Paweł Bogdański, specjalista w dziedzinie leczenia otyłości z Poznania, przeciętny Polak spożywa rocznie ponad 45 kg cukru; to dziennie 25 łyżeczek do herbaty. W latach 2008-2017 ilość cukru spożywanego na mieszkańca wzrosła o 6 kg. Ekspert wskazywał, że „przemysł spożywczy dodaje ogromne ilości cukru do żywności, aby zwiększyć jej atrakcyjność smakową dla konsumentów", i wyliczył, ile cukrów zawierają takie produkty jak: keczup (20 g cukru na 100 g), hamburger (3-6 g), płatki śniadaniowe (5-25 g) czy wody smakowe (3-4 g).

Otyłość to choroba wielonarządowa, której leczenie wymaga współpracy wielu specjalistów. Osoba o nadmiernej masie ciała jest narażona na rozwój m.in. cukrzycy typu 2, nadciśnienia tętniczego, zespołów wieńcowych, kamicy żółciowej, niealkoholowej stłuszczeniowej choroby wątroby, zaburzeń hormonalnych, niepłodności, a także wielu chorób nowotworowych: raka endometrium, piersi, jajnika czy wątroby. Prof. Ostrowska podkreśliła, że choroba otyłościowa skraca życie o ok. 3,5 roku.

Problem nadwagi i otyłości jest ogólnoświatowy. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia nadmierne odżywienie jest obecnie częstszą przyczyną zgonów niż niedożywienie. W niektórych przypadkach otyłość ma charakter wtórny: jest wywołana np. zaburzeniami hormonalnymi czy stosowanymi lekami. Jednak aż w 90 proc. mówimy o otyłości pierwotnej, której przyczyną jest po prostu dodatni bilans energetyczny.

Lista zaleceń profilaktycznych jest krótka: prawidłowe odżywianie, ruch i sen. W Polsce brakuje jednak powszechnej świadomości tego, jak ważny jest zdrowy styl życia. Wobec wycofania się MEN z planów wprowadzenia obowiązkowej edukacji zdrowotnej, trzeba docenić nauczycieli biologii czy wychowania fizycznego, którzy w ramach swoich lekcji starają się przekazywać uczniom tę wiedzę. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Berlinale: szlachetna pulpa

KINO ▪ Trwający właśnie 75. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Berlinie żeni kino krańcowo różne. Na przestrzeni dziesięciu dni w kilkunastu kinach rozsianych po stolicy Niemiec zaprezentowanych zostanie 299 filmów długo- i krótkometrażowych. Wśród nich znaleźć można zarówno klasyczne opowieści, jak i odważne eksperymenty, redefiniujące granice medium.

O pojemności estetycznej i tematycznej programu jednego z trzech najważniejszych festiwali filmowych na świecie świadczy fakt, że niemałą rolę odgrywają w nim filmy gatunkowe. Tricia Tuttle, nowa dyrektorka festiwalu, zdaje się rozumieć, że konwencje gatunkowe są narzeczem transnarodowym. W końcu niezależnie od szerokości geograficznej język kryminału, horroru czy *science fiction* brzmi znajomo.

Dowodem jest najgłośniejszy film tegorocznej edycji, czyli „Mickey 17". Owoc romansu Joon-ho Bonga z Hollywood przypomina składankę „the best of", na której południowokoreański reżyser wypalił motywy już wcześniej przez niego eksplorowane. Na liście przebojów znalazły się: kwestionowanie klasowego porządku z „Parasite" i „Snowpiercera. Arki przyszłości", proekologiczne larum z „Okji" oraz fascynacja *monster movies* z „The Host. Potwora".

Powrót do przeszłości oscarowego filmowca nie jest jednak wtórny. Dość powiedzieć, że Bong odsłonił oblicze dotychczas skrywane, dał się bowiem poznać jako miłośnik blockbusterów. „Mickey 17" opowiada o przyszłości wymarzonej przez demagogów pokroju Elona Muska i Donalda Trumpa (tego drugiego Bong smaga biczem satyry z wyjątkową zajadłością). Ludzkość w 2054 r. opanowała metody kolonizacji kosmosu. Dla wielu osób mamionych obietnicą uczestniczenia w momencie dziejowym oraz nadzieją poprawy stopy życiowej, międzyplanetarna emigracja stanowi jedyną opcję.

Filmy gatunkowe umościły się także w konkursie głównym festiwalu. „Reflet dans un diamant mort" Hélène Cattet i Bruna Forzaniego jest listem miłosnym do tradycji europejskiego *pulp fiction*, a zarazem hipnotyzującym obrazem czerpiącym garściami z introspektywnych narracji Alaina Resnais'go. O żywotności tego typu kina świadczy również fakt, iż poświęcona została mu retrospektywa „Dzikie, dziwne, krwawe. Niemieckie filmy gatunkowe lat 70.". Wybrano do niej siedemnaście produkcji z RFN i NRD: od kryminałów gangsterskich, przez opowieści o motocyklistach, po horrory wampiryczne. Te ostatnie są szczególnie interesujące, zważywszy na niedawną premierę „Nosferatu" Roberta Eggersa, które na powrót rozbudziło w kinomanach pragnienie historii o upiorach [więcej w tekście Anity Piotrowskiej w dziale Kultura – red.].

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI z Berlina

Pałac Berlinale przed ceremonią otwarcia 75. Festiwalu Filmowego w Berlinie, 13 lutego 2025 r.

RALF HIRSCHBERGER / AFP / EAST NEWS

Skąd się wzięli Grenlandczycy

OLIVIER MORIN / AFP / EAST NEWS

Myśliwi przed wyprawą do wioski Ittoqqortoormiit w fiordzie Scoresby Sound, liczącej około 300 mieszkańców. Wschodnia Grenlandia, 17 sierpnia 2023 r.

GENETYKA ▪ Wiedza na temat genetycznej struktury populacji pozwala na lepsze zarządzanie zdrowiem publicznym – np. przez politykę zmniejszającą ryzyko chorób, na które społeczeństwo jest najbardziej podatne. Wiele schorzeń wynika w końcu z kombinacji wpływu zarówno genów, jak i czynników środowiskowych i stylu życia. Taki właśnie cel medyczny przywołują w artykule opublikowanym w „Nature" Frederik Filip Stæger z Uniwersytetu w Kopenhadze i współpracownicy, którzy przeprowadzili największe dotąd badanie genetyczne mieszkańców Grenlandii, obejmujące prawie 6 tys. osób. Ale wnioski z tych badań zainteresują nie tylko specjalistów od zdrowia publicznego – także historyków. Z genów Grenlandczyków udało się bowiem odczytać zarówno ryzyko występowania w populacji takich chorób jak cukrzyca, otyłość czy kwasica proprionowa, jak i naszkicować losy mieszkańców wyspy na przestrzeni wieków.

Kolonizacja Grenlandii nastąpiła około tysiąca lat temu z zachodu, z terenów Kanady. Pionierzy weszli przez północno-zachodnią część wyspy i posuwali się wybrzeżem na południe, potem wschodnim wybrzeżem na północ. Na wyspę przybyli ludzie, których przodkowie wywodzili się z Syberii. Pierwsi kolonizatorzy nie byli liczni – tzw. efektywny rozmiar populacji, oznaczający liczbę osób, które spłodziły potomstwo i wniosły geny do kolejnych pokoleń, to poniżej trzystu. Genetyka sugeruje też występowanie wśród grenlandzkich Inuitów silnych efektów wąskiego gardła, czyli spadków liczby ludności, wnioskowanych na podstawie zmniejszania się różnorodności genetycznej populacji. Mogły one mieć związek z tym, że mieszkańcy wyspy przez dziewięć stuleci żyli w odseparowanych od siebie enklawach.

Współcześni Grenlandczycy 75 proc. swoich genów odziedziczyli po pierwotnej populacji, resztę zawdzięczają Europejczykom, którzy przybywali na wyspę w ostatnim stuleciu. Z badań wynika również, że na ich geny działała silna selekcja – w ciągu ostatniego tysiąclecia wzrosła częstość wariantów genetycznych zwiększających skuteczność trawienia tłuszczów, które są ważnym składnikiem tradycyjnej diety mieszkańców regionu. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Rajskie ptaki emitują światło

GABBRO / ALAMY / B&EW

Latawiec krasnogrzbiety

EWOLUCJA ▪ Rajskie ptaki to grupa niezwykle barwnych gatunków zamieszkujących lasy deszczowe Nowej Gwinei i północnej Australii. Znane są przede wszystkim dzięki niezwykle ekstrawaganckiemu ubarwieniu oraz rytuałom godowym należącym do najbardziej wyrafinowanych w królestwie zwierząt. Badania opisane w „Royal Society Open Science" dodają do arsenału ich strategii zdobywania partnera nowy element: biofluorescencję.

Ornitolodzy odkryli, że pióra większości gatunków rajskich ptaków, oświetlone niebieskim światłem, fluoryzują – czyli świecą – emitując zielono-żółte promieniowanie widzialne. Fluorescencje, czyli zdolność do emitowania światła po pochłonięciu promieniowania widzialnego o określonej barwie, obserwowano u wielu bezkręgowców czy u płazów. Wykazanie jej u ptaków, w dodatku u prawie wszystkich gatunków konkretnej grupy systematycznej, jest jednak odkryciem niezwykłym. Zaskakuje też różnorodność sposobów, w jaki wykorzystały ją rajskie ptaki: emisję światła zaobserwowano, u różnych gatunków, w przypadku dziobów, piór ogona czy kolorowych kołnierzy zachodzących na pierś samca.

Czy biofluorescencja piór ptaków jest przez nie w jakikolwiek sposób wykorzystywana – czy też jest jedynie skutkiem ubocznym obecności w ich piórach barwników? Choć opublikowane badania nie dają na to jednoznacznej odpowiedzi, ich autorzy przekonani są o istotnej funkcji tego zjawiska. Do typowego dla rajskich ptaków środowiska cienistego lasu deszczowego dociera sporo krótkofalowego (w tym niebieskiego) promieniowania przenikającego przez listowie i gałęzie. Gdy wzbudzić zielonkawe świecenie i tak już intensywnie zabarwionych piór, oświetlenie takie może potęgować jaskrawość koloru postrzeganego przez samice, oceniające po zabarwieniu swoich potencjalnych partnerów. Biofluorescencja sprawia więc, że stają się oni jeszcze bardziej atrakcyjni, oraz zwiększa kontrast między zabarwionymi regionami ciała a cienistym tłem typowym dla podszytu lasu tropikalnego.

© SZYMON DROBNIAK

TEMAT TYGODNIKA

POŻEGNANIE Z AMERYKĄ, JAKĄ ZNALIŚMY

Pierwszy miesiąc urzędowania Donalda Trumpa zmusza nas, Europejczyków, do zadania sobie pytania: czy rzeczywiście nadal mamy te same cele i wartości co Stany Zjednoczone?

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Światowi prominenci, zebrani w walentynkowy piątek w monachijskim hotelu Bayerischer Hof na Konferencji Bezpieczeństwa, z przemówienia wiceprezydenta USA zapewne chcieli się dowiedzieć czegoś o planach Białego Domu dotyczących zakończenia wojny w Ukrainie. Ale o tym J.D. Vance ledwo wspomniał. Cel miał inny.

„Jakie znaczenie mają wysokie, wspólne wydatki czy zdolności obronne, jeśli mamy problem ze zdefiniowaniem wspólnych transatlantyckich wartości?" – pytał Vance, kwestionując, czy Europa zasługuje na obronę przez USA, skoro odwróciła się od „własnych najbardziej fundamentalnych zasad". Ilustrował to przykładami: odmowy prawa do, jak dowodził, „cichej modlitwy" nawet we własnym domu, tłamszenia wolności słowa przez unijnych komisarzy, ograniczania wolności politycznej czy anulowania wyników wyborów, „gdy sprawy nie toczą się zgodnie z planem".

W tym karceniu Europy pobrzmiewały znajome tony: wiele jej elementów powielało propagandę znaną z mediów społecznościowych – tę idącą ze wschodu. Mowę Vance'a warto jednak zapamiętać nie z powodu jego ignorancji i arogancji. Obnażyła, jak mocno drogi Ameryki i jej sojuszników się rozjechały. Jest też przykładem, jak administracja Donalda Trumpa – choć obiecał on uczynić Amerykę znowu wielką – demoluje wszystko, co zbudowało amerykańskie imperium.

Warto, by przy tej okazji sami Europejczycy odpowiedzieli sobie na pytanie: czy rzeczywiście nadal mamy te same cele i wartości co Stany Zjednoczone?

SIŁA PRZYCIĄGANIA | W latach 90. XX w. amerykański politolog Joseph Nye spopularyzował pojęcie „miękkiej siły". Twierdził, że na potęgę państw składają się siła militarna i gospodarcza oraz właśnie *soft power*. Ona sprawia, że dzięki współpracy, a nie przymusowi, „kraj może osiągnąć pożądane rezultaty, ponieważ inne państwa – podziwiając jego wartości, naśladując jego przykład, aspirując do poziomu jego dobrobytu i otwartości – chcą za nim podążać".

Na pokładzie niszczyciela rakietowego marynarki wojennej USA w porcie w Gdyni, 7 lipca 2022 r.

OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

W opublikowanej w tamtym czasie „Wielkiej Szachownicy" inny politolog z USA, Zbigniew Brzeziński, pisał, że „hegemonia jest stara jak świat", ale Stany są imperium innym niż wszystkie, bo nie zbudowały potęgi, podbijając militarnie inne kraje, ale uczyniły to dzięki sile przyciągania wyznawanymi wartościami, kulturą i innowacjami.

„Myślę, że znaleźliśmy się w wyjątkowo niefortunnym momencie" – mówił kilka dni temu Joseph Nye w wywiadzie dla NBC. I dalej: „Siła to zdolność skłaniania innych do robienia tego, co chcemy. Można to osiągnąć na trzy sposoby: przez przymus, przez zapłatę oraz przez przyciąganie, co znane jest jako kije, marchewki i miód. Trump zupełnie nie rozumie, na czym polega rola miodu". Nye dodał, że polityka Trumpa „opiera się na braku rozumienia, na czym polegają role każdego elementu siły".

OPCJA OPTYMISTYCZNA | Zróbmy na chwilę założenie, że Waszyngton zaczął z Kremlem wysublimowaną dyplomatyczną grę, a Donald Trump, dzwoniąc do Władimira Putina, pokazał Moskwie „marchewki" i „miód". Tym mogły być przyjazne gesty wobec rosyjskiego dyktatora, m.in. dziękowanie za jego „wysiłki na rzecz pokoju", a zwłaszcza stwierdzenie, że Ukraina nie ma szans wrócić do granic sprzed 2014 r., a jej członkostwo w NATO jest „nierealistyczne".

W tym scenariuszu rolą pozostałych przedstawicieli administracji USA powinno być prezentowanie Moskwie „kija". Dokładnie tak, jak zrobił to wiceprezydent Vance, który tuż przed konferencją w Monachium w wywiadzie dla „Wall Street Journal" przypominał, że „na stole" wciąż leży opcja wysłania wojsk USA do Ukrainy, jeśli Moskwa nie będzie negocjować w dobrej wierze i nie zagwarantuje Kijowowi niezależności.

Za takim scenariuszem mógłby przemawiać fakt, że Trump i jego administracja powiedzieli głośno to, co w Waszyngtonie, Kijowie i europejskich stolicach po cichu mówiono od dawna: okupowane ziemie Ukrainy są nie do odbicia z rąk Rosjan, a jej członkostwo w NATO to mrzonka. Do tego wszyscy – na czele z Ukraińcami – chcą jak najszybszego końca tej wojny. Optymiści dodają jeszcze, że Trump jest świetnym negocjatorem, którego atutem jest nieprzewidywalność.

KWESTIA KOMUNIKACJI | Przedstawiony wyżej scenariusz wysublimowanej gry Waszyngtonu jest jednak mało prawdopodobny. Choćby dlatego, że w negocjacjach z Moskwą może nie być żadnego „kija". Vance oświadczył, że „Wall Street Journal" zmanipulował jego słowa i nie ma mowy o grożeniu Rosji działaniami zbrojnymi. Za „kij" wobec Kremla ciężko też uznać plan USA, który wyciekł do mediów, a mający dotyczyć wyrwania Białorusi z rosyjskiej strefy wpływów w zamian za zniesienie części sankcji wobec Mińska.

Kolejnym powodem, dla którego ciężko wierzyć w istnienie jakiegoś planu, jest chaos, z jakim Amerykanie o nim komunikują. Przykład? Po środowej rozmowie z Putinem prezydent USA obwieścił, że „wkrótce" dojdzie do ich spotkania w Arabii Saudyjskiej, gdzie omówione zostaną warunki pokoju; o miejscu przy stole dla Kijowa nie wspomniał. Dopiero następnego dnia powiedział, że Ukraińcy wezmą udział w rozmowach. W piątek ludzie z jego administracji informowali, że rozmowy w Rijadzie będą prowadzone przez negocjatorów. W sobotę rano dodali, że „w ciągu pół roku", ale potem, tego samego dnia, mówili o „przyszłym tygodniu".

Zakomunikowali też, że nie ma mowy, by w rozmowach brali udział Europejczycy, choć – jak stwierdził wysłannik USA ds. Ukrainy i Rosji gen. Keith Kellogg – „ich stanowiska Waszyngton weźmie pod uwagę". Niedługo potem prezydent Zełenski powiedział, że na razie również Ukraińcy żadnego zaproszenia na rozmowy nie dostali.

KWESTIA ZAPŁATY | „Misterny plan" spruł się także w sprawie umowy z Kijowem dotyczącej minerałów ziem rzadkich, jakie Amerykanie mieli pozyskać jako „zapłatę" za udzieloną pomoc wojskową, gdyż inaczej – wedle słów Trumpa – okazaliby się „frajerami".

„Washington Post" relacjonuje, że Zełenski „grzecznie odmówił, gdy podstawiono mu dokument, którego wcześniej nie widział na oczy, a który miał dawać USA prawo do 50 proc. wszystkich odkrytych w przyszłości w Ukrainie złóż mineralnych". Później prezydent Zełenski potwierdził, że w dokumencie nie było żadnych gwarancji bezpieczeństwa dla jego kraju.

– Mamy do czynienia z bezprecedensowo niekompetentną administracją ↦

i prezydentem, do którego pasuje określenie małpy z brzytwą – mówi „Tygodnikowi" prof. Roman Kuźniar, kierownik Katedry studiów strategicznych i bezpieczeństwa narodowego UW. Jego zdaniem „tam nie ma żadnej strategii, bo gdyby była, to deklaracje poprzedziłyby rozmowy z sojusznikami czy staranne rozpoznanie pozycji ukraińskich".

– Trump, który uważa siebie za „stabilnego geniusza", uznał, że uda mu się siłą woli nagiąć przestrzeń. To osobowość niezdolna do myślenia w sposób strategiczny – twierdzi Kuźniar.

Mogą to potwierdzać nie tylko działania Waszyngtonu w sprawie Ukrainy, ale też dokonania Trumpa za jego pierwszej kadencji. To m.in. słynne negocjacje z Koreą Północną, podczas których nie osiągnął nic, czy zerwanie przez USA porozumienia nuklearnego z Iranem w 2018 r., które zwiększyło ryzyko konfrontacji militarnej w regionie. Część posunięć Trumpa udało się odkręcić Joemu Bidenowi, jego następcy. Tych powyżej – nie.

KANADA I GAZA | Tym razem już po miesiącu nowej prezydentury można przypuszczać, że straty będą większe. I nie chodzi tylko o zrażenie do Amerykanów europejskich sojuszników. Oczy ze zdumienia przecierają w Kanadzie, na którą Trump na różne sposoby naciska, by dołączyła do USA, i już uparcie nazywa ją „51. stanem". Można by to próbować tłumaczyć względami gospodarczymi, ale czemu innemu – poza bezmyślnym upokarzaniem – ma służyć nazwanie przez Trumpa premiera Justina Trudeau „gubernatorem"?

> Działania Trumpa kojarzą się z XIX-wieczną polityką siły i podziału na strefy wpływów. Kłopot w tym, że stosując taką politykę, wprowadza Amerykę na nieznaną jej wcześniej ścieżkę.

Na prezydenta USA wściekli są też Arabowie po tym, jak ogłosił, że Ameryka „weźmie sobie" Strefę Gazy, by po wysiedleniu Palestyńczyków zmienić ją w „riwierę Bliskiego Wschodu". Ważnym sojusznikom, Egiptowi i Jordanii, prezydent USA grozi sankcjami, jeśli nie przyjmą wysiedlonych.

Think tank Chatham House w najnowszej analizie stwierdza, że samo przedstawianie takich pomysłów wzmacnia Iran, a „Bliski Wschód już teraz postrzega drugą kadencję Trumpa jak siłę niszczycielską dla resztek istniejącego porządku regionalnego". Arabscy przywódcy gorączkowo starają się ten porządek ratować. W tym tygodniu na pilny szczyt w Rijadzie mają zjechać regionalni przywódcy. Tydzień później o kryzysie ma rozmawiać cała Liga Arabska.

DRZWI DLA CHIN | Innym ciosem, zadanym przez Trumpa amerykańskim wpływom, jest demontaż USAID – agencji, która przez dziesięciolecia kształtowała wizerunek USA jako dobroczynnej potęgi, zapewniając pomoc humanitarną, promując demokrację i wspierając wzrost gospodarczy w najbiedniejszych krajach. Teraz z dnia na dzień zawiesiła programy w ponad stu państwach – w tym od dożywiania w strefach konfliktów, przez szczepienia i badania nad szczepionkami, po programy stypendialne.

To szeroko otwiera drzwi dla Chin, których wpływy na świecie Trump chciał ograniczać. Pekin już skwapliwie wykorzystuje sytuację, oferując pomocną dłoń tam, gdzie nagle zniknęli Amerykanie. O tym, że komunistyczny rząd w Pekinie był pilnym uczniem i wyciągnął wnioski z tego, jak USA oddziaływały na świat, pokazując sympatyczną twarz, można przekonać się nie tylko za sprawą inwestycji „Pasa i Szlaku", ale też dzięki filmikom na TikToku, które ukazują pejzaże chińskich wsi czy sympatycznych rzemieślników.

Max Boot, członek amerykańskiego think tanku Council on Foreign Relations, jako „gwoździe do trumny amerykańskiej miękkiej siły" dodaje „bezduszne postanowienie" o deportacji uchodźców z Wenezueli „z powrotem do marksistowskiej dyktatury" oraz groźbę wojny handlowej z Kanadą i Meksykiem.

O NAS BEZ NAS? | „To tak, jakby sam Juliusz Cezar zadzwonił do barbarzyńcy" – tak rosyjski propagandzista Karen Szachnazarow komentował rozmowę Trumpa z Putinem. Metafora zasadna, prezydent USA istotnie zachował się jak Cezar, rozporządzając ukraińską ziemią, o czym prezydenta Zełenskiego poinformował

TP

POWIEDZ NAM, CO SĄDZISZ!

ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU W KRÓTKIEJ ANKIECIE

Zeskanuj zamieszczony obok kod lub wejdź na powszech.net/ankieta3

Chcemy regularnie prosić Czytelników o opinie na wybrane tematy dotyczące drukowanego wydania. Państwa odpowiedzi pomogą nam w pracy nad tym, żeby „Tygodnik" był jeszcze lepszy.

W poprzedniej ankiecie pytaliśmy o to, jaka tematyka poruszana w „Tygodniku" interesuje Państwa najbardziej. Najczęściej wskazywali Państwo:

- SPRAWY SPOŁECZNE
- WIARĘ I DUCHOWOŚĆ
- REPORTAŻE ZE ŚWIATA

DZIĘKUJEMY, ŻE NAS CZYTASZ!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

POU / ZUMA PRESS / FORUM

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski i wiceprezydent Stanów Zjednoczonych J.D. Vance na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium. Niemcy, 14 lutego 2025 r.

ponoć dopiero po fakcie. W osłupienie może wprawiać też to, że walkowerem gotów był oddać najcenniejsze karty przetargowe Kijowa, zanim negocjacje z Moskwą się zaczęły.

Tymczasem żądania, jakie Kreml ma w zamian za pokój, dotyczą nie tylko Ukrainy. Putin domaga się nie tylko akceptacji dla aneksji ukraińskich terytoriów i poddania kontroli Rosji państwa ukraińskiego. Chce też m.in., by Amerykanie zakończyli program udostępniania broni jądrowej sojusznikom w Europie, a państwa zachodnie wycofały swoje siły z krajów, które dołączyły do NATO po 1997 r. (czyli z Polski, państw bałtyckich, Rumunii i Bułgarii).

Czy tego również dotyczyła rozmowa Trumpa z Putinem, nie wiemy. Prezydent Andrzej Duda po spotkaniu z sekretarzem obrony USA Petem Hegsethem ogłosił, że „jest spokojny, jeśli chodzi o amerykańskie plany dotyczące naszej części NATO". Z kolei szefowa unijnej dyplomacji Kaja Kallas mówiła BBC, że rozmowy z politykami z USA przebiegają w bardzo dobrej atmosferze, a to, co mówią oni przed kamerami, jest na użytek polityki wewnętrznej w Stanach. Ale czy to powinno nas uspokajać?

Stany trzymały nad Europą „parasol bezpieczeństwa", ale od ponad 20 lat z roku na rok coraz głośniej powtarzały, że nasz kontynent musi zacząć bardziej dbać o swoją obronę. Ta w większości krajów, nawet po roku 2022, pozostaje na poziomie nieadekwatnym do zagrożeń. Co, jeśli pewnego dnia Trump zatweetuje, że zwija ten „parasol"?

RACJA SILNIEJSZEGO | Epoka Pax Americana, która początek miała podczas II wojny światowej, po 1989 r. przyniosła koniec komunizmu, bezprecedensowy wzrost gospodarczy i względny pokój. Ukształtowała nie tylko międzynarodowe sojusze, ale też to, że pod dyktando amerykańskiej *soft power* dokonywała się globalizacja.

„Ta sama epoka zasiała też jednak ziarna własnego upadku" – piszą w „Foreign Affairs" politolodzy Ivo H. Daalder i James M. Lindsay, wyliczając m.in. kosztowne i upokarzające wojny w Afganistanie i Iraku czy kryzys finansowy z 2008 r., „który podważył wiarę w kompetencje rządu USA i jego ekonomiczne recepty". Ich zdaniem z tego powodu można zrozumieć, dlaczego niektórzy Amerykanie sądzą, że ich kraj lepiej poradzi sobie w świecie, jeśli rządzi w nim racja silniejszego – bo USA mają największą gospodarkę, najsilniejszą armię i możliwe, że najlepszą sytuację geopolityczną.

Dziś można odnieść wrażenie, że Trump uznaje międzynarodowe sojusze za obciążenie finansowe, a działania jego administracji kojarzą się z XIX-wieczną polityką siły i podziału na strefy wpływów. Wówczas mocarstwa dzieliły świat na regiony, którymi rządziły bez przywiązywania wagi do woli rządzonych w myśl maksymy Tukidydesa: „Silni robią, co mogą, a słabi cierpią, co muszą".

KTO BĘDZIE LEPSZY | Kłopot w tym, że Trump, stosując taką politykę, wprowadza Amerykę na nieznaną jej wcześniej ścieżkę. Po pierwsze dlatego, że gdy poprzednio Stany z zapałem stawiały na izolacjonizm, choć były zamożne i nawet dominowały nad niektórymi sąsiadami, nie były światowym mocarstwem. Stały się nim dopiero, gdy otworzyły się na świat. Dziś nie mogą na powrót zamknąć się i pozostać bogate. Gospodarka już tak nie działa, bo Ameryka to zmieniła.

Po drugie, wykorzystując siłę w polityce światowej, Trump może się przekonać, że jego główni przeciwnicy – Xi Jinping i Putin – w tej grze okażą się lepsi. „Ich reżimy nie mają wewnętrznych ograniczeń i mogą działać bez oglądania się na opozycję. Trump natomiast, chcąc tego czy nie, będzie się musiał zmierzyć z amerykańską demokracją, a jego konfrontacyjna polityka zagraniczna może stać się jego największą słabością" – piszą Daalder i Lindsay.

KWESTIA WARTOŚCI | W Monachium J.D. Vance dał do zrozumienia, że Europa i Ameryka mają różne wartości. Europejczycy powinni o tym pamiętać, mając na uwadze nie tylko amerykańskie groźby nałożenia na nas ceł, ale także m.in. sposób, w jaki wiceprezydent USA i Elon Musk ingerują w niemiecką kampanię wyborczą i wspierają radykałów z AfD – nie zważając, że zachowują się, jakby grali w tej samej drużynie co Kreml.

Po pierwszym miesiącu urzędowania Trumpa i jego administracji jest więc dość powodów do przemyśleń. Jeszcze więcej Europejczycy mają do zrobienia na własnym podwórku.

W międzyczasie mogą obserwować, jak administracja USA rozmontowuje kolejne źródło amerykańskiej potęgi: kilka dni temu do Pentagonu weszli przedstawiciele Departamentu Efektywności Rządowej, kierowanego przez Muska. Ich zadaniem jest ścięcie liczącego niemal bilion dolarów budżetu departamentu obrony (choć najbogatszy człowiek świata zapewne nie zacznie redukcji od własnych kontraktów dla wojska).

Na celowniku Muska znalazły się już m.in. lotniskowce klasy Ford i najnowsze myśliwce F-35, które jego zdaniem są „przestarzałe" i budowane przez „idiotów". To te same F-35, których 32 sztuki zamówiła niedawno Polska.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Tekst ukończono 16 lutego.

Prezent dla Putina

ANNA ŁABUSZEWSKA

Jak Kreml zareagował na działania administracji Trumpa? „Odbiera nam chleb. To my chcieliśmy podzielić Zachód, a on wykonuje za nas tę robotę" – cieszyli się propagandyści.

12 lutego Trump zadzwonił do Putina. Zaproponował przystąpienie do rozmów o zakończeniu wojny na Ukrainie. Putin odparł, że nastał czas, aby Rosja i USA współpracowały ze sobą – to sygnał otwarcia nowego „okna możliwości" w wielu sprawach, w których Rosja chce osiągnąć swoje cele. Czy dojdzie do osobistego spotkania Trump–Putin? Czy to droga do uregulowania sytuacji, czy tylko element wielkiego geopolitycznego tsunami, jakie rozkręca się na szczytach?

Czy Putin chce pokoju

Oficjalny komunikat Kremla po rozmowie Trumpa i Putina był więcej niż lakoniczny: „Władimir Putin wskazał na konieczność przezwyciężenia praprzyczyn konfliktu i zgodził się z Donaldem Trumpem, że długotrwałe uregulowanie może zostać osiągnięte tylko na drodze rozmów". Na stronie internetowej administracji rosyjskiego prezydenta kilka zdań o telefonie od amerykańskiego przyjaciela wciśnięto pomiędzy wzmiankę o rozmowie Putina z nowym przywódcą Syrii a życzenia urodzinowe dla sędziwego działacza sportowego Witalija Smirnowa. Niezbyt poczesne miejsce.

Przez kilka następnych dni Putin osobiście nie skomentował rozmowy. Okrągłe formułki wypowiedział tylko jego rzecznik Dmitrij Pieskow. Zapowiedział on, że Rosja podczas planowanych negocjacji weźmie pod uwagę doświadczenia z przeszłości, gdy Zachód ją oszukał w sprawie porozumień mińskich w 2014 r. (podpisanych po pierwszym etapie rosyjskiej agresji na Ukrainę i odkrojeniu krymskiego i donbaskiego plastra salami). Putin wiele razy w przeszłości powtarzał, że nie ma zaufania do zachodnich partnerów po tym, jak wielokrotnie wystawili Moskwę do wiatru. Co ciekawe, Trump z kolei mówił po rozmowie, że wierzy Putinowi, jest przekonany o jego woli zawarcia pokoju. Pieskow zauważył natomiast, że Kijów ma ograniczoną suwerenność, więc nadal nie można mu ufać. To złagodzone sformułowanie w porównaniu z powtarzanymi przez rosyjskich polityków i media absurdalnymi oskarżeniami władz Ukrainy o nazizm, faszyzm i banderyzm.

Fragment komentarza Pieskowa był poświęcony sankcjom Zachodu wobec Rosji. „Sankcje są szybko wprowadzane i równie szybko mogą być zniesione, jeśli taka będzie polityczna wola". To jedna z kluczowych kwestii, jaką Moskwa ma do rozegrania przy okazji negocjacji z Trumpem. Sankcje bolą i przyczyniają się do wielu problemów w zarządzaniu rosyjską gospodarką, dlatego Kreml poszukuje wszelkimi sposobami możliwości ich obejścia. Nowe otwarcie może stworzyć warunki do ich cofnięcia – i na to najwidoczniej Rosja liczy.

Moskwa jedną ręką odbiera telefon od Trumpa, a drugą ręką odpala w stronę Ukrainy kolejne rakiety i drony, które zabijają, ranią i niosą zniszczenie. Czy Putin przystroi się w piórka gołębia pokoju? Wydaje się, że nie ma na to teraz ochoty – w jego pojęciu armia rosyjska ma szanse poczynić postępy na froncie. Po rozmowie tylko Trump oznajmił, że Putin ma na celu pokój. Sam Putin nie wykonał żadnego gestu poświadczającego taki zamiar.

„Rosja potrzebuje gwarancji, że na Ukrainie nie będzie pełnowartościowej armii, zachodniej broni i baz. Trump ze swoją koncepcją wymiany [ukraińskich] złóż w zamian za gwarancje bezpieczeństwa czy z pomysłem ustanowienia europejskich jednostek pokojowych na linii rozgraniczenia nie wpisuje się w ten schemat" – napisała politolożka Tatiana Stanovaya z Carnegie Russia Eurasia Center.

W przekładzie z putinowskiego

A o czym mówił Putin? Zaraz po inauguracji Trumpa oznajmił: w pierwszym rzędzie należy usunąć praprzyczyny kryzysu. Natomiast co do samego uregulowania sytuacji, „celem powinno być nie krótkie przerwanie ognia, które może być wykorzystane do przegrupowania sił dla kontynuacji konfliktu, a długotrwały pokój na bazie poszanowania uprawnionych interesów wszystkich ludzi, wszystkich narodów, żyjących w tym regionie". W tłumaczeniu z putinowskiego na nasze: poszanowania praw Rosji do zarządzania Ukrainą. Całą Ukrainą, która zrezygnuje z zachodniego wektora rozwoju. Do tego sprowadzają się wysiłki Kremla.

„Moskwa nie ma zamiaru ograniczać swoich celów. Putin jest przekonany, że Rosja może ugrać swoje i bez Amerykanów: wystarczy poczekać, aż Ukraina sama się rozpadnie, a rosyjska armia posunie się tak daleko, że ostatki ukraińskich sił zbrojnych stracą chęć do walki – pisze Stanovaya. – Podejmowane przez Trumpa próby zmuszenia Europejczyków do wzięcia spraw bezpieczeństwa w swoje ręce, a Ukrainy do podjęcia rozmów z Rosją tylko pomagają Moskwie w realizacji tych celów. Dla Putina rozmowy z Trumpem to teraz rzecz drugorzędna, która pozostaje w cieniu celu nadrzędnego: otrzymania »przyjaznej Ukrainy«".

Dodajmy: bez Zełenskiego, który jest solą w oku Putina.

Słowa o konieczności usunięcia praprzyczyn konfliktu padły też podczas rozmowy telefonicznej 12 lutego. Można założyć, że na liście warunków Putina znalazły się: zagrodzenie Ukrainie drogi na Zachód, gwarancje, że nie zostanie przyjęta do NATO nawet w długiej perspektywie, potwierdzenie rosyjskich zdobyczy terytorialnych, nierozliczanie za rozpętanie wojny i zadane ofierze straty. No i wspominane już jak najszybsze zniesienie sankcji.

Trzy lata temu Putin jako cele „specjalnej operacji wojskowej" (jak nazywa napaść na Ukrainę) wskazywał „demilitaryzację" i „denazyfikację" Ukrainy. Potem te propagandowe zawołania to znikały, to znów wypływały. Putin dowodził także, że państwo ukraińskie to sztuczny twór, wymyślony przez Lenina, a Rosjanie i Ukraińcy to jeden naród. Czy będzie próbował przekonać do tego Trumpa? W grudniu 2021 r., w przeddzień agresji,

GETTY IMAGES

Władimir Putin przemawia podczas koncertu upamiętniającego 81. rocznicę zakończenia oblężenia Leningradu. Moskwa, 27 stycznia 2025 r.

ogłoszone zostały przez rosyjską dyplomację założenia i cele gry: wypchnięcie USA z Europy, osłabienie NATO, zniszczenie europejskiej solidarności i odzyskanie strefy wpływów w Europie Środkowej. Inaczej patrzymy na tę listę po monachijskiej konferencji bezpieczeństwa. Putin patrzy na nią tak samo: realizujemy i już.

Moskwa chwali Trumpa

Czy Trump przyjmie warunki Putina jako wstęp do rozmów? Warunków stawianych przez Trumpa Rosji nie znamy. Może ich nie ma? Putin otrzymał od Trumpa podarunek: Trump rozmawia z nim jak równy z równym, nie stawia warunków wstępnych, nie oskarża Rosji o pogwałcenie prawa międzynarodowego, o zbrodnie wojenne. Czy za ten prezent Trump spodziewa się otrzymać coś w przyszłości? Czy to część taktyki negocjacyjnej? Czy to skuteczna broń w kontaktach z Putinem? Czy Trump będzie skłonny zaspokoić apetyty Putina?

Dużo znaków zapytania unosi się nad tym stolikiem. A nie wiemy nawet, gdzie ten stolik stanie i kto przy nim zasiądzie.

O tym, że telefon Trumpa otworzył przed Rosją „okno możliwości" w wielu kwestiach, może świadczyć zapał, z jakim propagandowa obsługa Kremla przyjęła np. tezy wystąpienia sekretarza obrony Pete'a Hegsetha wygłoszone na spotkaniu grupy Ramstein (niemożność powrotu Ukrainy do granic sprzed 2014 r., członkostwo w NATO). „Widać, że Trump tępą piłą piłuje jedność Zachodu. Odbiera nam chleb. To my chcieliśmy przepiłować Zachód, by go podzielić, a tymczasem to Trump wykonuje za nas tę robotę" – podkreślił z zadowoleniem jeden z uczestników programu „60 minut" na antenie TV Rossija. W najważniejszych programach analitycznych już w niedzielę wieczorem można była dostrzec zmianę tonu. Dotychczas od rosyjskich komentatorów zbiorczo obrywał „kolektywny Zachód" – teraz przekaz zniuansowano: chwalono Trumpa i zmianę amerykańskiej polityki, ganiono Europę.

Moskwa zademonstrowała swoją dobrą wolę, zgadzając się na „małą wymianę jeńców": wypuściła z łagru amerykańskiego nauczyciela Marca Fogla (skazanego na 14 lat za posiadanie marihuany). W zamian amerykańskie więzienie opuścił obywatel Rosji, informatyk Aleksandr Winnik, nazywany „królem kryptowalut", skazany za pranie brudnej forsy. Łaskawość Kremla rozciągnęła się także na obywatela USA, który został zatrzymany 7 lutego na moskiewskim lotnisku za posiadanie marmoladek z cannabisem – 28-letni Kalob Byers został zwolniony z aresztu.

Negocjacje dopiero się zaczynają. Można w ciemno obstawiać, że będą bardzo trudne i żmudne, a ich rezultat – nie do przewidzenia. ©

Tekst ukończono rano 17 lutego.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik) Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak,
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik), Joanna Pelka
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Marcin Wójcik, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Zagwozdka

„Ja jestem ze dwunaście rodzajów chłopskich: Chłoptas porodził Gruczoła, Gruczoł porodził... Warchoła, a Warchoł porodził Marchołta, a ja jestem Marchołt". Czy pamiętają państwo ze szkoły ten charakterystyczny wyimek z „Rozmów, które miał król Salomon mądry z Marchołtem grubym a sprosnym"? To nie był jedyny tekst z podręcznika, którym raczyłam swoją siostrzyczkę w jej wieku przedszkolnym. Do dziś cieszy on nas niepomiernie, a ja nie ważę sobie lekce genealogii biblijnych.

Z jednej z nich wyłuskuję rodowód Mojżesza. „A oto imiona synów Lewiego, podług rodowodów ich: Gerszon, i Kehat i Merari... A synowie Kehata: Amram, i Ic'har, i Chebron, i Uzyel... I pojął Amram Jochebedę, ciotkę swoję, sobie za żonę; i urodziła mu Ahrona i Mojżesza" (Wj 6, wersy: 16, 18 i 20; Cylkow). Zatem mamy linię męską: Lewi, ojciec Kehata, ojciec Amrama, ojciec Mojżesza. Ze strony matki nawet krócej: Lewi jest dziadkiem Mojżesza. Na liście potomków Jakuba, którzy zstąpili wraz z nim do Egiptu, odnajduję Kehata: „A oto imiona synów Israela, przybyłych do Micraim: Jakób i synowie jego... A synowie Lewiego: Gerszon, Kehath i Merari" (Rdz 46, wersy 8 i 11). Dziadek – a zarazem wujek – Mojżesza, ze względu na panujący w Kanaanie głód, znalazł się w Egipcie, już zaś jego wnuk – a zarazem siostrzeniec – stanął na czele Exodusu. Ile lat zatem, według Biblii, trwała niewola Izraelitów pod rządami faraonów?

Bezpośrednią odpowiedź znajdujemy w Księdze Wyjścia: „A czasu pobytu synów Israela, który spędzili w Micraim, było czterysta trzydzieści lat" (Wj 12, 40). Komentatorzy oczywiście zauważają, że to zbyt dużo, i próbują te 430 lat wyjaśnić, między innymi łącząc je z zapowiedzią, którą Abraham otrzymał podczas zawierania przymierza z Najwyższym: „Wiedzieć tobie, że obcym będzie ród twój w ziemi nie swojej, i ujarzmią ich, i ciemiężyć ich będą – czterysta lat" (Rdz 15, 13). Dodają, że ową zapowiedź pierwszy z Praojców usłyszał 30 lat przed urodzeniem Izaaka, natomiast te 400 lat należy zacząć liczyć od tegoż urodzenia, albowiem Izaak był w Kanaanie „obcy". Z innych przymiarek najbardziej odpowiada mi midraszowa, kierująca naszą uwagę na to, co dużo ważniejsze. Rzekł Bóg: „Jeśli się do Mnie nawrócą, wybawię ich według liczby pokoleń [Rdz 15, 16: „w czwartém pokoleniu powrócą tu"], jeśli nie – według liczby lat". ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Lustereczko

„Polecam wszystkim, którzy tęsknią za głębszym spotkaniem z Chrystusem, [Mszę trydencką, która] jest prawdziwym duchowym skarbem. Warto spróbować uczestniczyć w niej chociaż raz, aby doświadczyć niezwykłej atmosfery skupienia i modlitwy. Odprawiana w języku łacińskim, z pięknymi chorałami i tradycyjnymi gestami, przenosi nas w czasie i pozwala poczuć, jak głęboko zakorzeniona jest nasza wiara. To wyjątkowe doświadczenie duchowe, które może pomóc w odnowieniu naszej relacji z Bogiem. Zachęcam do odkrywania tej formy Liturgii, która nie tylko odwołuje się do tradycji, ale także prowadzi do głębszego zrozumienia i przeżywania misterium Eucharystii" – czytam w internecie. A teraz to samo, tylko na odwrót.

„Polecam wszystkim, którzy tęsknią za głębszym spotkaniem z Chrystusem, mszę zwyczajnego rytu rzymskiego, która jest prawdziwym duchowym skarbem. Warto spróbować uczestniczyć w niej chociaż raz, aby doświadczyć niezwykłej atmosfery skupienia i modlitwy. Odprawiana w języku polskim, z pięknymi pieśniami i tradycyjnymi gestami, przenosi nas w czasie i pozwala poczuć, jak głęboko zakorzeniona jest nasza wiara. To wyjątkowe doświadczenie duchowe, które może pomóc w odnowieniu naszej relacji z Bogiem. Zachęcam do odkrywania tej formy liturgii, która nie tylko odwołuje się do tradycji, ale także prowadzi do głębszego zrozumienia i przeżywania misterium Eucharystii". Komentarz narzuca się sam: „Lustereczko, lustereczko, powiedz przecie, kto najpiękniejszy jest na świecie?". A do czego takie zapatrzenie w siebie prowadzi, wiemy nie tylko z bajki o królewnie Śnieżce, ale i z historii wojen religijnych. I nie tylko.

Lustereczkiem, które mówi prawdę o „głębi relacji z Bogiem", nie są piękne przeżycia duchowe, ale słowa Jezusa: „Kochajcie swoich wrogów, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą, dobrze życzcie tym, którzy was przeklinają, módlcie się za tych, którzy wam szkodzą. Temu, kto cię uderzy w policzek, nadstaw i drugi, a temu, kto ci odbiera płaszcz, nie broń i koszuli. Każdemu, kto cię prosi, dawaj, a od tego, kto bierze, co twoje, nie żądaj zwrotu. A jak chcecie, aby wam ludzie czynili, czyńcie im podobnie". Głębię wiary mierzy się na przykład kilogramami kartofli podarowanych caritasowskiej kuchni czy sumą pieniędzy zebranych przez charytatywne fundacje. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Bardziej „być” niż... mówić

W Święto Cyryla i Metodego Liturgia prześwietliła nas Słowem zaczerpniętym z Ewangelii św. Łukasza, zlecającym misję siedemdziesięciu dwóm uczniom (zob. Łk 10, 1-9). Orędzie, z jakim posyła ich Jezus, zostało zamknięte w jednym zdaniu: „Przybliżyło się do was królestwo Boga”. Zdanie to pada jako ostatnie w przemówieniu Pana (w. 9b). Wcześniej (w. 3-9a) Chrystus obszernie opisuje postawy, jakich oczekuje od swoich uczniów: mają być bezbronni „jak owce między wilkami”, zdani na dobroć tych, do których dotrą, wnoszący wszędzie „pokój”, poprzestający na tym, co zostało im zaoferowane, bez poszukiwania lepszych warunków („nie przechodźcie z domu do domu”), z uwagą skupioną szczególnie na chorych („uzdrawiajcie chorych, którzy tam są”). Trudno nie zapytać, skąd się biorą te proporcje: tak niewiele o tym, co mają mówić, a tak wiele o tym, jakimi mają być, aby ich misja mogła być owocna.

Odpowiedź kryje się w zdaniu otwierającym perykopę, które definiuje misję uczniów: Jezus wyznaczył „jeszcze innych siedemdziesięciu dwóch i wysłał ich po dwóch przed sobą do każdego miasta i miejscowości, dokąd sam przyjść zamierzał” (Łk 10, 1). Czytając te słowa, trzeba koniecznie sięgnąć do tekstu oryginalnego. Brzmi on nieco inaczej niż polski przekład i mówi nie tyle „wysłał ich przed sobą”, co dosłownie: „wysłał ich przed swoją osobą” (*pró prosópou autou*) lub – jak przetłumaczył na łacinę św. Hieronim – „wysłał ich przed swoją twarzą” (*ante faciem suam*).

Oczywiście, twarz można opisać. Znacznie sensowniej jest ją jednak po prostu pokazać. Przedstawić Twarz Tego, który jest „Barankiem Bożym, który gładzi grzechy świata” i którego „kości nie będą łamane”, gdyż jest Barankiem Paschalnym. Pokazać Twarz Tego, który „będąc bogatym, dla nas stał się ubogi” i który „nie ma, gdzie by głowę mógł skłonić”. Objawiać Tego, który ogłasza: „Pokój zostawiam wam; pokój mój daję wam. Nie tak, jak daje świat – Ja wam daję”. Być portretem Tego, który nie tyle „leczył wszystkie choroby”, ale brał je na siebie – z czułością i męstwem dotykając każdego chorego (z trędowatymi włącznie).

Jeśli nie potrafimy (nie chcemy) Go pokazać takim, jakim jest, nie ma wielkiego sensu o Nim mówić. Ostatecznie Słowo o Bogu jest nie tyle spisane, co wcielone! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

Nie żyjemy życiem intelektualnym sami z siebie, lecz żyje w nas Bóg, Życie nieskończone.

MIKOŁAJ Z KUZY

Człowiek jest symbolem. Wewnątrz symbolu ukryty jest żywy Wzorzec.

POWIEDZENIE SUFICKIE

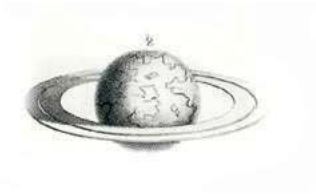

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (23 II – 2 III)

7. niedziela zwykła: 1 Sm 26, 2. 7-9. 12-13. 22-23; Ps 103; 1 Kor 15, 45-49; Łk 6, 27-38;
Poniedziałek: Syr 1, 1-10; Ps 93; Mk 9, 14-29;
Wtorek: Syr 2, 1-11; Ps 37; Mk 9, 30-37;
Środa: Syr 4, 11-19; Ps 119; Mk 9, 38-40;
Czwartek: Syr 5, 1-8; Ps 1; Mk 9, 41-43. 47-50;
Piątek: Syr 6, 5-17; Ps 119; Mk 10, 1-12;
Sobota: Syr 17, 1-15; Ps 103; Mk 10, 13-16;
8. niedziela zwykła: Syr 27, 4-7; Ps 92; 1 Kor 15, 54b-58; Łk 6, 39-45.

KRAJ

Prof. Antoni Dudek.
Warszawa, sierpień 2023 r.

RUBIKON DUDKA

Był czas, gdy jako badacza historii najnowszej z IPN, kojarzono go z prawicą. Dziś jest w PiS wręcz znienawidzony. Czy Antoni Dudek zmienił poglądy – czy politycy zderzyli się z człowiekiem, którego niełatwo sformatować?

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Profesor Dudek, mocno dotychczas dbający o zachowanie politycznej bezstronności, stracił dystans przy Karolu Nawrockim. Określił go jako człowieka niebezpiecznego, o autorytarnych skłonnościach, dążącego do celu po trupach. Słowa te wywołały duży oddźwięk i nie wszyscy uznali je wyłącznie za wyraz osobistej, emocjonalnej opinii o kandydacie PiS. Dla niektórych słowa Dudka mogą oznaczać więcej, np. zamiar wejścia do świata polityki.

Najostrzej zareagował Jarosław Kaczyński. Przekonywał, że historyk w przeszłości „bardzo często się mylił", a jako dowód przywołał – nieprecyzyjnie – jego przynależność do socjalistycznej młodzieżówki. Był jednak czas, gdy prezes PiS oraz wielu innych polityków prawicy uważało go za swojego. Dudek miał jednoznacznie negatywny stosunek do komunizmu, opowiadał się za lustracją. Co uważa obecnie?

Pozytywistyczny socjalista

Urodził się w 1966 r. w Krakowie. Ojciec był technikiem budowlanym, matka księgową, ma też starszego brata. Jak sam wspomina, dorastał w zwyczajnej rodzinie, której członkowie nie brali udziału w życiu publicznym. Mieszkali na typowym krakowskim blokowisku, kiedyś nazywano je osiedlem XXX-lecia PRL, dziś jednak wróciło do tradycyjnego określenia: Krowodrza Górka.

– Antek w szkole podstawowej był zawsze najlepszy w klasie z historii – opowiada Katarzyna Mach, koleżanka z osiedla, która przez jakiś czas siedziała z Dudkiem w jednej ławce. – Miał najfajniejszego psa na całym podwórku, boksera, wszyscy się z nim bawiliśmy.

Już wtedy Dudek miał opinię mola książkowego i zupełnie nie interesował się sportem. W 1981 r. trafił do XIV LO i szybko zadziwił znajomych. Jako 16-latek zapisał się do ZSMP. Jaruzelski toczył wówczas wojnę z narodem.

Kolegą Dudka z liceum był Maciej Gawlikowski, dziennikarz i filmowiec, w latach 80. działacz KPN. Z powodów politycznych został wyrzucony z krakowskiego I Liceum i trafił do Czternastki. – To było specyficzne liceum, wtedy na obrzeżach Krakowa, położone w pobliżu osiedli z milicyjno-wojskowymi blokami. Gdy tam trafiłem, spotkałem dwóch chłopaków z tego liceum, których wcześniej poznałem, siedząc w milicyjnej izbie dziecka, pełniącej rolę aresztu dla zatrzymanych niemających skończonych 17 lat. Oprowadzali mnie po szkole, mówiąc, kto jest kim – opowiada Gawlikowski.

Było to dla niego szokujące doświadczenie, bo w Jedynce w ogóle nie było ZSMP. Koledzy najpierw pokazali mu przewodniczącego organizacji, który miał przezwisko „Beton" i był synem zomowca. Potem wskazali wiceprzewodniczącego, właśnie Antoniego Dudka, którego przedstawili jako „inteligentnego i sympatycznego gościa, z którym można dyskutować i może nawet uda się go kiedyś naprostować".

Gawlikowski trafił do Czternastki we wrześniu 1983 r. i już 4 stycznia 1984 r. wpadł w kocioł z dużą paczką bibuły. Podejrzewany o jej druk, miał wraz z kolegą z tej samej szkoły sprawę karną przed sądem dla nieletnich. Drugiego kolegę zamknięto w areszcie. – Wylecieliśmy ze szkoły z hukiem następnego dnia. Wtedy zdarzyło się coś, co mnie bardzo zdziwiło. Choć szkoła miała opinię czerwonej, zrobiła się duża akcja na rzecz przywrócenia nas. Pod zdecydowanym apelem w tej sprawie podpisało się aż 160 uczniów. Jednym z sygnatariuszy był Antek Dudek, wiceprzewodniczący ZSMP – opowiada filmowiec.

Sam prof. Dudek tak dziś tłumaczy swój socjalistyczny epizod: – Wiek 15-16 lat to czas buntu przeciwko własnemu otoczeniu, a on może mieć różną formę. W moim przypadku był to bunt o charakterze politycznym przeciwko mojemu środowisku, które było prosolidarnościowe. Uważałem się wtedy za człowieka lewicy, czytałem Marksa, Lenina, uznałem więc, że wstąpię do ZSMP. Przez dwa lata wyleczyłem się jednak z roli działacza organizacji politycznych, jakichkolwiek – opowiada Dudek, który w ZSMP spotkał dzieci pułkowników, generałów, partyjnych działaczy. Zapisywały się pod presją rodziców, a sprawy ideowe ich nie obchodziły. Chciały tylko imprezować i korzystać z przywilejów.

Biograf Moczulskiego

Gwałtowną ewolucję ideową przeszedł po dostaniu się na Uniwersytet Jagielloński. – Przeczytałem „Główne nurty marksizmu" Leszka Kołakowskiego i lewicowe ideały nagle mi wywietrzały. Stałem się gospodarczym liberałem – mówi.

Dudek zaczął współpracować z opozycyjnymi grupami i pisać do gazetek podziemnego NZS. Przede wszystkim zaś związał się z tzw. Klubem Chrześcijańsko-Liberalnym, czyli grupą młodzieży, która do postulatów demokratycznych i niepodległościowych dorzucała idee rynkowe. Pozostawali pod wpływem niegdyś eksperta i rzecznika małopolskiej Solidarności, a potem znanego zwolennika gospodarczego liberalizmu Mirosława Dzielskiego. Animatorem klubu był do niedawna naczelny „Rzeczpospolitej", obecnie naczelny grupy wydawniczej Gremi Media Bogusław Chrabota. Właśnie jako przedstawiciele tego klubu obaj wzięli w grudniu 1988 r. udział w pierwszym ogólnopolskim Kongresie Liberałów w hotelu Heweliusz w Gdańsku.

– Antek był już wtedy jednoznacznie po stronie opozycji antykomunistycznej – wspomina Chrabota. – Po transformacji nasze środowisko się rozproszyło. Wezwanie Mirosława Dzielskiego, by się bogacić, okazało się na tyle mocne, że wielu ludzi z naszego kręgu poszło w biznes. Ja sam trafiłem do mediów, a Antek poszedł w pracę naukową i został kronikarzem najnowszej historii.

W 1990 r. Dudek ukończył studia na UJ. Formalnie jest absolwentem politologii, choć realizował studia interdyscyplinarne. Szybko zaczął też publikować. – Był rok 1992, odezwał się do mnie kolega z KPN. Powiedział, że ma z kumplem wydawnictwo i chcą, żeby ukazała się w nim rozmowa z Leszkiem Moczulskim. Zgodziłem się, a oni na to: „Mamy dla ciebie współautora, który jest świetny z historii PRL". Gdy padło nazwisko, zdrętwiałem. „Ten działacz ZSMP?!", zapytałem. Na co koledzy: „Daj spokój, na studiach sporządniał, nie był w żadnych organizacjach komunistycznych, kolportował bibułę. To porządny człowiek" – relacjonuje Gawlikowski.

Efektem ich współpracy była książka „Leszek Moczulski – bez wahania", a Dudek stał się szybko znanym badaczem dziejów najnowszych. – Napisał cenioną biografię Bolesława Piaseckiego, a także książkę o walkach ulicznych w Polsce w czasach komunizmu. Jego prace dotyczące historii Kościoła w PRL współtworzą kanon historiografii polskiej – mówi prof. Paweł Machcewicz, były dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN (Dudek był tam jego podwładnym), a następnie ↦

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

↦ pierwszy dyrektor Muzeum II Wojny Światowej.

– Dudek był pionierem badań nad III RP. Jako pierwszy napisał historię pierwszych lat transformacji ustrojowej i choć dziś już wielu badaczy się tym tematem zajmuje, to idą na ogół jego śladami – twierdzi prof. Machcewicz, podkreślając przy tym, że Dudek zawsze starał się, by jego tezy i opinie miały potwierdzenie w wiarygodnych źródłach. Dlatego wydana w 1997 r. książka „Pierwsze lata III RP" wciąż się broni. Sam autor mówi, że nie musiał od tamtego czasu radykalnie korygować poglądów.

Nie poleciał do Katynia

Przełomem w karierze Dudka stało się powołanie do życia w 2000 r. Instytutu Pamięci Narodowej. Pracę zaproponował mu Machcewicz, który został w IPN dyrektorem Biura Edukacji Publicznej. Dudek dostał fotel naczelnika Wydziału Badań Naukowych w BEP. – Stworzył zespół naukowy według najwyższych standardów, a jednocześnie pluralistyczny światopoglądowo – przyznaje Machcewicz.

Prof. Jan Żaryn, mocno dziś związany z PiS, pracował wtedy wspólnie z Dudkiem. Przyznaje, że w ówczesnych czasach Instytut wypromował całą grupę historyków, do których należał on sam i Dudek, którzy dzięki dynamicznym działaniom i dobrym kontaktom z mediami stali się szybko rozpoznawalni. Właśnie w tamtym okresie Dudek, jak sam zresztą przyznaje, najmocniej zastanawiał się, czy nie przekroczyć politycznego Rubikonu i nie kandydować na prezesa IPN po kończącym w 2005 r. swą kadencję Leonie Kieresie.

– Przez kilka tygodni rozważałem start w tych wyborach. Gdybym wygrał, siłą rzeczy wszedłbym do polityki. Na szczęście okazało się, że nie mam szans. Jeśli zostałbym prezesem IPN, to byśmy nie rozmawiali, bo zapewne znalazłbym się w samolocie do Katynia – mówi Dudek. – Jestem więc bardzo szczęśliwy, że nie kandydowałem. Zresztą jako doradca Janusza Kurtyki od 2006 r. obserwowałem z bliska, jaka to jest robota – dodaje.

W 2011 r. przyjęto nową ustawę o IPN, która umożliwiła wybór władz po bezkrólewiu, trwającym przez rok od śmierci Kurtyki. Dudek znowu sam nie chciał kandydować, ale namówił do startu Łukasza Kamińskiego, który ostatecznie uzyskał rekomendację na stanowisko prezesa od Rady IPN, czyli ciała, które w myśl nowej ustawy powstało na miejsce Kolegium Instytutu. Jej członkiem został m.in. Dudek, który w 2015 r. został nawet przewodniczącym rady, zlikwidowanej kolejną nowelizacją rok później, już przez Sejm zdominowany przez PiS.

– Kamiński został prezesem IPN z namaszczenia Antoniego Dudka; on był jego kingmakerem, ale wszyscy wtedy myśleli, że sam Dudek obejmie tę funkcję. On jednak tłumaczył, że woli być doradcą prezesa niż zmagać się z całą instytucją – mówi prof. Andrzej Zawistowski, w latach 2012-16 dyrektor BEP IPN.

Umieszczenie Kamińskiego na fotelu prezesa IPN nie było jednak łatwe. Na początku on sam odmówił Dudkowi. – Byłem umówiony z prezesem Kurtyką na 5 lat pracy w Warszawie i chciałem wrócić do Wrocławia – relacjonuje Kamiński. Potem zmienił jednak zdanie. Twierdzi, że przeważyło poczucie odpowiedzialności za państwo. Dudek okazał się przekonujący.

On sam uważa, że IPN pod rządami Kamińskiego był instytucją pluralistyczną, podobnie jak Rada IPN. – Niestety, nowelizacją z 2016 r. IPN został zamieniony w instytucję totalnie PiS-owską i wypchnięto z niej wszystkich myślących inaczej. Instytut stał się wręcz wydziałem propagandy PiS – mówi prof. Dudek.

Jak rozchodziły się drogi

Jako członek i szef Rady IPN Dudek został zapamiętany z wielu pomysłów popularyzatorskich. Zawistowski pamięta, że już wtedy proponował, by uruchomić kanał na YouTubie. Zgłosił też pomysł stworzenia historycznego „escape roomu", czyli nowoczesnego centrum edukacyjnego. Miało powstać w Łodzi, w dawnym budynku Zarządu Regionu „Solidarności", a IPN był wstępnie dogadany z władzami samorządowymi Łodzi. – Niestety, pomysł został przez nową ekipę Jarosława Szarka wystrzelony w kosmos – mówi.

Doświadczenia pierwszych lat istnienia IPN Dudek podsumował książką „Instytut. Osobista historia IPN", wydaną w 2011 r. Opisał tam pracę w BEP za Leona Kieresa, jak i czasy 2006-10, gdy był doradcą prezesa Kurtyki – w tym jeden z największych kryzysów w dziejach IPN, związany z wydaniem w 2008 r. książki „SB a Lech Wałęsa" Piotra Gontarczyka i Sławomira Cenckiewicza. Autorzy twierdzili na podstawie szczątkowych dokumentów, że były prezydent stał się na początku lat 70. tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie „Bolek". Przedstawili też dowody na niszczenie przez Wałęsę kompromitujących dokumentów, gdy był już prezydentem. Ich główna teza znalazła potwierdzenie w 2016 r., gdy w domu gen. Czesława Kiszczaka znaleziono oryginał teczki TW „Bolka". Jednak w 2008 r. książka o Wałęsie budziła gwałtowne polityczne emocje. Dziś niektórzy byli pracownicy IPN, pragnąc zachować anonimowość, oceniają postawę Dudka w tamtej sprawie jako koniunkturalną.

– Antek zbyt łagodnie odniósł się do tej sprawy w swej książce „Instytut". Ja oceniam książkę o Wałęsie dużo ostrzej, gdyż nie spełniała żadnych standardów naukowych. Nie mam wątpliwości, że Lech Wałęsa był TW „Bolkiem", jednak przerwał tę współpracę. Wbrew temu, co sugerują Cenckiewicz i Gontarczyk, po 1976 r. nie był prowadzony przez SB – mówi prof. Machcewicz.

Najbardziej krytyczną recenzję „Instytutu" Dudka przedstawił prof. Filip Musiał, szef krakowskiego oddziału IPN, w miesięczniku „Arcana" w 2011 r. Autor polemizuje zwłaszcza z krytycznymi opiniami Dudka o Kurtyce, jako prezesie upolityczniającym IPN i czyniącym z niego instrument polityki PiS. Między wierszami przypisuje też historykowi tendencje narcystyczne i opisywanie wydarzeń przez pryzmat własnych losów.

Wróg „Gazety Wyborczej"

W tamtych czasach drogi Dudka z PiS już wyraźnie się rozeszły. Wcześniej jednak badacz miał opinię osoby sympatyzującej z ideami prawicy, a Lech Kaczyński nadawał mu osobiście tytuł profesora w 2009 r. Jednym z wyznaczników jego „prawicowości" był aprobatywny stosunek do pomysłu szerokiego udostępniania archiwów dawnej SB. Prof. Machcewicz przyznaje, że obaj z Dudkiem zaangażowali się w tworzenie procedur dostępu do tych dokumentów. – Historycy, którzy podjęli pracę w IPN, w naturalny sposób byli rzecznikami otwierania archiwów. Zderzyliśmy się jednak z nieufnością i krytyką części środowisk liberalno-lewi-

cowych i „Gazety Wyborczej". Dotyczyło to zwłaszcza Antoniego, który wypowiadał się w bardzo wyrazisty sposób – mówi prof. Machcewicz.

Sam Dudek przyznaje, że jako zwolennik lustracji był w pewnym okresie postrzegany jako osoba bliska PiS. Partia ta popierała bowiem działalność IPN. – W ważnych szczegółach się różniliśmy, ale w oglądzie „Gazety Wyborczej" stanowiliśmy jedną lustracyjną mafię, która chce wszystko zniszczyć i teczkami pozabijać polskie elity – mówi z ironią prof. Dudek.

Zaznaczający się z czasem wyraźny dystans wobec PiS, z którym dzieliły go np. wolnorynkowe poglądy, pogłębiła narracja historyczna tej partii, naginająca fakty do celów politycznych. – Antoni to rzetelny i uczciwy badacz. Musiał przejść na pozycje antypisowskie, ponieważ PiS w pewnym momencie zaczął dekonstruować historię poprzez wyolbrzymianie sprawy Wałęsy i próby tworzenia z Lecha Kaczyńskiego symbolu Solidarności. Właściwie kwestionowano wszystko, czym była polska droga do wolności. Przyzwoicie myślący historyk musiał się wobec tego zdystansować – twierdzi Chrabota.

Z PiS podzieliła go też sprawa decentralizacji państwa. W 2018 r. Dudek zaangażował się w społeczny ruch na rzecz wzmocnienia kompetencji samorządów. Był współtwórcą projektu Karta Wojewódzka, przygotowanego w ramach pozarządowego projektu Zdecentralizowana Rzeczpospolita. PiS uznał to za propagowanie rozbicia dzielnicowego.

Dudek, idol młodzieży

Kamieniem milowym na drodze do popularności Dudka stało się uruchomienie na YouTubie własnego kanału propagującego historię. Ma on dziś 150 tys. subskrybentów, a jego autor – status gwiazdy, także w młodym pokoleniu. – Na SGH, gdzie uczę, Antoni kilka razy był gościem zapraszanym przez samych studentów i wypełniającym nawet kilkusetosobowe aule. Znalazł sposób na dotarcie do młodych ludzi, stał się dla nich synonimem współczesnego historyka – przyznaje prof. Zawistowski.

Także Łukasz Kamiński z podziwem patrzy na internetową aktywność prof. Dudka, który przebojem wszedł w świat, którego wielu profesjonalnych historyków się obawia. Jego zdaniem Dudek ma wyjątkowy talent do łączenia rzetelnego przekazu z interesującą formą.

MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

ANTONI DUDEK, HISTORYK:

Przez kilka tygodni rozważałem start w wyborach na prezesa IPN. Gdybym wygrał, siłą rzeczy wszedłbym do polityki. Na szczęście okazało się, że nie mam szans.

Jan Żaryn, choć politycznie się z Dudkiem bardzo różni (był m.in. senatorem PiS), chwali go za popularyzowanie historii. Mniej przychylnie ocenia go jako komentatora politycznego. Zwraca uwagę, że swoje sądy Dudek wygłasza ze zbyt dużą dozą pewności, brakuje mu też pokory, tymczasem nie raz zdarzało mu się mylić w prognozach.

W 2023 r. w „Tygodniku Powszechnym" ukazał się np. wywiad z Dudkiem, w którym prognozował, że wybory parlamentarne nie będą uczciwe. – Dalej uważam, że one nie były uczciwe, tylko że okazało się, iż powstał potężny front antypisowski. Nowa koalicja uzyskała przewagę na poziomie 30 mandatów, więc Kaczyński skapitulował. Gdyby to było jedynie kilka miejsc w Sejmie, mielibyśmy gigantyczną awanturę o wynik wyborów i prawdopodobnie rozwiązania siłowe – twierdzi historyk.

To radykalna opinia, równie kontrowersyjna jak przestrzeganie Polaków przed Karolem Nawrockim jako niebezpiecznym człowiekiem dążącym do autorytaryzmu. Czy Dudek nie wyszedł tu z roli? – Jego słowa o Nawrockim przekraczały granice stawiane przez bezstronnego badacza. W ten sposób opowiedział się faktycznie po stronie innego kandydata. Jest człowiekiem błyskotliwym i zapewne rozumie, że tym innym może być tylko Rafał Trzaskowski – uważa Jan Żaryn, dziś członek komitetu poparcia Nawrockiego.

Prof. Sławomir Cenckiewicz dodaje: – Antek złamał własną zasadę „dudkizmu", czyli siedzieć okrakiem na barykadzie, trzymając równy dystans do uczestników sporu.

Sam Antoni Dudek nie wycofuje się ze swej opinii o Nawrockim i powtarza, że uważa go za człowieka niebezpiecznego, który zamienił IPN w „Instytut Promocji Nawrockiego". Przyznaje zarazem, że choć kiedyś został zakwalifikowany do obozu „symetrystów", rozdających równomiernie razy w stronę PiS oraz PO, wystąpieniem w sprawie Nawrockiego dokonał pewnej wolty.

Czy to oznacza akces do polityki? Maciej Gawlikowski opowiada następującą anegdotę. – W połowie lat 90. Antek miał już za sobą pierwsze sukcesy. Pytam go: „To kiedy wchodzisz do polityki?". Na co on się uśmiechnął i mówi: „Nie, jeszcze nie teraz, wystartuję dopiero w wyborach prezydenckich, muszę sobie najpierw wyrobić pozycję". To było oczywiście powiedziane żartobliwie, ale od tych słów minęło 30 lat i niewykluczone, że kiedyś się spełnią – uważa filmowiec.

Sam Dudek kategorycznie zaprzecza, że chciałby kandydować w wyborach prezydenckich. – Jestem przecież przeciwnikiem powszechnych wyborów prezydenckich – podkreśla. – Nie mogę jednak powiedzieć, że nigdy nie zaangażuję się w politykę. Jeśli okaże się, że polski porządek demokratyczny upada w sposób definitywny, a nie wykluczam, że w ciągu kilku lat taki scenariusz może się zmaterializować, to wtedy się zastanowię – mówi.

Czy takie warunki zaistnieją, jeśli wygra Nawrocki? ©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

Na zakładzie bez zmian

MAREK RABIJ

Realizacja ogłoszonej właśnie strategii gospodarczej rządu zależeć będzie w znacznej mierze od spółek skarbu państwa. Koalicjanci w wyborach obiecali je odpolitycznić. Wyszło jak zwykle.

Początkowo Tusk podobno się wściekł. Tuż przed konferencją, podczas której premier miał ogłosić przełomową dla polskiej energetyki inwestycję w wielką farmę wiatrową na Bałtyku, Wirtualna Polska opisała, jak prezes państwowej Grupy PGE – tej samej, która ma współrealizować to ważne przedsięwzięcie – urzędowanie zaczął od zlecenia remontu gabinetu i wymiany aut dla zarządu.

Sprawa dotyczyła wydania ok. 3,3 mln zł przez firmę, która rok wcześniej zanotowała przychody rzędu 95 mld zł. W języku politycznej dialektyki poprzedniej ekipy rządzącej tego typu rewelacje zostałyby okrzyknięte „kapiszonem", ale PiS przecież nie obiecywało w kampanii stu konkretów, wśród których znalazła się obietnica, że „w profesjonalnych i transparentnych konkursach wyłaniani będą apolityczni fachowcy".

Prezesowi PGE Dariuszowi Marcowi ostatecznie nie spadł z tego powodu włos z głowy. Sprawa sama przygasła po kilka dniach, bo dla polskiej opinii publicznej nieprawidłowości w spółkach skarbu państwa to od dawna nic więcej jak uciążliwa codzienność.

Niewykorzystany potencjał

Na liście stu największych polskich firm, którą w 2023 r. otwierał PKN Orlen z przychodami na poziomie 372,7 mld zł, a zamykała Grupa Kapitałowa Wipasz (5,5 mld zł) – tylko 27 było jeszcze własnością lub współwłasnością skarbu państwa. Jednak w pierwszej dziesiątce jest aż siedem takich podmiotów, w których decydujący głos ma dziś ministerstwo aktywów państwowych.

– Gdyby zsumować kapitał własny, jakim dysponują wszystkie firmy w Polsce, okaże się, że blisko 30 proc. kontrolują spółki skarbu państwa, a jednocześnie odpowiadają one tylko za 15 proc. przychodów ze sprzedaży – wylicza prof. Aneta Zelek, ekonomistka badająca zarządzanie korporacjami.

Potencjał drzemiący w potężnym sektorze przedsiębiorstw publicznych rząd Tuska zamierza rzucić teraz do inwestycyjnej ofensywy, która ma rozkręcić polską gospodarkę. Istotnie, drzemią tu niewykorzystane możliwości. Jak zauważa prof. Marcin Piątkowski z Banku Światowego, polskie firmy, zarówno prywatne, jak i państwowe, wyróżnia na tle europejskich konkurentów średnio o 50 proc. niższy poziom zadłużenia, a do tego wysokie zapasy kapitału. Według danych NBP z połowy ub. roku tylko przedsiębiorstwa spoza branży finansowej miały na swoich rachunkach ponad 488 mld zł. Gdyby – jak szacuje Piątkowski – aktywność inwestycyjna wszystkich polskich firm wzrosła do poziomu niemieckich, pozwoliłoby to krajowemu biznesowi sfinansować przedsięwzięcia o wartości ponad 1,2 biliona złotych. – Podniesienie skali inwestycji w Polsce z aktualnego poziomu ok. 17 proc. PKB do unijnej średniej ok. 22 proc. PKB powinno przyspieszyć wzrost gospodarczy o około 1 punkt procentowy, z 3 proc. do 4 proc. rocznie – kwituje Piątkowski.

Gdzie zostawić państwo

Czy na forpocztę tej inwestycyjnej ofensywy nadają się spółki skarbu państwa? Dziennikarze „Parkietu" wyliczyli niedawno, że w latach 2015-2023 kapitalizacja notowanych na giełdzie spółek, w których akcjonariacie skarb państwa odgrywa kluczową rolę, wzrosła o 12 proc. – do 252 mld zł. Cały WIG, czyli indeks polskiego rynku akcji, zyskał w tym samym czasie na wartości aż 31 proc. Dla części ekonomistów to ostateczny argument za tym, że państwo nie nadaje się na właściciela, a prywatyzacja, wokół której niemal kręciło się życie polityczne na przełomie stuleci, powinna jak najszybciej wrócić do państwowej agendy. Zwłaszcza z powodów personalnych.

– Do spółek skarbu państwa, zwłaszcza do ich rad nadzorczych, trafia nadal zbyt wielu nominatów spełniających zaledwie minima wymagane na tych stanowiskach – mówi prof. Zelek. – Częstą praktyką jest też powoływanie menedżerów nieznających firmy, pochodzących wręcz spoza branży. Takie nominacje działają demotywująco na personel, bo pokazują, że kluczowe stanowiska oddziela od pozostałych szklany sufit nominacji z klucza politycznego, którego nie można przebić doświadczeniem i oddaniem dla firmy.

Sektor prywatny bez wątpienia bogaci się szybciej od publicznego, ale dla wielu spółek skarbu państwa wyniki finansowe nie są przecież jedynym kryterium oceny efektywności. Czasem wręcz być nim nie powinny. Czy Wytwórnia Papierów Wartościowych powinna za wszelką cenę dążyć do optymalizacji kosztów produkcji? Czy życzylibyśmy sobie telewizji publicznej, w której bloki reklamowe trwają dwa razy dłużej od poprzerywanych nimi filmów i audycji, a zawartością ramówki rządzą jedynie wyniki oglądalności? A może w trosce o wynik finansowy Poczty Polskiej i PKP winniśmy przystać na przemnożenie stawek z ich cenników razy dziesięć? Pozorna naiwność zawarta w tych pytaniach skrywa inne o fundamentalnym znaczeniu. Gdzie nowoczesne państwo powinno pozostać w roli właściciela, a gdzie może oddać pole prywatnemu kapitałowi?

– W Polsce nie mieliśmy o tym poważnej debaty. Po entuzjastycznej, momentami wręcz chaotycznej prywatyzacji pierwszych dwóch dekad wolnego rynku przeszliśmy od razu do renacjonalizacji za drugich rządów PiS – podkreśla prof. Zelek. – W efekcie portfel spółek skarbu państwa to dziś przypadkowy zbiór podmiotów różnej wielkości, z rozmaitych branż i w bardzo różnym stanie. Jedno jest pewne: spółki strategiczne, w których kontrola państwa jest uzasadniona, to w tym gronie jakieś 40-50 podmiotów. Resztę można odsprzedać lub nawet zamknąć bez szkody dla interesu publicznego.

PAWEŁ SUPERNAK / PAP

„Polska. Rok przełomu" – konferencja z udziałem premiera Donalda Tuska. Giełda Papierów Wartościowych, Warszawa, 10 lutego 2025 r.

Stado Ogierów, spółka z o.o.

W oficjalnym rządowym zestawieniu według stanu na 27 maja 2024 r. widnieje 397 spółek skarbu państwa. Mamy tu oczywiście podmioty o znaczeniu strategicznym dla funkcjonowania i bezpieczeństwa kraju, jak Polska Grupa Zbrojeniowa, Wytwórnia Papierów Wartościowych, Poczta Polska albo Polskie Sieci Elektroenergetyczne, właściciel krajowego systemu przesyłu energii. Mamy czempionów rentowności pokroju KGHM, jednego z największych producentów miedzi i srebra na świecie, i energetyczne czebole – jak PGE czy Tauron, które zyskami z jednego sektora działalności finansują częściowo koszty w innych dziedzinach. Są podmioty w stu procentach zależne od państwa, jak choćby Polskie Linie Lotnicze Lot, i takie jak Orlen, naftowy mastodont, w którym skarb państwa ma decydujący głos jedynie dzięki rozdrobnieniu pozostałego akcjonariatu.

Nie brak tu jednak i rodzynków o trudnej do zdefiniowania dla państwa użyteczności, jak spółka Beskidzki Hurt Towarowy, czyli operator targu rolnego w Bielsku-Białej, katowicka fabryka żarówek Helios czy firma GymExpert z Bielska-Białej, która zapewne dostarcza automaty z napojami do klubów fitness. Zapewne – bo poza wpisami do rejestrów gospodarczych niewiele o niej wiadomo. W Katowicach, przy ulicy Mieszka I 10, w budynku wyglądającym na kameralny domek mieszkalny mieści się z kolei kontrolowana w 77 proc. przez resort aktywów państwowych firma DŚT, która, sądząc z opisu na stronie, oferuje usługi zarządzania inwestycjami, głównie budową dróg.

W niektórych z tych podmiotów państwo ma udział symboliczny lub mniejszościowy, objęty najczęściej wskutek dotacji udzielonej założycielom. W Spomaszu Bełżyce, w którym, jak czytamy na stronie, można zaopatrzyć się m.in. w „mieszalnik homogenizujący do produkcji nadzień" cukierniczych, skarb państwa objął niespełna 40 proc. Inne podmioty należą do niego w całości – jak spółka Stado Ogierów z Łącka, jedno z najstarszych polskich gospodarstw zajmujących się hodowlą koni, lub Sklejka Orzechowo, producent płyt stolarskich i oczywiście sklejek.

Z mięsnego do KGHM

Nominacje w spółkach skarbu państwa po ostatnich wyborach pokazują jednak, że taka drobnica może być pełnowartościowym politycznym łupem. Uwaga mediów, opinii publicznej i opozycji koncentruje się na obsadzie kluczowych stanowisk w Orlenie, KGHM, PZU czy w Tauronie. Te mniej eksponowane, ale wciąż dobrze płatne, nie podlegają wnikliwej kontroli społecznej, łatwiej więc – przy odrobinie szczęścia – obsadzić je cichaczem znajomymi lub wręcz zastępem nominatów z klucza politycznego.

Spośród 17 odwołanych od początku ub. roku dyrektorów jednostek terenowych Totalizatora Sportowego większość desygnowano na te stanowiska jeszcze za PiS. Ich miejsce zajęli nominaci związani z ugrupowaniami tworzącymi koalicję 15 października. Na Dolnym Śląsku rozpędu niespodziewanie nabrała z kolei kariera żony prezydenta Legnicy Macieja Kupaja z PO, dobrego znajomego pochodzącego z tego miasta wiceministra aktywów państwowych Roberta Kropiwnickiego: Karolina Karwicka, dotychczas pracownik biura prasowego KGHM, nieoczekiwanie została dyrektorem departamentu komunikacji miedziowego giganta. Według informacji miejscowych mediów, posadę w należącej do KGHM Hucie Legnica dostała także mama 27-letniej wiceprezydent Legnicy Aleksandry Krzeszewskiej (w 2023 r. startowała do Sejmu z listy KO), wcześniej zatrudniona w dziale mięsnym jednego z dyskontów.

Przeciętny wyborca może też nawet nie wiedzieć o istnieniu Krajowego Zasobu Nieruchomości, spółki skarbu państwa utworzonej w 2017 r. do zarządzania budynkami i mieszkaniami ↦

↦ należącymi do państwa. W ub. roku jej prezesem został Łukasz Bałajewicz, były wiceburmistrz Gorlic z Polski 2050. W radzie nadzorczej również znaleźli się ludzie związani z ugrupowaniem Szymona Hołowni, co jedynie z olbrzymią dozą dobrej woli można uznać za zbieg okoliczności – zwłaszcza że Krajowy Zasób Nieruchomości podlega pod resort funduszy i polityki regionalnej, którym kieruje Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz z Polski 2050.

Nazwisko Bałajewicza figuruje dziś na początku katalogu przypadków politycznego nepotyzmu, który z kronikarskim zacięciem prowadzi na swojej stronie internetowej PiS. Listę trudno traktować poważnie, bo trafiają na nią jak leci wszyscy ludzie powiązani z aktualnym obozem władzy, niezależnie od doświadczenia i kompetencji. Prezes PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna, Jacek Kaczorowski, absolwent górnictwa i zarządzania przez lata związany z kopalnią w Bełchatowie, sąsiaduje tu więc np. z Renatą Gruszczyńską, która na fotel prezeski Zakładów Zbrojeniowych Mesko przeszła z Zarządu Rejonowego Przedsiębiorstwa Zieleni i Usług Komunalnych w Kielcach.

Pani prezes wygrała konkurs, formalnie nie można więc zarzucić nic procesowi jej rekrutacji na stanowisko, na którym sprawuje m.in. nadzór nad produkcją amunicji dla polskiej armii. Można i trzeba jednak zapytać, jak to możliwe, że konkurs wygrała akurat absolwentka zarządzania na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach, która dyplom MBA zrobiła na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a w CV ma komendanturę kieleckiej straży miejskiej i zarządzanie tamtejszym zakładem komunikacji miejskiej – nie posiada jednak nawet przygodnego kontaktu zawodowego ze zbrojeniówką. Dziennikarzowi „Polityki", który pierwszy opisał sprawę, komisja konkursowa odmówiła odpowiedzi na pytanie, czym Gruszczyńska pokonała konkurentów, ale odrzuciła sugestie, jakoby wpływ na jej nominację miał mandat radnej Sejmiku Województwa Świętokrzyskiego, który pani prezes sprawowała z ramienia KO.

W gronie blisko 400 spółek skarbu państwa te o znaczeniu strategicznym to jakieś 40-50 podmiotów. **Resztę można odsprzedać lub nawet zamknąć bez szkody dla interesu publicznego.**

Obiecujemy, że już tak nie będziemy

Nowy Kodeks Dobrych Praktyk Nadzoru Właścicielskiego, którego projekt wyszedł właśnie z rządu do konsultacji społecznych, zakłada, że weryfikacja kompetencji kandydatów do zarządu i rad nadzorczych ma polegać na sprawdzeniu ich rzeczywistych umiejętności i porównaniu doświadczeń, a nie tylko na weryfikacji pod kątem ustawowych minimów, jak tytuł naukowy czy ukończenie podyplomowych studiów MBA.

Skład rad ma z kolei w większym stopniu odzwierciedlać strukturę właścicielską spółki i dawać więcej praw przedstawicielom udziałowców mniejszościowych. Członkowie rad nadzorczych i zarządy mają zaś wspólnie więcej uwagi poświęcać długofalowej strategii rozwoju firm, zamiast koncentrować się na wynikach w okresach od sejmowej kadencji do kadencji. To ostatnie to istotnie jedna z największych słabości spółek skarbu państwa. Przekonanie, że po kolejnych wyborach kadrowa miotła znowu wywróci firmę do góry nogami, jest dziś tak powszechne, że w Płocku (siedziba Orlenu), Lubinie (KGHM), Tarnowie (Grupa Azoty) wpływa nawet na rynek nieruchomości. Wiele mieszkań wynajmuje się tutaj w cyklu czteroletnim.

Na papierze założenia nowego kodeksu wyglądają więc dobrze, ale w praktyce nie muszą przynieść jakościowej rewolucji w zarządzaniu spółkami skarbu państwa. Resort aktywów państwowych mógł już dawno wcielić je w życie bez dekretowania na papierze. Teraz równie dobrze może tylko udawać, że się ich trzyma.

Wspomina Bartłomiej Mayer, były wieloletni dziennikarz dziennika „Pulsu Biznesu": – Po ostatnich wyborach w jednej z największych spółek skarbu państwa ogłoszono konkurs na prezesa i członków zarządu. Na kilka dni przed upływem terminu składania podań dostałem ze sprawdzonego źródła informację, że zarząd jest już wybrany, podano mi nawet sześć nazwisk – wspomina. – Gdy jakiś czas później ogłoszono wyniki, okazało się, że z wymienionej szóstki pięć osób faktycznie trafiło do zarządu.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP JUŻ ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" DODATEK SPECJALNY:

Zdrowa starość

W ostatniej dekadzie Polska odnotowała największy wzrost odsetka osób starszych spośród wszystkich krajów Unii. W 2050 r. ponad 40 proc. naszej populacji będą stanowić osoby powyżej 60. roku życia. Czy jesteśmy na to gotowi?

W dodatku m.in.:

- KS. ADAM BONIECKI opowiada o dobrej starości.
- PROF. JERZY GĄSOWSKI tłumaczy, kiedy zaczyna się być seniorem i jak się do tego przygotować.
- MAŁGORZATA SOLECKA prześwietla polską strategię wobec zmian demograficznych.
- JERZY DZIEKOŃSKI opisuje los starszych ludzi z demencją.

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 26 LUTEGO

RAWPIXEL.COM / ADOBE STOCK

Teraz poczuj mój ból

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Rodzice dzieci z depresją są zagubieni. Specjalistów w przychodniach brakuje, na prywatne wizyty stać niewielu – zostaje szukanie pomocy na forach internetowych. Czy naprawdę jest aż tak źle?

Mówię do niej przez drzwi, a ona zostawia mi kartki: „Szynka, dwie bułki", „Ser biały, pomidor", „Składka w szkole, 20 złotych". Jedzenie zabiera do pokoju, nie siada z nami do stołu, już trzecią wigilię przeleżała w łóżku. Chyłkiem wychodzi do łazienki, myje się często po ciemku. Poszliśmy z nią do psychiatry, dostała leki, ale nie chce ich łykać; odmawia też psychoterapii. Zawsze była taka grzeczna, świadectwa miała z czerwonym paskiem, wierszyki mówiła na akademiach. Aż przyszedł covid i od tego czasu nie mamy dziecka w domu, choć jest w nim cały czas. Drzwi do pokoju zastawia łóżkiem, śpi w ubraniu – opowiada mama 18-latki z Puław.

Co piąta młoda osoba cierpi

Według opublikowanego przez UNICEF w 2021 r. raportu z badań wykonanych podczas pandemii (w 21 krajach Europy) – aż 16 proc. dziewcząt i 19 proc. chłopców w wieku 15-19 lat ma zdiagnozowane problemy psychiczne wymagające terapii. Polskie dane też nie napawają optymizmem – według NFZ liczba niepełnoletnich pacjentów leczących się z zaburzeń lękowych i depresyjnych w latach 2013-2021 wzrosła o 120 proc. Odsetek młodych ludzi wymagających terapii może u nas sięgać w sumie od 17 do 20 proc.

– Rodzice długo nie zdają sobie sprawy, że dziecko ma depresję, prędzej zauważą to nauczyciele w szkole. Kiedy do nas już trafią, staramy się z nimi rozmawiać, a dzieci kierujemy do specjalistów, jednak nie da się im skutecznie pomóc bez kompleksowej pracy ze zmianą schematów myślowych dorosłych – wyjaśnia Beata Chrzanowska-Pietraszuk, psycholog ze Specjalistycznej Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej Uniwersytetu dla Rodziców.

Placówka działa w Warszawie od 1957 r., udziela pomocy bezpłatnie i jest jedyną tego rodzaju instytucją w Polsce. Na pierwszą konsultację czeka się jedynie około miesiąca, ale mogą się o nią ubiegać tylko dorośli ze stolicy. Tymczasem w rozmowach z rodzicami dzieci zmagających się z depresją bardzo często pojawia się temat ich własnych trosk. Czują, że zostali z trudnym problemem sami. Zżera ich też lęk o dziecko i o siebie; chcieliby to skonsultować ze specjalistą, ale po opłaceniu wizyt córki czy syna u psychiatry lub psychoterapeuty często nie mają już funduszy.

– Najtrudniej przyjąć dorosłym, że depresja to choroba, której leczenie jest procesem rozciągniętym w czasie. Chcą się szybko z nią uporać, żeby dziecko wróciło do szkoły i obowiązków, bo nie daj Boże zawali rok – opowiada Beata Chrzanowska-Pietraszuk. – Pytam więc, co się stanie, jeśli córka nie zda do następnej klasy? Czy to rzeczywiście takie straszne? Czy gdyby dziecko chorowało na nowotwór lub było połamane po wypadku, przejście do następnej klasy nadal byłoby ważne?

Gdzie popełniłam błąd?

Mama 18-latki z Puław po pierwszej ucieczce córki z domu i odkryciu, że dziewczyna tnie sobie uda, wzięła w pracy urlop dla poratowania zdrowia. Nie może spać, chodzi w nocy po domu i nasłuchuje. Kilka razy w tygodniu spod drzwi pokoju córki prowadzi monolog: „Wstań. Idź do szkoły. Już zmarnowałaś trzy lata. Młodość ci ucieka, a to przecież najpiękniejsze lata w życiu. Tyle wspomnień, przyjaźni, zdjęć, a ty co? Leżysz na łóżku i z nikim nie masz kontaktu". Mówi tak, choć wie, że ta „gadka motywacyjna" nie ma sensu i tylko pogarsza stan i córki, i jej samej.

– Praca z przekonaniami rodziców dotyczy wielu rzeczy, w tym głęboko utrwalonego w świadomości społecznej mitu dzieciństwa jako okresu szczęśliwego, „sielskiego, anielskiego". Rodzice zapominają, że jako dzieci byli uzależnieni od dorosłych, ciągle czegoś im zabraniano, zmagali się z buntem młodzieńczym w okresie dojrzewania. Z czasem wyidealizowali sobie w głowie ten intensywny czas, ale tak naprawdę to jeden z trudniejszych okresów w życiu człowieka – przekonuje Chrzanowska-Pietraszuk.

W 2015 r. z inicjatywy fundacji Forum Przeciw Depresji uruchomiony został telefon zaufania, na który w środę i czwartek ↦

dzwonią dorośli, by porozmawiać z lekarzem psychiatrą. Dodzwoniłam się po kilku próbach, bo linia wciąż była zajęta. – Zaczynam dyżur o godz. 17 i rozmawiam non stop. To nie jest poradnia medyczna, więc nie stawiam diagnozy, staram się raczej doradzać i nigdy nie oceniam. Często dzwonią do mnie bezradni rodzice nastolatków, którzy nie wiedzą, jak im pomóc. Wyczuwam ich lęk, zmęczenie, niepewność co do własnych kompetencji – mówi Marzena Firlej, psychiatra, która od 10 lat dyżuruje w fundacji.

O telefonie zaufania usłyszałam od Anny z Katowic, której córka przez kilka lat zmagała się z depresją. Zdarzały się chwile, że matka była tak wyczerpana, iż nie miała siły oskrobać warzyw na zupę. Rozmowa z psychiatrą pomogła Annie uporać się m.in. z lękami i poczuciem winy, które towarzyszyło jej w trakcie choroby 22-letniej dziś córki.

– Podczas bezsennych nocy zastanawiałam się, gdzie popełniłam błąd i dlaczego właśnie mnie to spotkało. Przeszłam z córką piekło: samookaleczenia, dwie próby samobójcze, niszczenie mebli, ucieczkę z domu. Trudno się do tego przyznać, ale upokarzające słowa i agresja były u nas na porządku dziennym – opowiada Anna. – Córka biła siostry, kilka razy uderzyła też mnie. Pewnego dnia wróciłam z młodszymi dziewczynkami z zabawy choinkowej, a na dywanie leżały moje ubrania: pocięte i zmieszane z rozbitymi naczyniami. Córka krzyczała: „Teraz poczuj mój ból". Usłyszałam, iż to ja jestem winna, że mój mąż, a jej ojciec odszedł od nas. To było bolesne.

Córka Anny powtarzała drugą klasę liceum, przez dwa lata przyjmowała leki antydepresyjne, a pół roku przed maturą trafiła na leczenie zamknięte. Zdała jednak egzamin dojrzałości, a po rocznej przerwie na terapię dostała się na studia.

– Wierzę, że mamy to za sobą, choć wciąż żyję w lęku i nie mogę usnąć bez tabletki. Mam długi, bo mimo że za leczenie córki płaciliśmy z eksmężem po równo, kosztowało nas to ponad 20 tysięcy. Najdroższe były wizyty u psychoterapeuty, bo choć spotkania z psychiatrą refundował NFZ, to już trzyletnia psychoterapia odbywała się w prywatnym gabinecie. Raz umieściliśmy córkę w ośrodku na kosztowny turnus „łapania równowagi psychicznej", ale wróciła jeszcze bardziej rozdygotana, a do tego zaczęła palić marihuanę. Potem doszły jeszcze korepetycje, żeby córka nadrobiła zaległości przed maturą – wylicza wydatki Anna.

ARCHIWUM PRYWATNE

BEATA CHRZANOWSKA-PIETRASZUK:

W rodzicach głęboko tkwi społeczny mit dzieciństwa jako okresu szczęśliwego. Zapominają, że to jeden z trudniejszych etapów w życiu człowieka.

„Pani go naprawi"

– Mija sporo czasu, zanim dziecko zacznie dawać sygnały kryzysu emocjonalnego, ale rodzice nawet wtedy często ich nie zauważają. Dostrzegają problem, kiedy stan jest poważny, a wtedy niejeden z nich przychodzi do gabinetu i prosi: „Pani go naprawi, bo nam się nie udało". Jakby człowiek był sprzętem, w którym wymienimy jakieś części i wróci do „normalności". Pracuję teraz z dziewczyną, która cierpiała w ciszy od szóstej klasy podstawówki, a trafiła do mnie w końcówce liceum – opowiada Lucyna Kicińska, pedagożka w XLI LO im. J. Lelewela w Warszawie oraz ekspertka Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym Instytutu Psychiatrii i Neurologii.

Forum Przeciw Depresji, z którym też jest związana, w 2024 r. przeprowadziło darmowe warsztaty szkoleniowe pod nazwą Akademia Uważnego Rodzica (przy wsparciu platformy internetowej Życie Warte Jest Rozmowy). Uczestnicy mogli przyjrzeć się potrzebom nastolatków oraz nauczyć odpowiednio reagować na ich kryzysy emocjonalne, tak by nie zaognić sytuacji i nie stracić kontaktu z dzieckiem.

– Taki kryzys może być wynikiem nagłego wstrząsu, którego rodzice czasem nawet nie zauważą. Można to porównać do trzęsienia ziemi; trwa krótko, ale odbudowa wymaga lat. Specjalista nie jest przecież magikiem, rodzice muszą być przygotowani na długi proces i wspierać dzieci – wyjaśnia Lucyna Kicińska.

Opublikowany w 2023 r. raport Rzecznika Praw Dziecka „Badanie jakości życia dzieci i młodzieży – perspektywa dzieci (2021) i ich rodziców (2022)" pokazuje wyraźnie, że dorośli często nie dostrzegają, iż wraz z dorastaniem pogarsza się samopoczucie psychiczne ich dzieci. Brak odpowiedniej diagnozy sprawia, że – wedle raportu – aż 14 proc. uczniów w Polsce wymaga interwencji specjalistycznej. RPD rekomenduje więc wspieranie przez państwo rodziców w rozwijaniu kompetencji komunikacyjnych, szczególnie w odniesieniu do starszych dzieci.

Wypalenie rodzi dystans

Sytuację opiekunów pogarsza syndrom wypalenia rodzicielskiego, którego doświadcza 9 proc. matek i 2 proc. ojców w Polsce – tak wynika z belgijskich badań przeprowadzonych przez Katolicki Uniwersytet w Leuven. Plasują nas one na czele 42 analizowanych krajów. Tuż za Polską jest Belgia i Szwajcaria, dużo lepiej zaś czują się rodzice m.in. we Włoszech, Turcji, Iranie, Chinach czy Tajlandii.

Syndrom objawia się frustracją, emocjonalnym zdystansowaniem wobec dzieci, czasem wręcz utratą przyjemności z bycia rodzicem. Badanie pokazuje też związek wypalenia ze wzrostem liczby myśli samobójczych, które prowadzą do zaniedbywania dzieci, agresji oraz ucieczek rodzica w alkohol, narkotyki czy pracoholizm. Nie ma jasnej odpowiedzi, dlaczego akurat w Polsce współczynnik wypalenia rodzicielskiego jest tak wysoki. Naukowcy najczęściej podejrzewają, że jesteśmy społeczeństwem indywidualistycznym, w którym młodzi rodzice są zdani na siebie, gdyż rozluźniły się więzi międzypokoleniowe. Wyznaczamy też sobie zbyt wysokie standardy zapewnienia dzieciom wsparcia w rozwoju oraz bezpieczeństwa finansowego, i cierpimy, gdy nie możemy im sprostać.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Dr hab. Konrad Piotrowski z Uniwersytetu SWPS badał niezależnie to zjawisko w Polsce i nie tylko stwierdził, że ok. 8 proc. matek i ojców doświadcza mocno tego stanu, ale również, że aż 11 proc. z nich żałuje decyzji o rodzicielstwie. W grupie młodych rodziców niemal co trzeci jest na granicy wypalenia.

– Sytuacja jest bardzo trudna, jednak o ile w dużych miastach mamy łatwiejszy dostęp do specjalistów, to mniejsze ośrodki nie dają takich możliwości – wyjaśnia Urszula Szybowicz, prezeska Fundacji Nie Widać Po Mnie. – Kolejki do psychiatrów i psychoterapeutów są długie, a rodzice są coraz bardziej zagubieni w systemie polskiej ochrony zdrowia: szukają więc pomocy na forach internetowych. Do tego dochodzi wstyd przed przyznaniem się, że dziecko wymaga pomocy specjalisty. Nasza fundacja udostępnia bezpłatnie e-booki, podkasty, udziela konsultacji, raz w miesiącu mamy też dyżur na infolinii Rzecznika Praw Pacjenta i wyjaśniamy, gdzie można szukać pomocy.

Problemy same się nie rozwiążą

Magda, pielęgniarka z Lublina, pracuje 20 lat w zawodzie i dopiero ode mnie słyszy o wypaleniu rodzicielskim. Jej syn zachorował na depresję po rozstaniu z dziewczyną w drugiej klasie szkoły średniej. Był szczyt pandemii, syn zapadał się w sobie, ale Magda długo bagatelizowała to, co się z nim dzieje. Myślała o finansach rodziny; chciała zarobić na spłatę kredytu, bo mąż po wypadku miał przestój w pracy. Brała dodatkowe dyżury i wizyty domowe – ale stała się gościem we własnym domu.

– Byłam sfrustrowana, zła i zniecierpliwiona, przychodziłam po pracy i marzyłam, żeby iść do łóżka, nie miałam ochoty na rozmowy. Złościłam się na syna i nie mogłam opanować pretensji, bo tylu chłopaków rzucają dziewczyny, a on się maże i chodzi po domu jak Romeo – wspomina Magda.

Dopiero gdy syn po próbie samobójczej trafił na oddział psychiatryczny dla dzieci i młodzieży, zrozumiała, że przez całe dwa lata łudziła się, iż problemy same się rozwiążą. – Najtrudniejsze było znalezienie psychoterapeuty. Zaczęliśmy od tego, co oferował NFZ, i nie mieliśmy szczęścia. Czekaliśmy aż cztery miesiące na wizytę, ale psychoterapeutka okazała się jakby rozkojarzona. Bardziej wpędziła syna w poczucie winy niż mu pomogła. Dopiero rok temu znaleźliśmy właściwą osobę, ale prywatnie. 200 zł za jedno spotkanie to dla nas bardzo dużo – mówi mama chłopaka. Nie stać jej na regularne wizyty, więc przez portal społecznościowy znalazła grupę matek, których dzieci też cierpiały na depresję. Raz w miesiącu umawiają się, żeby wypić kawę i podzielić się obserwacjami.

Wielu rodziców podkreśla, że depresja dziecka weryfikuje przyjaźnie i czasem przynosi poczucie zupełnej bezradności. W Polsce wciąż brakuje psychiatrów; na milion obywateli przypada 90 specjalistów. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja młodych pacjentów – wedle danych NFZ z 2024 r. mamy tylko 555 psychiatrów dziecięcych. Np. w województwie mazowieckim czas oczekiwania dziecka na spotkanie w poradni wynosi 26 dni dla osób w „stanie trudnym", a 114 dni dla tych w „stanie stabilnym". Sytuację komplikuje brak ustawy o zawodzie psychoterapeuty, co sprawia, że trudno zweryfikować kwalifikacje osób świadczących takie usługi.

– Brakuje nam psychiatrów, a do tego kształcimy ich za pieniądze z podatków, po czym oni znajdują zatrudnienie niemal wyłącznie w sektorze prywatnym. To nie jest w porządku – uważa Lucyna Kicińska. – Na dodatek w mediach przeważa narracja, że w Polsce „nie ma pomocy dla osób w depresji". To nieprawda, takie artykuły dobrze się klikają, ale czynią wiele złego, bo utwierdzają w ludziach przekonanie, że nie warto szukać wsparcia, bo opieka nad zdrowiem psychicznym Polaków jest w zapaści. Tymczasem nie tylko ja, ale wielu pedagogów i psychologów czeka na rodziców choćby w szkolnych gabinetach.

Pomoc można też znaleźć poprzez serwis internetowy Życie Warte Jest Rozmowy oraz w Ośrodkach Środowiskowej Opieki Psychologiczno-Psychoterapeutycznej, których jest w Polsce 496. Choć placówki te skupiają się na pomaganiu dzieciom, pracujący w nich specjaliści wiedzą, jak ważne jest wsparcie dla rodziców. Nie odmawiają konsultacji z nimi.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**

Jest coś wyjątkowego w popołudniach – kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy do Państwa z naszym nowym newsletterem: oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**!

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu, spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne, poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.

zeskanuj i zapisz się!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TOMASZ

Stawiszyński:
Polityka egoizmu

Niedługo po rosyjskiej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 r. wielką internetową popularność zaczął zyskiwać John Mearsheimer, dotąd raczej niszowy amerykański politolog, twórca teorii tzw. realizmu ofensywnego. Oglądalność notowały zwłaszcza jego wykłady sprzed ok. 10 lat, już po aneksji Krymu, w których przewidywał, że za jakiś czas dojdzie w tym regionie do pełnoskalowej wojny. O ile, oczywiście, Zachód nie zrezygnuje z dalszego zbliżania Ukrainy do UE czy NATO. Tu amerykański politolog, nie pierwszy i nie ostatni raz, zgadzał się z prezydentem Rosji.

Gwałtowny wzrost rozpoznawalności Mearsheimera zaowocował jego licznymi wystąpieniami w rozmaitych programach i na rozmaitych łamach. Utrzymanych w tej samej, ofensywno-realistycznej tonacji. Globalna polityka to bezlitosna rozgrywka między najsilniejszymi graczami. Każde mocarstwo naturalnie dąży do poszerzania zakresu swoich wpływów i zwiększania poziomu bezpieczeństwa. Położenie geograficzne kraju jest jego przeznaczeniem. Małe państwa muszą podporządkowywać się imperiom. Wartości, etos, demokracja, prawo do samostanowienia – to mimikra, liczy się prosty rachunek zysków i strat. Każdy dba tylko o siebie. W świecie rządzą naga siła i buchalteria. A fakt, że w zachodnich demokracjach wypracowano szereg kamuflujących ten stan rzeczy rytuałów i narracji, jest dowodem naszej bezbrzeżnej hipokryzji.

Aplauz dla takich diagnoz sam jest bez wątpienia diagnostyczny. Bo przecież nawet gdyby faktycznie cała światowa polityka była walką tytanów, których motywuje wyłącznie poszerzanie zasięgów i zasobów – to jeszcze nie znaczy, że tak być powinno. Sprytne to przemieszanie porządków, podane w kostiumie pozbawionej złudzeń, zimnej analizy, nie jest wcale bezstronnym spojrzeniem na rzeczywistość, lecz pozycją ideologiczną. Taką, w której to właśnie siła i interesy mają stanowić motor napędowy świata społecznego, tu i ówdzie ukryty dla niepoznaki pod warstwą podniosłych komunałów.

Dlaczego jednak Mearsheimer ze swoim przekazem trafił i wciąż trafia do tak szerokiej publiczności? Dlaczego z takim samym przekazem i sposobem bycia trafiają do niej Donald Trump, Elon Musk i Tucker Carlson? Przekazem brzmiącym niczym credo jakiejś Partii Skrajnego Egoizmu, sposobem bycia gloryfikującym postawę charakterystyczną nie dla etosu demokracji, lecz raczej, jak ostatnio zauważył Sam Harris, dla *bullies* – szkolnych dręczycieli. Takich, co to nic sobie nie robią z zasad i ograniczeń, tylko bezceremonialnie idą po swoje, roztrącając wszystkich na boki, łamiąc kody grzeczności i przyzwoitości, a co najważniejsze – za nic mając cudze potrzeby, emocje i granice.

Modelowa jest pod tym względem zwłaszcza niedawno opublikowana na YouTubie rozmowa pomiędzy wspomnianym Carlsonem, czołowym amerykańskim dziennikarzem związanym ze środowiskiem Trumpa, a brytyjskim publicystą Piersem Morganem. Ten ostatni, postać nie mniej niż Carlson kontrowerysjna, słynie ze specyficznego, inwazyjno-bezpośredniego stylu prowadzenia rozmów z gwiazdami ekranu, politykami czy innymi celebrytami. Choć wiele można by mu zarzucić, to w rozmowie z Carlsonem wypada niczym nowoczesny mąż stanu. Niuansuje, pyta o wartości, waży racje, zarówno w odniesieniu do Ukrainy i Rosji, jak Izraela i Palestyny (podkreśla np. nieadekwatność izraelskiej odpowiedzi na 7 października, a jednocześnie stanowczo potępia Hamas). Carlson z kolei prezentuje coś na kształt teorii Mearsheimera w wersji pop. Zaśmiewa się, przerywa, manierycznie przewraca oczami i cały czas powtarza: nie obchodzą mnie inne kraje, jestem Amerykaninem, obchodzi mnie tylko Ameryka, jedyny interes, o który dbam, to interes amerykański, nie powinniśmy nikomu pomagać, nie powinniśmy w nic się angażować, niech sobie inni radzą sami, reszta mnie nie interesuje. W komentarzach – liczne wyrazy poparcia dla Carlsona, euforia i entuzjazm. Doskonale mówi, w sedno, w punkt!

Cóż, to samo prezentuje dziś Trump. Narracja skrajnego egoizmu czy też realizmu ofensywnego przenika do głównego nurtu i zaczyna go kształtować w stopniu jak dotąd bezprecedensowym. Owszem, okoliczność, że pada na tak podatny grunt – w Polsce zresztą też – ma niewątpliwie związek z załamaniem się zaufania i wiary w instytucje, porządek demokratyczny, dotychczasowy sposób myślenia o wspólnocie politycznej. W miejsce tego rozczarowania, poczucia zależności i swoistego fatalizmu – co w postpandemicznej rzeczywistości zdaje się być kompozycją występującą na szerokich obszarach świata zachodniego – ofensywny egoizm (tak to nazwijmy) oferuje przynajmniej zewnętrzne znamiona sprawstwa. To trzeba zrobić tak, tamto inaczej. Zamiast siedzieć i dywagować, brać się za robotę! Jeśli się nie da czegoś wynegocjować, to trzeba przystawić pistolet do głowy albo rzucić plik banknotów na stół i będzie po kłopocie.

Najważniejsze niebezpieczeństwa są tutaj dwa. Po pierwsze, zatarcie się różnicy pomiędzy tym, co jest, a tym, co być powinno, jak u Mearsheimera. Jest to wręcz przepis na toksyczną ideologię i władzę. Po drugie – dominacja mentalności *bully*. W szkole można się przynajmniej zgłosić do wychowawcy albo dyrektora (w ostateczności – do kuratorium). Co jednak począć, kiedy to wychowawca i dyrektor zaczynają się tak zachowywać? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

OŚRODEK DOSKONALENIA NAUCZYCIELI W POZNANIU

Kącik Spokoju w świetlicy Szkoły Podstawowej nr 80 w Poznaniu

SZKOŁA OTWARTA NA EMOCJE

– wielkopolskie szkoły zakładają Kąciki Spokoju

Na zwykłym szkolnym korytarzu, gdzieś między szafkami na rzeczy i ławkami, pod schodami w kącie, pojawia się na ścianie las. Namalowane drzewa i zwierzęta, a pod nimi zielony dywan i miękkie poduchy. Powstało to wszystko dla tych, którzy w żywym, pełnym energii, hałaśliwym i zatłoczonym środowisku szkolnym potrzebują chwili spokoju i wytchnienia.

– Mieliśmy sytuację, kiedy dziecko w spektrum, które doświadczyło w danym momencie jakiegoś nagłego wzrostu niepokoju, uciekało do tego kącika, zakładało słuchawki wygłuszające i tam próbowało się wyciszyć. To dla nas wybawienie – opowiada Karolina Bielerzewska, dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 90 w Poznaniu. W jej szkole powstały już trzy Kąciki Spokoju, bezpieczne przestrzenie, które mają zapewnić dzieciom możliwość odpoczynku, wyciszenia się i oderwania od presji otoczenia. Powstają one w ramach działań prowadzonych przez International Rescue Committee w Polsce (IRC) w partnerstwie z poznańskim Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli.

Według raportu CEO i Unicefu pod koniec 2024 roku w placówkach szkolnych i przedszkolnych uczyło się w sumie ok. 152 tys. uczniów uchodźców i blisko 51 tys. uczniów imigrantów z Ukrainy. Stanowią oni najliczniejszą grupę dzieci cudzoziemskich. Dlatego do programu zostały zaproszone szkoły, do których uczęszczają uczniowie i uczennice z Ukrainy, dla których doświadczenie wojny i przesiedlenia, a później zmiany szkoły i odnalezienia się w nowym środowisku mogły być trudne i przytłaczające. Szkolne kąciki, pełne relaksujących dźwięków i zapachów, piłeczek do ściskania, słuchawek wyciszających, kocyków i książeczek, są jednak otwarte dla wszystkich i korzysta z nich cała szkolna społeczność.

– W szkole podstawowej, zwłaszcza tam, gdzie są młodsze dzieci, na początku wszyscy są bardzo zainteresowani – każde dziecko chce zobaczyć to miejsce, wejść do środka, usiąść. Dopiero później pojawia się refleksja: do czego to służy? Zauważyliśmy, że po pierwszym okresie ekscytacji euforia opada, a dzieci zaczynają korzystać z tej przestrzeni świadomie i celowo. Gdy dziecko czuje się smutne, ma gorszy dzień, przeżyło trudną sytuację w klasie, na lekcji, z rówieśnikiem, w domu lub jest po prostu zmęczone, przychodzi tu, siada i regeneruje siły – tłumaczy dyrektor Bielerzewska.

Nowych sposobów, jak zorganizować wielokulturową szkołę, poszukiwała także Aldona Rożnowska, dyrektorka poznańskiej SP 80, w której nawet 30 procent uczniów to cudzoziemcy, i to nie tylko z Ukrainy, ale też z Rumunii, Mołdawii, Nigerii. Tu także powstały kąciki, w których każdy może znaleźć chwile wytchnienia, ale szczególnie docenione zostały kursy dla kadry pedagogicznej.

– Wyzwaniem jest też współpraca z nauczycielem, żeby chciał pracować w takiej wielokulturowej szkole. Ja jestem mojej kadrze wdzięczna za ich wysiłki i za chęć uczestnictwa w zajęciach na temat relaksacji i emocji – mówi Rożnowska.

– Takie holistyczne podejście gwarantuje, że pedagodzy są nie tylko przygotowani do efektywnego korzystania z tych przestrzeni, ale również wyposażeni w odpowiednie metody i techniki wspierania uczniów w trudnych sytuacjach – tłumaczy Karolina Ufa, ekspertka ds. edukacji z IRC w Polsce, która na polski grunt przekłada opracowaną przez organizację i wypróbowaną na całym świecie metodologię „Healing Classroom" (ang. Przestrzenie Wzmocnień) dla dzieci dotkniętych przesiedleniem, wojną czy katastrofami naturalnymi. – Kąciki Spokoju to nie tylko fizyczna przestrzeń, ale zmiana kultury szkoły, która uznaje, że dobrostan wszystkich uczniów jest ważny – mówi Ufa.

INTERNATIONAL RESCUE COMMITTEE

MATERIAŁ PROMOCYJNY

FORUM NOWEJ MĘSKOŚCI

07–09 MARCA 2025

Na początek odwiedź **Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach** i weź z nami udział w wydarzeniu społeczno-artystycznym, które podejmuje jedno z najważniejszych wyzwań współczesności – redefinicję męskości w obliczu zmieniających się realiów społecznych, kulturowych i emocjonalnych.

Współczesna męskość potrzebuje czułości, otwartości i zrozumienia, aby wyjść poza sztywne ramy stereotypów.

Forum Nowej Męskości

stawia sobie za cel stworzenie przestrzeni, w której mężczyźni – ale także wszyscy zainteresowani tematyką płci, tożsamości i relacji międzyludzkich – mogą wspólnie przyjrzeć się wyzwaniom, z jakimi mierzy się dziś mężczyzna.

Przygotowaliśmy dla Ciebie: panele dyskusyjne, warsztaty twórcze, pokazy spektaklu i filmu, dragshow, konkursy.

Wśród zaproszonych osób są między innymi: Wojciech Śmieja, Kamila Raczyńska, Artur Gębka, Kacper Potępski, Ela Lange, Karol Bielecki, Krzysztof Stefański, prof. Katarzyna Kłosińska, prof. Alicja Gałczyńska, Twoja Stara, Shady Lady, Martwy (drag king), MaRyja de Mon.

Zeskanuj kod QR i sprawdź cały program FNM!

PATRONAT:

Prezydent Miasta Kielce Agata Wojda

Instytut Przeciwdziałania Wykluczeniom

FUNDACJA KOCHASZ DOPILNUJ

PATRONAT MEDIALNY:

onet

e-teatr.pl

Kojarzysz Mateusza Pakułę?

To ten wielokrotnie nagradzany pisarz, dramaturg, reżyser – twórca literackiego i teatralnego hitu *Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję*.

Kielczanin postanowił wrócić do artystycznego domu i wspólnie z Teatrem Łaźnia Nowa z Krakowa rozpoczął pracę nad sceniczną adaptacją swojej kolejnej powieści – ***Skóra po dziadku***.

To historia opowiedziana na podstawie wspomnień tytułowego przodka – Henryka Parkity, który dwukrotnie jako szesnasto- i siedemnastolatek trafił do kieleckiego więzienia za wybryki antykomunistyczne.

Z pomocą Pakuły sięgniemy do pokoleniowej schedy, która swoje korzenie zapuściła w epicentrum stalinizmu – ku początkom lat pięćdziesiątych. Poprzez rodzinną historię sprawdzimy, w jakim stopniu przez dekady zmieniło się postrzeganie mężczyzn czy też znaczenie więzów krwi.

Obraz na okładce: Patryk Różycki

Projekt okładki: Joanna Kosk-Florczak

Wydawnictwo Agora

To nie wszystko!

Skóra po dziadku to również opowieść o przedwojennych i powojennych Kielcach oraz tych z lat dzieciństwa autora, przypadających na lata osiemdziesiąte. Mateusz Pakuła pyta: czy współcześnie gród nad Silnicą to wciąż miejsce, któremu pod skórą pulsuje antysemityzm, frustracja i nienawiść?

Pod pretekstem przywołania szczeniackiego wybryku dziadka przyjrzymy się naszej pamięci – czy historia, jaką pamiętamy, jest również historią, którą chcemy pamiętać?

Premierę *Skóry po dziadku* w Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach zaplanowano na Dużej Scenie już 26 kwietnia bieżącego roku.

fot. Nate Cook

Taki mamy teatr w **Rzeczpospolitej Miłości,** kulturalnej stolicy Gór Świętokrzyskich – całkiem niezły, prawda?

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach nie stał się jedną z najciekawszych instytucji kultury w Polsce ze względu na swój budynek – to przede wszystkim ludzie, którzy co dzień pracują na markę *Żeromskiego*, są w tym miejscu wyjątkowi.

Niemniej jednak to mienie budujące tkankę miejską stanowi punkt wyjścia do spektaklu Jakuba Skrzywanka

Protest kielecki. Do kogo należą Kielce?

Zespół twórczy od ponad roku przeprowadza historyczne, archiwalne i dokumentalne śledztwo, które ma odpowiedzieć na pytanie zawarte w podtytule spektaklu. Czy Kielce należą jeszcze do władz miasta? Być może należą do Żydów? A nie jest przypadkiem tak, że Kielce są już w rękach deweloperów?

Wspólnie odbędziemy teatralny spacer po mieście, swoistą podróż do przeszłości – okresu przedwojennego i powojennego – sprawdzając, jak tkankę miejską tworzyły, a następnie odmieniły losy mienia żydowskiego. Płynnie skręcimy w stronę przełomu ustrojowego i zerkniemy, jak własności diametralnie zmieniły swoją wartość, stając się intratnym kapitałem. Przechadzkę skończymy w objęciach deweloperów, którzy bardzo chętnie zaproponują nam każdy wolny metr terenów w okazyjnej cenie.

W ramach pozyskania dodatkowych informacji oraz animowania lokalnej społeczności do rozmowy na temat kwestii kieleckiego mienia otworzyliśmy skrzynkę pocztową pod dwoma adresami:
idziemypowas@teatrzeromskiego.pl oraz
protestkielecki@teatrzeromskiego.pl

Jeśli do tego czasu nikt nas nie eksmituje, premiera odbędzie się 30 maja tego roku na Nowej Scenie!

Na koniec klasycznie, czyli *Koń na rycerzu.*

Tak, to nie pomyłka – a o co chodzi?

Wydawnictwo Agora

O najnowszy spektakl Tadeusza Kabicza na podstawie książki *Sztuka obsługi penisa* Przemysława Pilarskiego i Andrzeja Gryżewskiego. To jasne, że nie będzie standardowo – sezon zakończymy dramatoperą o psychoseksualnej kondycji współczesnego mężczyzny.

Książka jest zbiorem wywiadów z popularnym seksuologiem prowadzącym własny gabinet terapii. Opowiada on o swoich klientach, o ich problemach natury seksualnej oraz o mitach na temat seksu, które funkcjonują w społeczeństwie.

Spektakl – podobnie jak jego pierwowzór – ma być bezpruderyjnym i trafiającym w sedno problemów współczesnego mężczyzny przewodnikiem po *samczej* seksualności. Teatr to wyjątkowa przestrzeń, w której można pokazać sposoby na uwolnienie się od nierealnych oczekiwań i stereotypów narzucających, co mężczyzna powinien sobą prezentować.

Seksualność to przecież nie tylko seks. Okazuje się, że najgroźniejszy dla współczesnego mężczyzny jest *lęk zadaniowy*: traktowanie życia jak niekończącego się egzaminu. Zaraz po nim czai się powszechne uzależnienie od pornografii oraz obniżenie libido i zaburzenia erekcji wynikające z chronicznego stresu i niezdrowego stylu życia.

Koń na rycerzu dokona pozornie groteskowych połączeń; komedii z istotnymi społecznie tematami, opery ze scenami rodem z gabinetu seksuologa, intymnych doświadczeń ze skrytymi refleksjami.

To wszystko i jeszcze więcej tylko u nas, w Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. *Koń na rycerzu* przegalopuje przez Dużą Scenę już 14 czerwca bieżącego roku.

Koniecznie sprawdź, co jeszcze można przeżyć w Rzeczpospolitej Miłości!

MATERIAŁ PROMOCYJNY

TEATR IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO W KIELCACH
25-507 Kielce, ul. Sienkiewicza 32,
kasa +48 41 344 75 00, kasa@teatrzeromskiego.pl
sekretariat@teatrzeromskiego.pl
www.teatrzeromskiego.pl

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Świętokrzyskiego współprowadzoną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE

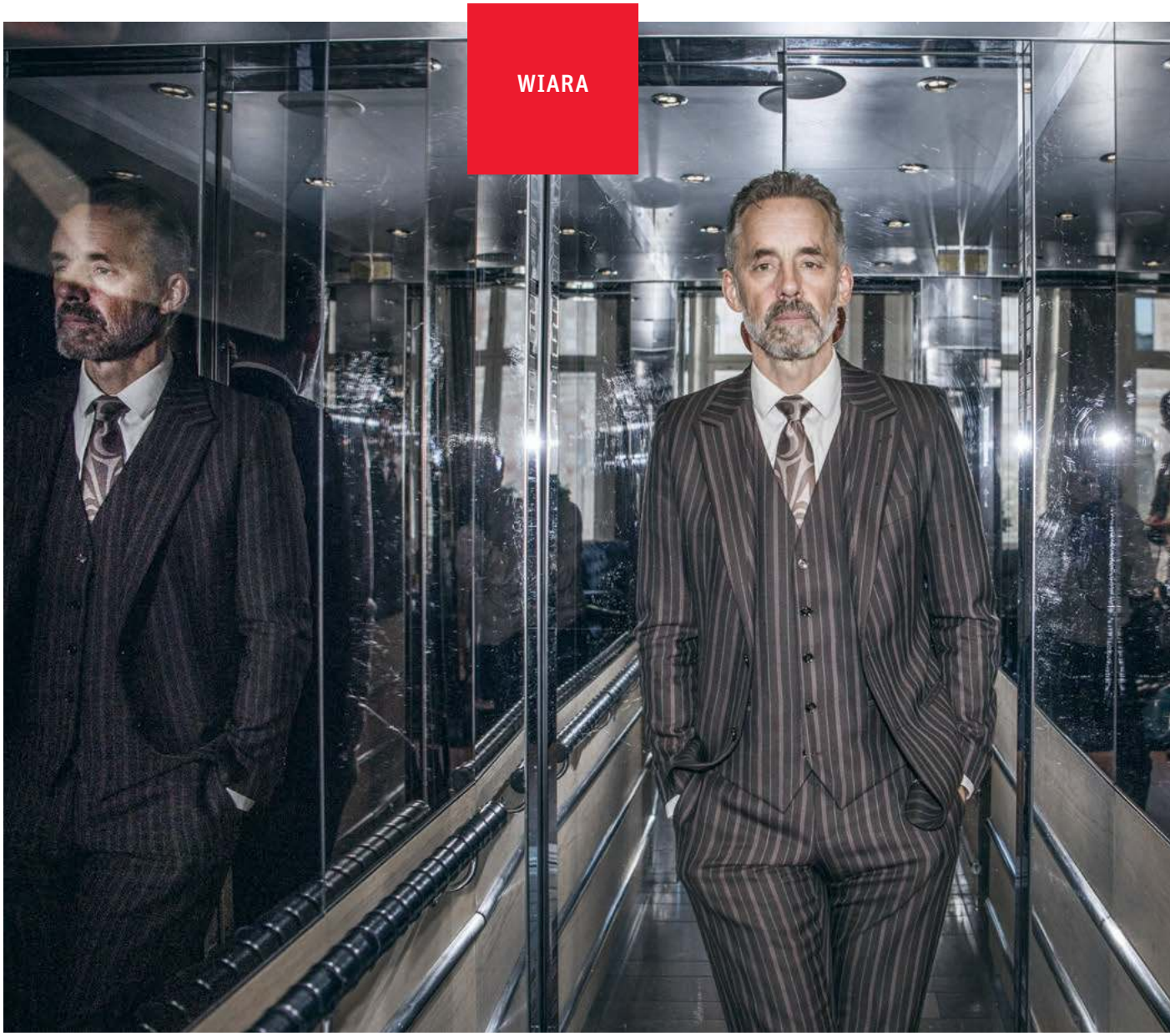

Jordan Peterson. Sztokholm, październik 2018 r.

JORDAN WRACA

Jordan Peterson, kanadyjski psycholog i konserwatywny podkaster, który wrócił z piekła uzależnienia, zmaga się z Bogiem i mówi nam, jak żyć.

JAREMA PIEKUTOWSKI

Na ekranie widzimy ciemne wnętrze pokoju i zmęczoną, wychudzoną, zaniepokojoną twarz. „Minęło sporo czasu, odkąd zamieściłem ostatnią nową treść na YouTubie" – mówi Jordan Peterson, chwilami z trudem szukając kolejnego słowa. „Moje zdrowie było poważnie nadwyrężone, wręcz bardzo poważnie, w wyniku stosowania benzodiazepin jako leku przeciwlękowego". Opowiada, jak pomagała mu rodzina, jak trafiał do szpitali – począwszy od Kanady i USA, a skończywszy na Rosji i Serbii.

To wszystko działo się nieco ponad cztery lata temu. Kanadyjski psycholog,

SVENSKA DAGBLADET / TT NEWSAGENCY / FORUM

konserwatysta i podkaster powrócił z piekła, w jakie na ponad półtora roku wtrąciło go uzależnienie od klonazepamu.

Wielu jego zwolenników i wrogów zastanawiało się: kim będzie „nowy Peterson"? Czy osobisty dramat go zmienił?

Od tamtego czasu wydał dwie książki, nagrał ponad 350 nowych odcinków swojego podkastu, występował setki razy na całym świecie, wypowiadał się na dziesiątki tematów (w tym takie, w których się nie specjalizuje, jak inwazja Rosji na Ukrainę). Parodiowano go w komiksie Marvela, wplątał się w awantury z kanadyjskim premierem Justinem Trudeau, a nawet nagrał piosenkę dedykowaną szefowi rządu. Mogłoby się wydawać, że się nie zmienił i nadal balansuje między wizerunkiem badacza rzeczywistości i – z drugiej strony – konserwatywnego, medialnego prowokatora, uwielbiającego od czasu do czasu wzburzyć publiczność, zwłaszcza lewicową (dziś dość wyraźnie stając po stronie Donalda Trumpa w amerykańskich sporach).

Trudne początki

Pierwszy był wizerunek badacza. W marcu 1991 r. 29-letni Peterson złożył na Wydziale Psychologii Uniwersytetu McGill w Montrealu pracę doktorską o potencjalnych wskaźnikach psychologicznych predyspozycji do alkoholizmu. Potem zajął się pracą naukową, krążąc wciąż wokół tematu uzależnienia od alkoholu. Większość tytułów ówczesnych publikacji Petersona nie kojarzy się z jego dzisiejszą działalnością. W 1993 r. pisze, z Robertem O. Pihlem (promotorem swojego doktoratu) i Peterem R. Giancolą, artykuł pt. „Reaktywność sercowo-naczyniowa jako predyktor spożycia alkoholu w sytuacji testu smakowego". Później zajmuje się m.in. badaniami agresji i zachowań aspołecznych – z tych zainteresowań coś mu zostaje do dziś, bo jednym z tematów, do których wraca regularnie, jest tzw. ciemna triada cech osobowości: makiawelizm, narcyzm i psychopatia. Przyjmował także pacjentów jako terapeuta. Stał się ulubieńcem studentów, bo podczas wykładów (m.in. na Harwardzie) mówił w sposób żywy, energiczny i potrafił zainteresować tematem.

Kanadyjski youtuber prowadzący kanał pod nazwą RonFromToronto był studentem Petersona w latach 2003-2006. Tak go wspominał dwa lata temu: „Miał do przekazania światu niesamowitą mądrość. Był uczciwy, zniuansowany. Potrafił utrzymywać spokój niezależnie od tego, jak źle zachowywali się jego rozmówcy". Choć youtuber przyznaje, że po latach rozczarował się swym dawnym bohaterem. Zarzuca mu nadmierne zaangażowanie w bieżącą, polityczną wojnę: „[Peterson] rozmawia głównie z ludźmi, którzy zgadzają się z nim (...) Wygląda, jakby był ciągle zdenerwowany i łatwo go sprowokować".

Szukanie sensu

A może jednak pierwsza była właśnie żyłka polityczna Petersona? Zanim zajął się psychologią, napisał licencjat z politologii, a od szkoły średniej działał w kanadyjskiej, socjaldemokratycznej New Democratic Party. Szybko się nią rozczarował. We wstępie do swojej pierwszej książki pt. „Mapy sensu" pisze: „Nie potrafiłem wykrzesać z siebie szacunku dla wielu działaczy niskiego szczebla, których spotykałem podczas tych zgromadzeń. Wydawało się, że żyją tylko po to, by narzekać. Ludzie ci często nie mieli pracy, rodziny, nie ukończyli żadnych szkół – można wręcz powiedzieć, że nie mieli niczego oprócz ideologii. Byli kłótliwi, drażliwi i mali – w każdym sensie tego słowa".

Później, wraz z narastającym wyścigiem zbrojeń, coraz bardziej dręczyły go lęki przed atomową apokalipsą. Próbował dociec, skąd bierze się zło na świecie, czytał Sołżenicyna, Dostojewskiego, Junga i przez 13 lat pisał swoją kolejną książkę.

Wróćmy do „Map sensu", wydanych w 1999 r. Książka mogła zaskoczyć tych, którzy znali Petersona jako psychologa klinicznego. W ponad 500-stronicowej pracy nie ma słowa o uzależnieniach czy agresji. Pojawiają się natomiast wątki, które będą towarzyszyć Kanadyjczykowi do dziś. Zadaje pytanie, w jaki sposób człowiek konstruuje postrzegany przez siebie świat i jego znaczenie. Wychodzi od założenia, powtarzanego potem w wielu miejscach: to, co postrzegamy – i znaczenie, jakie przypisujemy obiektowi naszego postrzegania – zależy ściśle od naszych celów i wartości, których kształtowanie się od tysięcy lat opisują mity i opowieści religijne. Jednym z głównych tematów, pojawiających się w różnych mitach i opowiadaniach, jest historia zmagania się chaosu (czyli tego, co nieznane, co nowe, co symbolizuje natura) z porządkiem (symbolizowanym przez kulturę, hierarchię, Logos).

Kilka lat później Peterson napisze „12 życiowych zasad" – książkę, która w podtytule będzie miała właśnie „Antidotum na chaos". Tymczasem jednak pierwsze wydanie „Map sensu" sprzedało się tylko w około stu egzemplarzach. Peterson czasem pojawiał się w TV Ontario, ale świat jeszcze o nim nie usłyszał.

Pierwszy milion

Tak było do 2016 r., kiedy Jordan Peterson na swoim kanale YouTube opublikował trzy części wykładu „Profesor przeciwko poprawności politycznej". Skrytykował w nim kanadyjski projekt ustawy C-16, ↦

↦ która miała zwalczać dyskryminację ze względu na „tożsamość płciową” i „ekspresję płci”. Uznał, że twórcy projektu zamierzają tworzyć prawo na bazie „ekstremalnych wyjątków”, a tożsamość płciową próbują ufundować na odczuciach, a nie faktach. Tak słabo – zdaniem Petersona – umocowane prawo może doszukiwać się dyskryminacji tam, gdzie jej nie ma, a przez to – naruszać wolność słowa.

Od tamtego czasu wszystko się zmieniło. Coraz więcej filmów Petersona na YouTubie osiągało ponad milion odsłon. W 2018 r. wyszło wspomniane „12 życiowych zasad” – jak dotąd jego największy bestseller, który do maja 2023 r. sprzedał się w ponad 10 milionach egzemplarzy. Główne przesłanie książki? Świat jest pełen cierpienia i chaosu, z którymi trzeba się zmagać. Naszą rolą jest porządkowanie tego chaosu przez wzięcie odpowiedzialności za własne życie, poświęcenie, prawdomówność, samodyscyplinę, ciężką pracę i ambicję.

Brzmi trochę jak psychologiczna wersja amerykańskiego snu, nieco złagodzona przez współczucie wobec samego siebie („Traktuj siebie tak, jak traktujesz osoby, na których ci zależy”) i innych istot („Pogłaszcz kota napotkanego na ulicy”). Petersona krytykowano za banalność, niedostrzeganie systemowych problemów i przecenianie osobistej odpowiedzialności za nieszczęścia. Chwalono – za przekonujące łączenie psychologii, mitologii i religii, a także za potwierdzenie wartości, jaką w czasach pełnych fatalizmu ma osobista odpowiedzialność za życie.

Dieta i cud

Rollercoaster sławy nie zatrzymywał się. Peterson prowadził wykłady na całym świecie (czasem nawet dwa spotkania dziennie w różnych miastach) i przyciągał tysiące słuchaczy. Mało kto wtedy wiedział, że już od dawna psycholog zmaga się z nawracającą depresją. Próbował radzić sobie z nią na różne sposoby, na przykład przez dietę składającą się najpierw z mięsa i warzyw, a potem jedynie z solonej wołowiny popijanej wodą sodową. W sierpniu 2018 r. w podkaście Joe’ego Rogana twierdził, że ta dieta wyzwoliła go nie tylko z depresji, ale także z zapalenia dziąseł, łuszczycy, refluksu, drętwienia nóg i kilku innych przypadłości. Nie powiedział jednak, że przez cały ten czas brał codziennie jeden z najsilniejszych i najbardziej uzależniających leków przeciwlękowych z grupy benzodiazepin – klonazepam. W 2019 r. u żony Petersona, Tammy, zdiagnozowano rzadki rodzaj raka nerki, co było dla niego ogromnym wstrząsem. Lekarze zwiększali mu sukcesywnie dawkę klonazepamu, aż do momentu, kiedy już nie mógł odstawić leku.

W pierwszej książce skupiał się na wprowadzaniu porządku w chaos.

Teraz mówi, że potrzebna jest i hierarchia, i swoboda twórcza. Choć sam pozostaje konserwatystą.

Znaleźliśmy się zatem w momencie, o którym pisałem na początku. Jordan Peterson przeżył piekło. Wyjście z uzależnienia i powrót do zdrowia (z budzącym wątpliwości udziałem rosyjskich i serbskich lekarzy) zajęły mu wiele miesięcy. Jednocześnie zdrowieć zaczęła także Tammy, której lekarze dawali co najwyżej 10 miesięcy życia. Żona Petersona przypisuje dziś swe uzdrowienie sile modlitwy różańcowej, która pomogła jej przetrwać najtrudniejsze momenty. „Różaniec może pomóc ci pozostać w swoim centrum przez cały dzień, przez godzinę albo minutę. Może pomóc ci głęboko skupić się w sposób, którego nie byłbyś w stanie osiągnąć inaczej. Pewnego dnia będziesz go potrzebować” – mówiła w wywiadzie dla katolickiej telewizji EWTN. Doświadczenie duchowe choroby, modlitwy i uzdrowienia przyczyniło się do konwersji Tammy Peterson z protestantyzmu na katolicyzm w Wielkanoc 2024 r.

Jej mąż już wcześniej, choć powoli, wrócił do życia publicznego. Opublikował pisaną w znacznej części przed załamaniem zdrowotnym książkę „Poza porządek” z kolejnymi dwunastoma zasadami. Przed jej wydaniem zadawałem sobie pytanie: czy apostoł ambicji, porządku i twardej samodyscypliny złagodnieje, czy może jeszcze mocniej utwardzi się w poglądach?

Jego pierwsza książka skupiała się na wprowadzaniu porządku w chaos. Teraz inaczej rozłożył akcenty, koncentrując się na niebezpieczeństwach nadmiernej hierarchiczności, nadmiernego ustrukturyzowania i porządku, podkreślając potrzebę równowagi między tymi dwoma aspektami rzeczywistości. Potrzebny jest i konserwatyzm, i progresywizm; i hierarchia, i swoboda twórcza, jaką przynosi sztuka. Sam Peterson pozostaje jednak konserwatystą – podkreśla, że osoby pragnące zmieniać społeczeństwo powinny najpierw uporządkować własne życie, dbając o relacje rodzinne i zaangażowanie w lokalną społeczność. Dopiero po osiągnięciu harmonii na tych poziomach można, jego zdaniem, zacząć skutecznie działać na szerszą skalę.

Zmagania z Bogiem

W porównaniu z okresem sprzed choroby jedna zmiana jest bardzo wyraźna: dzisiejszy Peterson dużo częściej mówi o Bogu. Kim jednak jest Bóg, w którego wierzy, i jaka jest jego wiara?

„Z pomocą Bożej łaski i miłosierdzia będę mógł zacząć ponownie tworzyć autorskie materiały i wejść na nowo na ścieżkę, którą zostawiłem” – mówił Peterson w 2020 r., wracając po chorobie do życia publicznego. Rzadko dotąd tak bezpośrednio odwoływał się do swojej relacji z Bogiem, choć kwestie religijne wybrzmiewały w jego twórczości od czasu „Map sensu”. Widać jednak, jak w tym okresie ewoluował jego stosunek do chrześcijaństwa. Na samym początku „Map sensu”, jeszcze zanim opowie o rozczarowaniu socjalistami, wspomina, że jako dwunastolatek przestał chodzić do kościoła. W dalszej części książki opowiada, jak odkrywał porządek świata w głębokich, mitycznych strukturach, także w chrześcijaństwie. Jednak przez wiele lat Peterson zdawał się interesować przede wszystkim symbolicznym, archetypalnym i psychologicznym znaczeniem religijnych opowieści.

W taki sposób – przez jungowską soczewkę – patrzył na opowieści ze Starego Testamentu w serii biblijnych wykładów na YouTubie. Tamte i późniejsze rozważania stały się przyczynkiem do ostatniej jego książki „We Who Wrestle With God” („My, którzy zmagamy się z Bogiem”), opublikowanej w listopadzie 2024 r. i jeszcze niewydanej w Polsce (mało kto wie, że w 2022 r., Peterson wydał jeszcze krótką, ilustrowaną, kuriozalną książeczkę „An ABC of Childhood Tragedy” z makabrycznymi i bardzo źle napisanymi wierszy-

kami o tragicznym losie dzieci – na szczęście przemknęła bez echa).

W „We Who Wrestle With God" Peterson snuje rozważania na temat historii stworzenia świata, Adama i Ewy, Kaina i Abla, Abrahama, Mojżesza i Jonasza. Są fascynujące i pełne rozmachu, ale z drugiej strony – budzą wątpliwości. Chwilami może się wydawać, że Peterson ustawia te postaci na scenie własnego teatru, każąc im uzasadniać własne, głoszone od lat tezy. Misją człowieka jest – zdaniem Petersona – przede wszystkim stawianie czoła chaosowi. Bo takie zadanie daje mu Bóg. Nawet stworzenie Ewy było wprowadzeniem „nieznanego" w życie Adama – po to, by ten się z owym nieznanym zmierzył. Przy okazji Peterson po raz kolejny dobitnie wyraża przekonanie o fundamentalnych, jego zdaniem ufundowanych biologicznie, różnicach między kobietami a mężczyznami, poruszając się niebezpiecznie na granicy stereotypu i uogólnień. „Kobiety są bardziej ugodowe – pisze – bardziej przejmują się innymi; bardziej zainteresowane ludźmi niż rzeczami, a także bardziej skłonne do doświadczania negatywnych emocji, odczuwania zagrożenia i bólu".

Już wcześniej wiele razy mówił o swym sceptycznym nastawieniu do wartości empatii – teraz, w „We Who Wrestle...", przyczyn grzechu Ewy upatruje więc w „narcyzmie współczucia", twierdząc, że pierwsza kobieta rzekomo chciała swą matczyną opieką objąć nawet węża, co wydaje się interpretacją bardzo daleko posuniętą. W historii Kaina widzi z kolei resentyment człowieka, któremu nie udało się osiągnąć ideału (wartość dążenia do najwyższego ideału przewijała się przez całą twórczość Petersona) i który nie przyjął odpowiedzialności, jaką powinien był wziąć. I tak dalej. Aż do samego Boga.

Osoba czy amalgamat

Bp Robert Barron z amerykańskiej diecezji Winona-Rochester, przyjazny Petersonowi i goszczący w jego podkastach, już przy okazji „12 życiowych zasad" krytykował kanadyjskiego psychologa za „gnostycką tendencję do odczytywania religii biblijnej czysto psychologicznie" i za traktowanie Boga jako „zasady albo abstrakcji".

Peterson nie lubi odpowiadać na pytanie o to, czy wierzy w Boga. Odbija piłeczkę w stronę pytającego i każe mu sprecyzować, co oznacza wiara. Czasami odpowiada gorzko i zagadkowo: „To prywatna sprawa. Działam tak, jakby Bóg istniał i jestem przerażony tym, że może istnieć".

A jednak w ostatnich latach wiele razy próbował definiować Boga. Wydaje się, że jest On dla niego przede wszystkim personifikacją największego możliwego ideału, jaka ujawniła się na przestrzeni lat w historii ludzkości. W rozmowie z Samem Harrisem w 2018 r. podaje kilka twierdzeń opisujących Boga, m.in. jako „najwyższą wartość w hierarchii wartości", „głos sumienia", „przyszłość, dla której się poświęcamy", a nawet jako „to, co wybiera mężczyzna w wiecznej, męskiej hierarchii".

Bóg Petersona zdaje się być abstrakcją, która domaga się odpowiedzi (i odpowiedzialności) człowieka. Były prymas Anglii, bp Rowan Williams, w ostrej i negatywnej recenzji „We Who Wrestle..." opublikowanej w „Guardianie" odnajduje paralelę poglądów Petersona z wizją Paula Tillicha, który definiował Boga jako „to, co jest obiektem naszego najwyższego zaangażowania". Ale czy ten Bóg jest żywy, kochający, realny? Czy działa i prowadzi każdego z nas, czy też jest jedynie wzorcem i punktem dojścia? „Peterson najwyraźniej się waha, czy rzeczywiście spotykamy prawdziwego Innego w religijnej podróży" – pisze bp Williams.

W rozmowie z prawosławnym myślicielem Jonathanem Pageau, wkrótce po wyjściu z kryzysu zdrowotnego, Peterson mierzy się z tym problemem: „Najwyższy cel jest amalgamatem wszystkich wyższych celów, to idealny sposób bycia – i to jest definicja Chrystusa. Ale jest coś zbyt wygodnego w twierdzeniu, przy którym obstaje C.S. Lewis – że ten idealny sposób bycia musiał znaleźć swój wyraz w historii, w tej jednej Osobie".

Do czego doprowadzą go te wahania – być może dowiemy się wkrótce, gdyż Peterson z zaprzyjaźnionymi intelektualistami prowadzi dyskusje o Nowym Testamencie. Na razie stoi pomiędzy ewangelicznym chrześcijaństwem a konserwatyzmem w amerykańskim stylu. A te dwa stanowiska sporo jednak różni.

© JAREMA PIEKUTOWSKI

REKLAMA

Fundacja Dorastaj z Nami

Pomóż dzieciom Bohaterów

Przekaż 1,5% podatku

w podziękowaniu za służbę ich Rodziców

KRS: 0000 36 12 65

MAREK BEDNARZ X2

Na spotkaniu prowadzonym przez o. Wojciecha Drążka (drugi z lewej). Tyniec, 8 lutego 2025 r.

Modlitwa głębi

O. WOJCIECH DRĄŻEK:

Przeszkodą w modlitwie głębi jest to, co nam wpojono na temat Boga. Musimy zostawić wszystkie myśli o Nim i pobożne praktyki. Otworzyć się na ciszę, która jest „ojczystym językiem Boga".

MARCIN WÓJCIK: Gdy Cię poznałem, na dzień dobry powiedziałeś: „Cześć, jestem Wojtek". Nie miałeś koloratki, szybko skróciłeś dystans.

O. WOJCIECH DRĄŻEK CMM: Widziałem wielokrotnie, jak wchodzenie w rolę, chociażby księdza, burzy komunikację. Uważam, że im prościej w kontaktach, tym lepiej. Nie jestem przewodnikiem, który zawsze ma rację. Jestem towarzyszem w drodze, chociaż słowo „towarzysz" w Polsce może być różnie odbierane (*śmiech*). Staram się towarzyszyć ludziom w rozwoju duchowym.

Przejście na „ty" nie gwarantuje, że ludzie skrócą dystans, nie postawią Cię na piedestale. Przed ich projekcją się nie uchronisz.

Nie robię tego, by skracać dystans. Tylko po to, by komunikacja była jak najbardziej płynna. Bywają sytuacje, że kogoś gorszy brak koloratki albo że nie mówię „językiem duchownych", albo że „nie zachowuję się jak ksiądz". Jeśli ktoś ma skłonność do własnych projekcji, prędzej czy później będzie musiał się z tym zderzyć.

Należysz do Zgromadzenia Misjonarzy z Marianhill. Brzmi egzotycznie.

Marianhill to rozwinięcie nazwy Mary Anne Hill (Wzgórze Marii Anny), gdzie trapiści wybudowali wielki klasztor, by stworzyć zaplecze duchowe dla Afryki. Jego założyciel zapakował na statek wszystko, co miał, zebrał ludzi i popłynęli do Durbanu. Przeszli jakieś dwadzieścia kilometrów, bo dalej się nie dało, i podjął on decyzję, że tam będzie ich klasztor. Mieszkający w nim zakonnicy nie przestrzegali jednak trapistowskiej reguły, więc Pius X powołał nowe zgromadzenie pod nazwą misjonarze z Marianhill, bo mieli zajmować się przede wszystkim pracą misyjną. Nawiązali też kontakty z Polską. Ja byłem wyświęcony w diecezji, ale ten styl pracy mi nie odpowiadał, więc gdy pojawiła się możliwość dołączenia do nich, chętnie z niej skorzystałem. Jesteśmy bardzo małym zgromadzeniem, liczącym może z czterysta osób w całym świecie, głównie w Afryce.

Pracowałeś w Niemczech, Włoszech, USA, Nowej Gwinei...

Moją główną placówką misyjną była Papua-Nowa Gwinea. Przez osiem lat z fascynacją przyglądałem się duchowej różnorodności i bogactwu tych ludzi. I byłem w konflikcie wewnętrznym. Widziałem, że coś jest grubo nie tak – ja, nie znając dogłębnie tego, co ich inspiruje, próbuję narzucić im coś z zewnątrz. Owszem, to, co próbuję przekazać, jest dla mnie bardzo ważne i wartościowe, tylko czy mam prawo to robić? Doszedłem do wniosku, że nie. To był dla mnie moment dużego kryzysu. Doszedłem do wniosku, że Ewangelia jest doświadczeniem uniwersalnym, choć wyrosła w konkretnym kontekście kulturowym. Żeby ją głosić, trzeba zrozumieć i kontekst, i przesłanie. I umieć je oddzielić.

Po tym doświadczeniu, gdy w kryzysie duchowym wyjeżdżałem z Papui, trafiłem na franciszkanina Richarda Rohra, od niedawna bardzo popularnego także w Polsce. On pokazał mi na nowo piękno

słowa Bożego, ale też piękno spotkania z innymi kulturami i religiami. Potwierdził te wszystkie intuicje, które od zawsze głęboko odczuwałem w moim sercu – że Bóg jest ojcem wszystkich i każdego, że Jego nieskończona, niczym nieuwarunkowana miłość to fundament, od którego trzeba zacząć.

Rohr pomógł mi też odnaleźć nauki o. Thomasa Keatinga, trapisty, jednego z twórców Ruchu Odnowy Kontemplacyjnej (Contemplative Outreach), które dały mi nowe spojrzenie na rzeczywistość, na Boga, na chrześcijaństwo, ale też konkretną praktykę, która do nich prowadzi.

Jak to się stało, że wróciłeś do Polski?

Wróciłem na prośbę przełożonych. Od 1996 r. mieliśmy wspólnotę misjonarzy z Marianhill w Czeladzi, w diecezji sosnowieckiej. Miałem spróbować ją reaktywować, ale to się nie udało. Zacząłem podróżować po kraju. W Kielcach współpracowałem z pallotynami, w innych miejscach z benedyktynami. W którymś momencie zgromadzenie kupiło mieszkanie na Śląsku, mam więc swoją siedzibę. To mój dom misyjny, z którego wyruszam w teren – na zaproszenie konkretnych grup czy samemu organizując zajęcia Ruchu Odnowy Kontemplacyjnej.

Mógłbyś wytłumaczyć jak dziecku, czym jest Ruch Odnowy Kontemplacyjnej?

To społeczność ludzi, którzy praktykują modlitwę głębi. A ta z kolei jest metodą, która ma wspomagać rozwój modlitwy kontemplacyjnej przez przygotowanie naszych władz duchowych i umysłowych na przyjęcie Daru. To odpowiedź na głęboką tęsknotę ludzkiego serca za doświadczeniem Bożej obecności w bezpośrednim kontakcie – bez słów, w ciszy, w milczeniu. Czyli próba zaprezentowania w nowej, uaktualnionej formie tego, co było przecież znane w dawnych czasach.

Brzmi ambitnie i wzniośle. Tylko co to znaczy w praktyce?

Jeśli tego chcesz, znajdź dwadzieścia minut rano, dwadzieścia minut wieczorem. Usiądź z bardzo szczególną intencją, żeby zostawić swoje sprawy na boku, i otwórz się na to, że nieuwarunkowana miłość Boża zamieszkuje w tobie. To jest miłość kształtująca, transformująca. Jeśli na samym początku nie masz do tego przekonania, to po prostu próbuj.

Wyobrażam sobie, że to może być jednak trudne: usiąść w ciszy i szukać w sobie Boga.

Główną przeszkodą jest wszystko to, czego nauczyliśmy się na temat Boga, co nam wpojono, do czego się przyzwyczailiśmy. W większości będą to słowa, myśli, obrazy, koncepcje i inne rzeczy. Dlatego zachęcamy uczestników naszych spotkań, by zostawili myśli na temat Boga, pobożne praktyki, by otworzyli się na prostą ciszę, która jest „ojczystym językiem Boga", jak mówi Keating.

Na początek po prostu siadamy wygodnie z zamkniętymi oczami. Doświadczenie duchowe jako takie jest raczej bezpostaciowe, więc dobrze jest znaleźć jakiś symbol mojej duchowej intencji, duchowej postawy. W modlitwie głębi ta postawa jest dosyć dobrze zdefiniowana – to całkowita zgoda na Bożą obecność i działanie w moim sercu. Tyle. Taka jest ogólna formuła.

Potem wybieramy jakieś słowo. Każdy dla siebie. I to słowo pozwala wrócić do pełni obecności, gdy myśli prowadzą nas w różne strony. A zawsze to robią. Więc zamiast błądzić myślami, męczyć się tym wszystkim, przywołujemy nasz symbol i jesteśmy znów obecni.

Każdy może to zrobić, bez względu na to, gdzie się urodził, w jakiej kulturze i z jakimi przekonaniami żyje. Owocem tego doświadczenia jest coraz bardziej ugruntowana wiara, rozumiana jako zaufanie.

Po co to wszystko robić?

Cudowną rzeczą w modlitwie głębi jest to, że nic nie trzeba robić. Po prostu siadam i oddaję się do dyspozycji. Tak samo, jak kładę się na słońcu i wstaję opalony.

Ale jaki jest tego cel?

Dążysz do tego, za czym najbardziej tęskni twoje serce. Gdy robisz to przez dłuższy czas, liczony w miesiącach czy latach, to zaczynasz odczuwać wewnętrzną transformację. Zaczynasz się otwierać na piękno w jego różnych postaciach. Nie na edukację kulturalną czy krytykę sztuki, ale na piękno, które porusza. Na wrażliwość. Pamiętam taki moment, gdy oglądałem w telewizji reportaż i nie mogłem się ruszyć z fotela. Siedziałem ze łzami w oczach. Nigdy wcześniej tak nie reagowałem. Bo uwrażliwiasz się na drugiego człowieka, zaczynasz go kochać dokładnie w tym miejscu, w którym on jest na swojej drodze. ↦

O. WOJCIECH DRĄŻEK CMM – kapłan ze Zgromadzenia Misjonarzy z Marianhill, krajowy koordynator Ruchu Odnowy Kontemplacyjnej w Polsce, tłumacz, autor podkastu „Otwarte serce", nauczyciel modlitwy głębi.

Całe życie mnie uczono, że mam ludzi nawracać, mam ich zmieniać, mam ich dokądś prowadzić. Że ode mnie zależy ich zbawienie i tak dalej. Potrzebowałem sporo czasu, żeby to w sobie odczarować, żeby to wszystko zostawić. Jedyne, co jest dla mnie wartościowe, to ukochać człowieka w tym miejscu, gdzie on jest w swoim życiu.

To duże słowa.

Tak. Zdaję sobie z tego sprawę. I mogę powiedzieć, że w jakiejś części mi się to udaje, a tam, gdzie się nie udaje, zależy mi mocno na zmianie. Żeby się udawało.

I nic Cię nie irytuje?

Nie jest to irytacja, ale smutek, że ludzie nie mają ze sobą kontaktu. To rodzi bezsilność, zagubienie, zaplątanie, uwiązanie, uzależnienie, wszelkiego rodzaju zniewolenia.

Od lat praktykuję medytację, w tym rozwijanie życzliwości. Ale czasem czuję, że mam zaciśnięte serce. Choćby teraz. Utrzymywanie takiej uwagi jest trudne. Mówisz ludziom, że mogą to osiągnąć w swojej codzienności. Zachęcasz do czegoś, co kiedyś, na pustyni, praktykowano latami. Czy to nie naiwne?

Bardzo wielu osobom się udało. Nie dlatego, że chcieli osiągnąć sukces, tylko dlatego, że po prostu zaufali. Zaufali, że będą poprowadzeni, że ta miłość, o której mówię, to nie jest tylko jakaś idea miłości, ale realna siła, działająca w życiu, realna obecność. Nikogo nie dziwi, że Boga nazywa się miłością. Ale jeśli nie doświadczysz tego we własnym sercu, będzie to tylko idea.

Kiedyś spędziłem kilka lat w ośrodku medytacji w Anglii. Najważniejsze, czego się wtedy nauczyłem o życiu duchowym, wydarzyło się, gdy siedziałem z facetem, którego żona właśnie zmarła na zawał w wieku lat 46 lat. Zaparzenie dla niego herbaty i bycie tam dla niego. To był chyba szczyt moich osiągnięć duchowych. Do takiego rodzaju wrażliwości nie mamy dostępu na co dzień.

Zgadza się, ale gdy już się ten dostęp otworzy, to będzie coraz większy. Mówimy o procesie uzdrawiania, uwalniania od poglądów i przekonań, rozróżniania przekonań od rzeczywistości. W modlitwie głębi wycofujesz się i stajesz się obserwatorem. Przez to masz większy kontakt ze sobą. Ten proces cały czas się toczy. Jestem tego świadkiem i to jest cudowne. Jestem przy praktykujących tę modlitwę, ale nie mam potrzeby nimi kierować czy ich prowadzić.

W modlitwie głębi nic nie trzeba robić. Siadam i oddaję się do dyspozycji. **Tak samo, jak kładę się na słońcu i wstaję opalony.**

Czy da się praktykować modlitwę głębi, będąc draniem?

A co to znaczy „drań"? Może to po prostu człowiek, któremu nic się nie udaje i został tak głęboko poraniony, że teraz okłada wszystkich dookoła? A przecież też jest ukochanym dzieckiem Boga. Jedni ludzie już odkryli, że są kochani, i odpowiadają miłością. Nazywamy ich świętymi. Ale są też tacy, którzy jeszcze tej miłości, którą noszą w sercu, nie odkryli. I tych nazywamy draniami.

Jakie są korzenie modlitwy głębi?

Zachodnie chrześcijaństwo rozwijało się w miejscach monastycznych, bo to była jedyna bezpieczna przestrzeń. Jest takie piękne dzieło „Obłok niewiedzy" czy „Chmura niewiedzy", które powstało w tamtejszym środowisku. Mnich uczy tam drugiego mnicha, pokazując mu drogę duchowej kontemplacji jako sposób na bezpośrednie spotkanie z Bogiem. Wyjaśnia proces „odpamiętywania" tego, czego go nauczono, otwarcia na nieznane. Bo taka jest natura spotkania z Bogiem. To było punktem odniesienia dla Keatinga w latach 80. Na tej fali Keating, Basil Pennington i William Meninger zaczęli tworzyć modlitwę głębi.

Jak wygląda Twoja codzienna praktyka tej modlitwy?

Tradycyjnie. Siadam dwa razy dziennie na dwadzieścia minut. Jak mam chwilę w ciągu dnia, to siadam w ciszy i przenoszę w tę przestrzeń wszystko, co się dzieje w moim życiu. Dla mnie praktyka nie musi być sformalizowana, więc nie włączam aplikacji z odmierzaniem czasu medytacji.

Byłem na Waszym spotkaniu w sobotę i miałem wrażenie, że to szkoła buddyzmu, tylko wykorzystująca katolicką nomenklaturę. Czy modlitwa głębi nie jest czasem katolicką odpowiedzią na modę na buddyzm albo mindfulness?

To dla mnie wielki komplement, jeśli ktoś, kto obcuje na co dzień z inną tradycją, słysząc mnie utożsamia się z tym, co mówię. Ewangelia jest w swojej istocie przesłaniem uniwersalnym. To, że udało mi się dotknąć przesłania Ewangelii, rozpoznaję właśnie po tym, że każdy może zidentyfikować się z tym, co mówię. Uniwersalność ewangelicznego przesłania jest dla mnie rzeczą fundamentalną. Pamiętam, że gdy nie znałem jeszcze języka Papuasów, tylko się do nich uśmiechałem. Wszyscy to rozumieli.

W różnych religiach zasady są takie same: ludzie siedzą na krzesłach albo na matach, oczy mają zamknięte. Na zewnątrz wygląda to bardzo podobnie. Kluczem do modlitwy głębi jest odkrycie tego, co Keating nazywał „odwiecznym zamieszkaniem Boga". Rzeczywistość Boga, jako Ojca, Syna i Ducha, jest rzeczywistością wewnętrzną. Bo „Ten, który widzi, widzi w ukryciu".

Jakie są reakcje na Twoje działania w Kościele w Polsce?

Kiedyś miałem przekonanie, że to, co robię, powinno odbywać się w przestrzeniach kościelnych, parafialnych. Wtedy bywało różnie. Spotykałem się z dużą nieufnością. Ale robię to dla ludzi, a nie dla instytucji, więc przenieśliśmy się w miejsca, gdzie nas przyjaźnie zapraszano – do domów rekolekcyjnych, sal szkolnych, ale i do normalnych domów rodzinnych.

Nie wszyscy biskupi akceptują Twoją aktywność.

Tak. Jeden biskup powiedział mi, że będzie szczęśliwy, gdy się wyniosę z jego diecezji. Najśmieszniejsze, że oskarżył mnie o propagowanie praktyk hinduistycznych. Takie było jego rozumienie najstarszej chrześcijańskiej tradycji kontemplacyjnej. Czy sam to napisał? Czy sam tak myśli? Trudno mi powiedzieć. Rozstaliśmy się życzliwie.

Ktoś mnie kiedyś nawet zapytał: „Wojtek, co ty tam jeszcze robisz w tym Kościele?”. Odpowiadam: jestem tam, bo jest to moje naturalne środowisko. Po prostu idę za głosem serca. Kryzys Kościoła jest niepodważalny. Uważam, że Duch Święty upomina się o to, by Ewangelia stała się naprawdę dobrą nowiną dla każdego człowieka, a nie tylko dla tych, którzy mieszczą się w jakichś ramkach.

Nie boisz się?

Zdarza się. Ale to nie jest ten rodzaj strachu, który zamyka. Raczej ten, z którym chcę się spotkać, bo on mi mówi, że jest coś ważnego do zrobienia.

Zajęć Ci nie brakuje.

W niedziele prowadzę niedzielne otwarte spotkania online „Kontemplacyjny wymiar Ewangelii”, gdzie towarzyszy mi przesłanie: „każdy jest zaproszony, nikt nie jest wykluczony”. Drugą rzeczą są spotkania na żywo i rekolekcje. Grup Odnowy Kontemplacyjnej jest w Polsce kilkanaście. Większość z nich widnieje na naszej stronie, więc można zobaczyć, gdzie one są i jakie. Spotykamy się, żeby wspólnie praktykować modlitwę głębi. Tłumaczę też książki Rohra i Keatinga. I nagrywam podkasty. Mam prawie trzy tysiące subskrybentów, co znaczy, że pewnie słucha mnie kilka tysięcy ludzi. Ale nigdy nie pracowałem metodycznie nad tym, by zwiększać zasięgi. Ostatnio ojciec Szustak wspomniał o tym, co robię, za co jestem mu wdzięczny. Wiem, że ci, którzy tego potrzebują, mnie znajdą.

Co Cię napędza do działania?

Uczę się miłości. Raz mi wychodzi, raz nie, ale to mną powoduje. Mam ciągły niedosyt miłości. Ważne jest dla mnie, żeby ona nie była słowem. To bardzo trudne, bo przecież potykamy się o wiele własnych ograniczeń, uprzedzeń, lęków i obaw. Jestem przekonany, że każdy człowiek jest zdolny do bezwarunkowej miłości. I dlatego, że sam też jej pragnę, widzę wszystkie uwarunkowania, które mogą w tym przeszkadzać. Ale widzę też wtedy, że jest zadanie do wykonania.

© Rozmawiał MARCIN WÓJCIK

RIJKSMUSEUM / DOMENA PUBLICZNA

Barent Fabritius, Faryzeusz i celnik, 1661 r.

Dobry jak faryzeusz

PAWEŁ RAKOWSKI

O faryzeuszach słyszał każdy. Ale o tym, kim naprawdę byli, wiemy niewiele. Ewangelie nie stawiają ich w dobrym świetle – a niesłusznie.

Trudność sprawia już sama nazwa. Etymologicznie „faryzeusze” mogą być związani z aramejskim słowem „*parash*”, co znaczy „oddzielony”, tyle że nie mamy jasności, od czego lub kogo mieliby być oddzieleni. Ani z jakiego powodu.

Jako grupa społeczna wyodrębnili się prawdopodobnie między VI a I wiekiem przed Chrystusem, choć i tu nie ma pewności co do procesów, które przyczyniły się do jej powstania. Archeologowie mają poważny problem z identyfikacją śladów materialnych pozostawionych przez faryzeuszy, co utrudnia badania nad charakterystyką tej grupy. Ilu ich było? Tego też nie wiemy. Jedyna pewność, jaką dziś mamy, dotyczy pojawiania się faryzeuszy w narracjach biblijnych napisanych już po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Wyniki badań przeprowadzonych w ostatnich dekadach nad tekstami ewangelii sugerują, że obraz faryzeuszy, jaki tam znajdziemy, jest bardziej literacki niż historyczny.

Faryzejskie spory

Jako bohaterowie zbiorowi ewangelii przedstawieni są głównie w roli oponentów Jezusa: zadają mu podchwytliwe pytania i próbują przyłapać go na kontrowersjach związanych z interpretacją Tory. Jezus daje się wciągać w te spory i chętnie rozmawia z faryzeuszami. Dlaczego? Ponieważ byli mu bliscy. Wierzyli, jak Jezus, w zmartwychwstanie, w przeciwieństwie do saduceuszy. Tak jak Jezus byli blisko ludzi – w przeciwieństwie do kapłanów ze świątyni. Jezus chętnie z faryzeuszami debatuje i daje się zapraszać na wspólne ucztowanie, jak choćby do domu Szymona (Łk 7, 36-50). Przy okazji tych kontaktów zarówno faryzeusze, jak i Jezus prowokują się do zadawania sobie nawzajem pytań o rozumienie Bożego nauczania, jakim jest Tora. Z tych sporów rodzi się ↦

↦ wiele cennych uwag Jezusa na temat jej interpretacji, zachowanych w ewangeliach.

Jak w tych debatach wypada Jezus? W najbardziej rozpowszechnionych opiniach to on jest tym, który odrzuca radykalną interpretację przepisów prawa. Ale przecież nie brak fragmentów, w których jego rozumienie Tory jest bardziej rygorystyczne od faryzejskiego. W takich momentach Jezus korzysta z żydowskiej metody interpretacji prawa polegającej na budowaniu „ogrodzenia wokół Tory". Przykładem choćby jego interpretacja przykazania „Nie zabijaj". Według Jezusa sądowi podlega nie tylko zabójstwo, ale także gniew, który do zabójstwa doprowadza (Mt 5, 21-24). Podobnie interpretuje zakaz cudzołożenia, gdzie już samo pożądliwe spojrzenie na inną kobietę będzie grzechem (Mt 5, 27-29). A w słowach Jezusa o faryzeuszach – „czyńcie więc i zachowujcie wszystko, co wam polecą, lecz uczynków ich nie naśladujcie. Mówią bowiem, ale sami nie czynią" (Mt 23, 1-3) – słychać krytykę, że nie są wystarczająco radykalni w działaniu (czego Jezus oczekiwał od swoich uczniów i do czego ich zachęcał).

U żadnego z faryzeuszy na kartach ewangelii nie znajdziemy tak mocnych słów, jakie słyszymy od Jezusa: o wyłupywaniu oczu, odrąbywaniu rąk czy zawieszaniu koła młyńskiego u szyi. Można oczywiście uznać, że radykalny język Jezusa to retoryczna strategia na przyciągnięcie słuchaczy, ale przywołując jego słowa nie możemy jednoznacznie twierdzić, że miał luźniejsze podejście do przepisów prawa niż faryzeusze albo że to oni byli bardziej radykalni w ich interpretacji.

Czy Jezus był faryzeuszem?

Kolejnym elementem zniekształcającym obraz tej grupy jest niewłaściwie rozumiana przypowieść o modlących się w świątyni faryzeuszu i celniku (Łk 18, 9-14). Przypowieści charakteryzują się karykaturalnymi przerysowaniami nierealnych bohaterów, o czym wielu kaznodziejów zapomina. W przywołanej przypowieści faryzeusz pości dwa razy w tygodniu, choć przecież nie ma takiego zapisu w prawie religijnym. Tekst grecki może ponadto sugerować, że celnik został usprawiedliwiony „tak jak faryzeusz", a może nawet dzięki jego modlitwie, w której słychać echo poleceń Mojżesza z Księgi Powtórzonego Prawa (Pwt 26, 1-15). Być może celem ewangelicznej przypowieści nie była krytyka modlitwy faryzeusza, ale przypomnienie, że także celnicy mogą być usprawiedliwieni.

Ruch faryzejski, wbrew stereotypom, jakie na jego temat mamy, był skłonny do reform religijnych luzujących przepisy prawa.

Badania nad tekstami z Qumran rzucają nieco światła na nasz problem. Wynika z nich, że to faryzeusze byli skłonni do luzowania niektórych przepisów religijnych, za co krytykowali ich esseńczycy. Radykalizm Jezusa mógł go przybliżać do ruchu esseńskiego, ale jednak chętniej wchodził w kontakt z faryzeuszami. Może więc sam był jednym z nich? Ale jeśli tak, to czy nie znaleźlibyśmy potwierdzenia tego faktu u Pawła, który podkreślał swoją faryzejską tożsamość (Flp 3, 5), a jednocześnie był dumny z naśladowania Jezusa? Czy apostoł nie zasugerowałby w takim przypadku swojego – jako faryzeusza – podobieństwa do Jezusa? A jednak w listach Pawłowych nie znajdziemy choćby cienia aluzji, że Jezus należał do faryzeuszy.

Paweł z Tarsu to jedyny faryzeusz w historii, który zostawił po sobie piśmienny ślad – jest przecież zarówno bohaterem, jak i autorem wielu tekstów Nowego Testamentu. Choć Piotr był pierwszym z apostołów, to jednak faryzeusz Paweł staje się reformatorem wspólnot gromadzących się w imię Jezusa. Czy po spotkaniu Jezusa w drodze do Damaszku Paweł przestał być Żydem, czy przestał być faryzeuszem? I jak to możliwe, że Paweł, który nie krył się ze swoją faryzejską tożsamością, potrafił zrezygnować z obrzezania? Czy było to wynikiem jego radykalnego odcięcia się od swojej przyszłości? Mało prawdopodobne. Być może wynikało to również z samej natury ruchu faryzejskiego, który wbrew stereotypom, jakie na jego temat mamy, był jednak skłonny do reform religijnych luzujących przepisy prawa.

Liberalny jak faryzeusz

W tekstach biblijnych nie brakuje pozytywnych wzmianek o faryzeuszach. W ewangelii Jana trzeci rozdział poświęcony jest w znacznej mierze przyjacielskiej rozmowie Jezusa z Nikodemem, faryzeuszem (J 3, 1-21). W ewangelii Łukasza faryzeusze ostrzegają Jezusa przed Herodem (Łk 13, 31), natomiast w Dziejach Apostolskich Gamaliel, również faryzeusz, staje w obronie apostołów (Dz 5, 34-39). Warto dodać, że faryzeusze znikają w narracjach pasyjnych.

Ewangelie powstały co najmniej kilkadziesiąt lat po zmartwychwstaniu Jezusa, w nowym dla wspólnoty żydowskiej kontekście – po zburzeniu świątyni w Jerozolimie oraz masowej ucieczce wielu Żydów z ówczesnej Palestyny. Pisane były z dala od Jerozolimy, w diasporach żydowskich rozsianych po całym Cesarstwie Rzymskim. Uzasadnione jest więc pytanie, czy opisują faktyczne spory Jezusa z faryzeuszami, czy raczej dyskusje toczone wewnątrz żydowskiej diaspory – mówiąc krótko: Jezus na kartach ewangelii może być postacią, w której usta włożono późniejsze oskarżenia wobec współwyznawców, odmawiających uznania go za mesjasza.

Obraz faryzeuszy na kartach Nowego Testamentu jest wielowarstwowy i niejednoznaczny. Z jednej strony są pokazani jako oponenci Jezusa, z drugiej – jako bliscy mu uczestnicy sporów na temat interpretacji Tory i związanych z tym praktyk religijnych. Są nawet reformatorami rodzącej się wspólnoty chrześcijańskiej, z faryzeuszem Pawłem na czele.

Rozpowszechniony stereotyp faryzeusza przynosi wiele szkód także samej lekturze Biblii. Przede wszystkim zamyka wspólnotę katolicką na spór o rozumienie Ewangelii – prowadzenie takiego sporu traktowane jest powszechnie jako zagrożenie dla jedności chrześcijan. Polemiki Jezusa z faryzeuszami nie były sporem z judaizmem, ale o jego kształt. Podobnie jak dziś spór z krzywdzącymi interpretacjami biblijnymi nie jest sporem z chrześcijaństwem czy Kościołem, ale dyskusją nad ich kształtem. Już samo pytanie o faryzeuszy stawia nas przed pytaniem o Dobrą Nowinę. Na ile ewangeliczne są ostre oskarżenia wysunięte wobec faryzeuszy przez autorów ewangelii? Czyli – ile jest Ewangelii w ewangelicznych tekstach? Parafrazując słowa znanej biblistki Amy-Jill Levine, nie ma potrzeby przedstawiania judaizmu (i faryzeuszy) w złym świetle, żeby Jezusa i jego naukę przedstawić w dobrym.

© PAWEŁ RAKOWSKI

WOJCIECH

Bonowicz: *Wielcy, więksi, najmniejsi*

Czy można jeszcze ten świat oswoić? Poczuć się w nim jak w domu? Nie wiem. Wszystko zdaje się zmierzać w przeciwnym kierunku. Zachłanność przybiera na sile, obojętność podobnie. Wyrwać z tego, co jeszcze zostało, ile się da, nie bacząc na skutki. Wybebeszyć, spustoszyć, wyzyskać. Gromadzić, gromadzić, gromadzić. Tych, którzy przegrają w wyścigu, zostawić na poboczu drogi. Przegrany sam sobie winien. Solidarność? Może z tymi, którzy są „nasi", ale z innymi? Oto etyka nowego świata – za którym głosują, któremu klaszczą, który witają okrzykami radości miliony. U nas też, coraz więcej. Za wielką Ameryką wielka Europa. I wielka Polska. Wszystko wielkie. Gdzie się to wszystko pomieści, jak takie wielkie będzie?

Dopadło mnie zwątpienie. No cóż. Bo to pierwszy raz? Ten świat wcale nie taki nowy, egoizm narodowy to nie jest wynalazek ani tych, ani poprzednich czasów. Tyle że dziś możliwości manipulacji tym czy innym pojęciem są znacznie większe. Pierze z rozprutych pierzyn lata, gdzie chce, i nikt nie jest w stanie go pozbierać. Jednego dnia mówisz to, drugiego tamto. Raz prawda wygląda tak, raz inaczej. Jakie znaczenie ma słowo, które dałeś? Żadnego. To tylko gra. Przecież o nic innego nie chodzi – na pewno nie o dobro narodu! – tylko o to, żeby „nasze" było na wierzchu. Musisz być roztropny. Jeśli silniejszy bije słabszego, podaj rękę silniejszemu. „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości"? Niech silniejszy dyktuje warunki, niech słaby zna swoje miejsce. To właśnie jest sprawiedliwość.

Taka etyka, taki model. Ja, ja, ja. Wielki, wielki, wielki. Jednym podpisem zmieniam los tysięcy, milionów. Nowy Napoleon – w czerwonej czapce z daszkiem. Zaroiło się od tych czapek i u nas. Ciekawe, czy zdejmą, jak się okaże, że Napoleon ich wystawił. E nie, nie zdejmą. Posadzą Napoleona za stołem, a sami kucną obok. Uśmiechnięci, szczęśliwi. W końcu wystawi czy nie wystawi, jest „nasz", do jednej bramki gramy, w jednej drużynie. A stawką meczu – cywilizacja. Koniec z eksperymentami. Nareszcie wolność, ale taka prawdziwa. Najprawdziwsza. Wolność dla silnych. Wolność dla swoich. I żadnej litości.

Ale też, jak sobie człowiek to wszystko już powie, już to wie, już do niego dotarło – to świat nagle do niego wraca. Zza tej zasłony przeklętej, zza tej mgły, od której łzawią oczy, zza tego pierza fruwającego. Wraca świat piękny, świat-wezwanie, świat-dar. Bo nasza cywilizacja, cokolwiek by o niej mówić, na tym także wyrosła: na świadomości daru. Nie dla naszej zachłanności dostaliśmy go, ale pod opiekę. Zachłanność, owszem, pomogła nam się w nim osadzić – ale tylko dlatego, że zawsze była powściągana, równoważona, kwestionowana. Fundamentem naszej cywilizacji, powiadają mędrcy, była zdolność do rewizji, do samokrytyki i samonaprawy. Wiele zniszczyliśmy, ale nauczyliśmy się też ocalać i odbudowywać.

Byłem uczony zachwytu, byłem uczony wdzięczności. Ojciec prowadził nas na łąki, do lasu, na stawy – lekcję, jaką tam pobieraliśmy, dałoby się streścić właśnie w tych dwóch słowach. Ci, co dziś krzyczą o wielkości, a zamierzają niszczyć, zapewne nigdy takiej lekcji nie odbyli. Możliwe, że ich zapiekłość i megalomania to forma samoobrony. Albo rekompensaty. To dla nas wszystkich przestroga: jeśli nie będziemy uczyli zachwytu i wdzięczności, utorujemy drogę zachłanności i egoizmowi. Kto nie buduje, musi burzyć.

Chwile zwątpienia przychodzą i odchodzą. Zostaje rzeczywistość, za którą trzeba brać odpowiedzialność. Chronić, opiekować się, powstrzymywać nadmierne apetyty tych, którzy chcieliby wycisnąć z niej jak najwięcej. Jest czymś zdumiewającym, na jakie ogromne opory natrafia dziś chęć ochrony tego, co słabe. Weźmy przykład z ostatnich tygodni: wolność strzelania okazuje się ważniejsza od wolności chronienia. (Mówię o kilku gatunkach ptaków, które ministerstwo klimatu i środowiska chciałoby wpisać na listę gatunków pod ochroną. Kilku innych ministrów, charakterystyczne, że głównie z PSL-u, zaprotestowało.) To jakiś fenomen – wcale nie tylko polski. Jakiś atawizm, bo ja wiem? Nie sposób wytłumaczyć kotu, żeby nie polował na ptaki. Można mu to co najwyżej uniemożliwić. Czy ludziom, którzy strzelanie do tego, co bezbronne, uważają za frajdę, nie należałoby raczej utrudniać spełniania takich zachcianek, zamiast ułatwiać? Ależ nie, bo to męska przygoda, bo to sport silnych, wpływowych. Wielkich. Czy da się to zatrzymać? Mimo wszystko próbujmy. Chyba jednak jest nas więcej – nawet jeśli jesteśmy mniejsi. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

OPINIE

NASI NIEMCY

Rafał Bartek przez 35 lat nie słyszał, żeby ktokolwiek z Mniejszości Niemieckiej kwestionował prawo Polski do Górnego Śląska. Tymczasem druga strona wciąż stara się udowadniać, że to jest Polska. Oczywiście, że jest.

ZBIGNIEW ROKITA

MICHAŁ GROCHOLSKI

Gdy w Warszawie rozkręca się kolejna antyniemiecka kampania, czujecie jej skutki tutaj, na Śląsku Opolskim? – pytam Rafała Bartka, przewodniczącego Mniejszości Niemieckiej (formalnie: Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim). Siedzimy w jego opolskim biurze, na ścianie wisi zegar w kształcie RFN.

– Zawsze to czujemy. Za każdym razem wzrasta ilość hejtu w mediach społecznościowych, dostajemy groźby. Jakiś czas temu otrzymałem np. list z pogróżką, że mnie zabiją, bo jestem Niemcem – odpowiada. – Politycy rozkręcając spiralę nienawiści nie zdają sobie sprawy ze skutków, bo skutki widać nie w stolicy, a w regionach.

W Polsce Niemców jest nieco ponad 144 tysiące. Najwięcej „polskich" Niemców żyje na Górnym Śląsku: ponad 60 proc. Z kolei zdecydowana większość spośród nich zamieszkuje woj. opolskie. Według spisów powszechnych są największą uznaną mniejszością w Polsce – liczniejsi Ślązacy (596 tys.) i Kaszubi (179 tys.) nie są uznani.

Niemcy, którzy dziś żyją na Śląsku, to resztka dawnej, znacznie większej śląsko-niemieckiej społeczności.

Niemiecki coming out

Rok 1989 to eksplozja, wielkie wyautowanie się mniejszości niemieckiej. W latach 90. mówiło się nawet o milionie polskich Niemców, choć pewnie z przesadą. W 1991 r. udało się im wprowadzić do parlamentu siedmiu posłów i senatora. U wielu budzili lęk. Np. gdy ktoś napisał na transparencie o Kohlu po niemiecku: „Helmucie, jesteś także naszym kanclerzem". Albo gdy pierwszy lider Mniejszości Henryk Król, który dopiero co zmienił godność na Heinrich Kroll, powiedział: „My, Ślązacy, jesteśmy tutaj w domu, Polacy są tu gośćmi".

Po 1989 r. ludzie deklarowali się jako Niemcy z wielu powodów. Niektórzy czuli się Niemcami, inni chcieli wykrzyczeć sprzeciw wobec Polski, jeszcze inni kierowali się kieszenią, np. chcieli dostać czerwony paszport.

– Moja oma Anna, rocznik 1926, zakładała u nas Mniejszość – mówi Pejter Długosz. – Pamiętam, że gdy ktoś puścił plotkę, że za zapisanie się do Mniejszości dostaje się 100 marek, przez kilka dni drzwi dosłownie się u nas nie zamykały. Do dziś ludzie dzwonią do Mniejszości i pytają, czy jak się zapiszą, to dostaną pieniądze.

Majówka Mniejszości Niemieckiej, podczas której stawiane jest drzewko majowe (Maibaum). Dobrzeń Wielki, 1 maja 2023 r. Zdjęcie pochodzi z projektu Michała Grocholskiego „Mniejszość" realizowanego w województwie opolskim.

Długosz wspomina, że wówczas po raz kolejny zaczęła pękać miejscowa wspólnota – takich pęknięć w XX wieku było wśród tutejszych co niemiara: powstania, plebiscyt, podział regionu w 1922 r., nazizm, wojna, weryfikacja, wypędzenia, wysiedlenia, emigracja itd.

– Do mojego opy 40 lat raz w tygodniu na sznapsa przychodził Staszek Plewa. Za wojny był robotnikiem przymusowym, ale później został na gospodarstwie, nawet się z córką bauera hajtnął. I gdy mój opa zapisał się do Mniejszości, Staszek więcej opy nie odwiedził – mówi.

Nie jestem germanofilem, ale...

Tutejsi Niemcy mają swoich surowych recenzentów, niemcosceptyków. Dla jednych są Ślązakami udającymi Niemców. Dla innych przeoczeniem powojennych komisji weryfikacyjnych. Dla jeszcze innych piątą kolumną, która lojalna jest w pierwszej kolejności wobec Berlina.

– Istnieje konflikt między byciem obywatelem Polski i Niemcem? – pytam Alicję Nabzdyk-Kaczmarek, prezeskę Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego „Polski Śląsk".

– Ujmę to tak: czy oni jako politycy Mniejszości są lojalni wobec Polski? Mam wątpliwości.

– Są powiązani z władzami w Berlinie?

– Otrzymują pieniądze od rządu federalnego w Berlinie oraz od rządu w Warszawie. Mają co najmniej dwa strumienie. A nie można służyć dwóm panom jednocześnie.

Nabzdyk-Kaczmarek w swoich osądach nie jest osamotniona. Kilkanaście lat temu zaczęła powstawać „Biała księga nielojalności mniejszości niemieckiej". Jej autorem jest Sławomir Kłosowski: polityk Prawa i Sprawiedliwości, w przeszłości poseł, wiceminister edukacji, a do niedawna wojewoda opolski. W wywiadzie dla portalu wPolityce.pl, zatytułowanym „Grupa politycznych cwaniaków z mniejszości niemieckiej stara się uzyskiwać swoje profity na judzeniu", Kłosowski mówił: „Działacze mniejszości niemieckiej lubią mówić, że są uciemiężeni, uciśnieni, choć przecież posiadają uprawnienia idące chyba najdalej w całej Europie". Księga ilustrowana jest m.in. wielkim napisem na budynku mieszkalnym „Hadziaje [pejoratywne określenie ludności napływowej – przyp. aut.] do pieca".

– Waszym Heimatem jest Śląsk, a co jest waszym Faterlandem? – pytam Rafała Bartka.

– Moim Niemcy. Ale i Polska, której jesteśmy lojalnymi obywatelami. Przez 35 lat nie słyszałem, żeby ktokolwiek z Mniejszości kwestionował prawo Polski do Górnego Śląska. Tymczasem druga strona wciąż stara się udowadniać, że to jest Polska. Oczywiście, że jest.

Na dwóch kroplówkach

– Jeśli Berlin wam pomaga, to pojawia się pytanie, czy chce coś w zamian? Niektórzy mówią, że nie można służyć dwóm panom równocześnie – mówię Krzysztofowi Wysdakowi, najciekawszemu intelektualiście Mniejszości.

– Jestem lojalny wobec państwa polskiego. W powiecie jako wicestarosta zajmowałem się m.in. zarządzaniem kryzysowym, to element obronności państwa. Żadnych materiałów, do których miałem wgląd, nie przekazywałem Berlinowi. Tak, żyjemy na kroplówce RFN i polskiego MSW, bo nie mamy wyboru.

– A czy masz poczucie, że państwo polskie widzi w was zagrożenie? Mniejszości podlegają pod MSW, a nie pod MKiDN – to traktowanie mniejszości jak kwestii bezpieczeństwa, a nie kultury.

– Kiedyś Kościoły też podlegały pod MSW. To polska tradycja.

– A czy RFN to twoja ojczyzna?

– Mam śląski Heimat i mam obowiązki wobec kraju, w którym mieszkam.

– A co z RFN?

– Bardziej jestem związany z kulturą niemiecką niż z państwem niemieckim. Moja niemieckość jest szersza niż RFN, bo RFN to tylko jeden z wariantów niemieckości – mówi Wysdak. – Poza tym RFN wzmacnia naszą pozycję ↦

wobec polskich władz. Nie chcemy być jak Karaimi, którzy nie mają swojego państwa i są sami wobec Warszawy.

Polityka polityką, jednak polskie społeczeństwo nie ma złego zdania o obywatelach RFN. Według danych CBOS z 2024 roku 40 proc. Polaków ma do Niemców stosunek pozytywny, 24 proc. neutralny, a 31 proc. negatywny. Polacy mają do Niemców podobny stosunek jak do Ukraińców.

Dwa Faterlandy

Od spisu do spisu spośród wszystkich mniejszości wyraźnie nie ubyło jedynie Niemcom: Ślązaków jest mniej o 250 tys., Kaszubów o 50 tys.

Optymiści mówią: Niemców jest więcej, niż wykazał spis, ale ludzie ostatnio boją się przyznawać do niemieckości.

Pesymiści mówią: Niemców jest mniej, ale sporo osób zadeklarowało się jako Niemcy, chcąc zaprotestować przeciwko antyniemieckiej retoryce PiS – podobnie jak dekadę wcześniej deklarowali się jako Ślązacy po słowach Jarosława Kaczyńskiego o „zakamuflowanej opcji niemieckiej".

Krzysztof Wysdak jednak przyznaje: „Wykrwawiamy się". I liczby potwierdzają jego słowa, gdyż prawdę ujawniają dopiero szczegółowe dane. Spis do spisu o 43 proc. mniej obywateli zadeklarowało tożsamość niemiecką jako jedyną – dziś osoby czujące się wyłącznie Niemcami stanowią jedynie 16 proc. mniejszości niemieckiej.

Wniosek: liczba Niemców się nie zmienia, ale zmienia się ich „jakość", Niemcy są coraz mniej niemieccy. Mówi mi o tym również Rafał Bartek:

– Czas robi swoje. Część osób z Mniejszości ma już dwa Faterlandy, a dla wielu zaczyna przeważać identyfikacja z Polską. Można powiedzieć, że to naturalny proces, ale nie do końca: w Polsce procesy polonizacyjne i asymilacyjne są silniejsze, niż powinny być, a mechanizmy wspomagania mniejszości są słabe.

„Polscy" Niemcy są coraz głębiej zanurzeni w polskości, poza państwem niemieckim żyją długo, bo 80 lat – tyle, ile rodziny ich sąsiadów, Kresowian, żyją poza Lwowem czy Wilnem.

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz"

Siedziba Mniejszości znajduje się w Opolu przy ulicy Marii Konopnickiej, autorki „Roty" i słów „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz i dzieci nam germanił". Nieopodal jest piękny gmach urzędu wojewódzkiego. Przy urzędzie wisi tablica, którą umieścił tam wojewoda na 100-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę (choć w Opolu jeszcze przez 27 lat Polski nie było). Na tablicy widnieje Dekalog Polaka autorstwa Zofii Kossak-Szczuckiej. Siódmy punkt brzmi: „Bądź bez litości dla zdrajców imienia polskiego". Ósmy: „Zawsze i wszędzie śmiało stwierdzaj, że jesteś Polakiem".

Rafał Bartek drugą kadencję jest przewodniczącym Sejmiku Województwa Opolskiego. Sejmik ma siedzibę przy Dekalogu Polaka...

Sytuacja Niemców na Śląsku bywa skomplikowana, brani są nieraz jako zakładnicy w relacjach warszawsko-berlińskich.

Tak jak w 2021 r. Wówczas w budżetach na lata 2022 i 2023 znacznie obcięto subwencje na nauczanie języka niemieckiego dla niemieckiej mniejszości. Rządzący argumentowali, że to odpowiedź na nieprzestrzeganie przez RFN praw Polaków mieszkających w Niemczech.

Decyzję władz odczuło przede wszystkim ponad 50 tys. dzieci niemieckiego pochodzenia, które uczą się niemieckiego jako ojczystego. Mniejsze środki oznaczały zredukowanie liczby lekcji niemieckiego z trzech do jednej. Pozostałe mniejszości nadal mogły uczyć się swoich języków w wymiarze trzech godzin.

Warszawa obcinając Niemcom język uznała w ten sposób mniejszość niemiecką w pierwszej kolejności nie za swoich obywateli, a za ekspozyturę obcego państwa. To tak jakby władze Litwy niezadowolone z traktowania przez Warszawę mniejszości litewskiej uderzyły w polskie szkolnictwo na Wileńszczyźnie.

– Tu nie ma reguł – mówi mi Pejter Długosz. – Znam byłych żołnierzy Wehrmachtu, którzy głosują na PiS. A moja oma słuchając Radia Maryja mówiła o Kaczyńskim: „Nareszcie mamy mocnego Führera".

– Twoja oma czuła się Niemką, tak?

– Początkowo tak. 35 lat temu mówiąc „nasi" mówiła o Niemcach. Powtarzała: „My som Niemce, ale jakby wos pytoli, to odpowiedźcie, żeście som Ślunzoki".

– Bo tak bezpieczniej?

– Tak. To było w pierwszych latach po upadku komuny. Z latami zresztą odchodziła od niemieckości i przesuwało się jej w stronę śląskości. Potem zrobiła nawet coś niewyobrażalnego: zaczęła kibicować polskim skoczkom narciarskim. Do końca życia słuchała równocześnie niemieckiej telewizji i Radia Maryja.

Gdzie położyć kwiaty?

– Tych dwóch światów już nie da się skleić – mówi mi Alicja Nabzdyk-Kaczmarek z „Polskiego Śląska". – Pamiętam jedne z obchodów rocznicy powstań na Górze Świętej Anny. Przemowy mieliśmy wygłosić ja i Henryk Król [Heinrich Kroll – przyp. aut.] z Mniejszości. Następnie mieliśmy udać się pod pomnik, ale on odmówił. Powiedział, że łzy matek mają jednakową wymowę, ale on pod tamten pomnik nie pójdzie. Politycy Mniejszości mogą sobie deklarować, że chcą wspólnoty.

Pomnik na Górze Św. Anny – wielu miejscowych powie: na Annabergu – od dawna jest kością niezgody. Wiosną 2023 r. Rafał Bartek zbierał podpisy pod listem otwartym o budowę nowego pomnika na Górze Świętej Anny, centralnym miejscu dla powstań śląskich. Różnie się je interpretuje: jako polski zryw niepodległościowy, wojnę domową lub – jak ujął to profesor Ryszard Kaczmarek – „nieznaną wojnę polsko-niemiecką" z lat 1918-1922.

– Co roku jako Mniejszość upamiętniamy wydarzenia roku 1921, ale na Górze nie ma miejsca, które mówiłoby o prawdziwym sensie tego, co się tu stało – mówi mi Bartek. – Młody człowiek może spytać: to z kim powstańcy właściwie walczyli? Przecież wszyscy Ślązacy byli za Polską.

Glossa: w leżących u stóp Annabergu Zdzieszowicach w 1921 r. za Polską głosowało 449 osób, a za Niemcami 458.

– Nie mówi się o tym, że po obu stronach walczyli miejscowi – kontynuuje Bartek. – To była wojna bratobójcza. Dopiero gdy schodzi się na rodzinny poziom opowieści, poja-

wiają się konkretne postaci: jeden unkel boł za Niemcami, drugi za Polską.

– I jak chcecie to zmienić?

– Po pierwsze, od kilku lat spotykamy się na Górze 5 lipca na zakończenie walk, a nie 2 maja na rozpoczęcie: świętujemy pokój, a nie rozpoczęcie wojny. Po drugie, obchodom towarzyszy dwujęzyczna msza, w której upamiętniamy wszystkie ofiary. I po trzecie, z kościoła idziemy na cmentarz, aby złożyć kwiaty na grobach obu stron. Inni składają hołd tylko jednej ze stron konfliktu. I dlatego chcemy postawić nowy pomnik: matki opłakującej dwójkę śląskich synów. Bo tak wyglądały powstania śląskie.

Dla jednych są Ślązakami udającymi Niemców.
Dla innych przeoczeniem powojennych komisji weryfikacyjnych. Albo piątą kolumną, która lojalna jest w pierwszej kolejności wobec Berlina.

Zakamuflowana opcja śląska

Wśród Mniejszości słyszę za każdym razem, że wszyscy Niemcy na Śląsku Opolskim czują się równocześnie Ślązakami.

Często osoby o podobnych biografiach z części opolskiej i części katowickiej określają się odmiennie: pierwsi jako Ślązacy i Niemcy, drudzy tylko jako Ślązacy.

– Po 1989 roku usłyszeliśmy tu, na Śląsku Opolskim, że nasze poczucie odrębności od polskości nazywa się niemieckością, i nazwaliśmy się Niemcami. Tymczasem u was w aglomeracji podobną tożsamość nazwano śląskością – mówi mi Wojciech Glensk, muzyk i dziennikarz z Tarnowa Opolskiego.

W podobnym tonie wypowiada się Długosz. Obaj nigdy nie zapisali się do Mniejszości.

– Tak, tutaj powiedzieli, że nasza odrębność nazywa się niemieckością. Dlatego dla mnie odkryciem było, że można być Ślązakiem bez bycia Niemcem. Stało się to m.in. na studiach, gdzie poznałem ludzi, którzy *godajōm po naszymu*, ale kompletnie nie łączą tego z niemieckością. Większość z nich była z katowickiej strony Śląska. Nie spinało mi się to, ale ucieszyłem się, że są tacy jak ja: ludzie niełączący śląskości tylko z niemieckością. Wtedy to nie było częste, dziś niemieckość już często rozjeżdża się ze śląskością – mówi.

Trudno wskazać, gdzie kończy się Niemiec, a zaczyna Ślązak. Śląsk Opolski to jedyne miejsce w Polsce, gdzie podczas kampanii towarzyszących spisom powszechnym o deklarację tej samej osoby mogą rywalizować trzy oferty tożsamościowe: niemiecka, śląska i polska.

Na Górnym Śląsku po 1989 r. tożsamość śląska na dobre rozepchała się między polską i niemiecką. Ale myśląc o tych trzech tożsamościach, lepsza od logiki granic będzie logika zbiorów – jedna osoba może w różnym stopniu należeć do dwóch lub kilku.

Odrębna tożsamość śląska jest dziś wyzwaniem dla Mniejszości. Przemysłowa część Górnego Śląska stała się centrum śląskości znacznie żywotniejszym niż opolska: to głównie osoby pochodzące z aglomeracji kodyfikują język śląski, opowiadają na cały kraj śląskość w kulturze, lansują ją jako tożsamość konkurencyjną wobec polskiej, ale też niemieckiej. I, może przede wszystkim, sprawiają, że śląskość jest coraz atrakcyjniejsza.

Jeszcze Niemcy nie zginęły

Wybory parlamentarne 2023 r. były pierwszymi po 1991 r., w których Mniejszości nie udało się wprowadzić ani jednego posła – 34 lata temu mieli siedmioro posłów oraz senatora. Tym ważniejsze były dla nich wybory samorządowe w 2024 r. Przystąpili do nich po raz pierwszy nie jako Mniejszość Niemiecka, a pod nowym szyldem: Śląscy Samorządowcy. Niektórzy z przekąsem mówili, że wykorzystali koniunkturę na śląskość i zmienili barwy na atrakcyjniejsze.

– O zmianie nazwy na Śląscy Samorządowcy dyskutowaliśmy od dawna – mówi mi Wysdak. – Są wśród nas koledzy, którzy nie chcieli iść pod szyldem Mniejszości. Około jednej czwartej osób na naszych listach nie czuje się Niemcami, ma np. pochodzenie kresowe. W przypadku innych Niemcami byli rodzice, ale oni czują się już Ślązakami.

Mniejszość pod nową nazwą osiągnęła świetny wynik. W woj. opolskim zajęli trzecie miejsce z wynikiem ponad 16 proc., a w skali kraju pod względem wybranych włodarzy czy liczby mandatów w radach powiatów – czwarte.

– Mniejszość może przesuwać się z szyldu niemieckiego do śląskiego? – pytam Pejtera Długosza.

– Tak, ale tylko na tyle, na ile konsul się zgodzi. Wciąż daje pieniądze. Pytanie, czego chce Berlin: utrzymywania strefy wpływów czy dbania o kulturę? – zastanawia się Długosz.

Ich bin Zbigniew

Myślę o swojej rodzinie i uświadamiam sobie, jak niewiele zabrakło, abym sam został Niemcem.

Moi pradziadkowie Johann i Elisabeth urodzili się w Cesarstwie Niemieckim, ich najstarsze dzieci, Reinhold i Liselotte, przyszły na świat w Republice Weimarskiej. Wszyscy kończyli niemieckie szkoły i czuli się częścią politycznego narodu niemieckiego. Liselotte i Reinhold wyjechali stąd *do Efu* – odpowiednio w latach 50. i 70. Moja babcia też chciała wyjechać, namawiali ją. Ale nie chciał dziadek, Galicjok. Gdyby chciał, to ja przyszedłbym na świat już w RFN, pewnie w Zagłębiu Ruhry. Być może czułbym się dziś Niemcem – tak jak znaczna część mojego kuzynostwa.

– A może nie? – zastanawia się Wojciech Glensk. – Wszyscy tu mamy ogromną część rodziny w Niemczech. Część mojego kuzynostwa, które wyjechało, czuje się Ślązakami, część Niemcami, a kuzynka polskiego nauczyła się dopiero w Berlinie. Nie jesteś zdolny do objęcia intelektem, rozumem, dlaczego czujesz się tym, a nie tym. Tutaj o tym, w jakim stopniu ktoś czuje się Polakiem, Niemcem lub Ślązakiem, decyduje często traf. Nawet spadający listek może na to wpłynąć.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest pisarzem, za książkę „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku" otrzymał Nagrodę Literacką Nike.

ŚWIAT

CHARKOWSKI DZIEŃ ŚWISTAKA

Ksiusza wygląda na 12 lat, ale oczy ma poważne. Widziała wiele. Mimo walk na przedmieściach wiosną 2022 roku, mimo ostrzałów, nie opuściła miasta. Tata jest strażakiem, a ona i mama chcą z nim być. I tak od trzech lat.

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK Z CHARKOWA

W TYM ROKU WIOSNA CHYBA NIE PRZYJdzie na Charkowszczyznę. Po raz pierwszy od 21 lat w biostacji, którą prowadzi charkowski Uniwersytet Karazina (bodaj największa z tutejszych uczelni, a na pewno najbardziej nobliwa: powstała w 1804 r.), świstak nie przepowiadał pogody w Dniu Świstaka.

Święto to, spopularyzowane w Stanach, ma korzenie w starożytności: Rzymianie prognozowali pogodę z pomocą jeża. Pod Charkowem zaś obyczaj był dotąd taki: 2 lutego naukowcy budzili świstaka imieniem Timko (szczęśliwie przetrwał rosyjską okupację biostacji wiosną 2022 r.) i wyjmowali z norki, by go zapytać, kiedy przyjdzie wiosna.

Wygląda to tak: jeśli świstak nie może zobaczyć swego cienia z powodu pochmurnego dnia, ma to oznaczać, iż wiosna nadejdzie wcześniej. Jeśli świeci zaś słońce, że zima potrwa jeszcze przynajmniej sześć tygodni. Jednak w tym roku rytuał został zaburzony. Uniwersytet poinformował, że z powodu ciepłej zimy i wstrząsów ziemi spowodowanych eksplozjami gryzonie nie zapadły w sen zimowy.

SAŁTIWKA | Opowieść o Charkowie to opowieść o przywykaniu. Do szumu bomby lotniczej, drażniącego warkotu

Sałtiwka, kiedyś 400-tysięczna dzielnica mieszkaniowa, złożona z kilkunastopiętrowych bloków. Dziś trudno znaleźć taki, który nie nosiłby ran: osmaleń, śladów uderzeń i pożarów. Niektóre są całkiem zrujnowane. Charków, 2 lutego 2025 r.

drona typu „szahed". Zwłaszcza na Sałtiwce, dzielnicy w północno-wschodniej części miasta – kiedyś drugiego co do wielkości i liczby ludności na Ukrainie po stołecznym Kijowie.

Nad dachami Sałtiwki słychać wszystko, co leci zza bliskiej rosyjskiej granicy – w stronę innych dzielnic lub w głąb Ukrainy. Albo żeby uderzyć w Sałtiwkę. Według mera Charkowa w Sałtiwce nie ma przedszkola, szpitala lub szkoły, które nie byłyby choćby uszkodzone. Podobnie budynki mieszkalne. Sałtiwka to osiedle wielkie, kiedyś 400-tysięczne, złożone z kilkunastopiętrowych bloków. Dziś trudno znaleźć taki, który nie nosiłby ran: osmaleń, śladów uderzeń i pożarów. Niektóre są całkiem zrujnowane.

Z początku pełnoskalowej wojny, trzy lata temu, Rosjanie doszli na obrzeża miasta – sałtiwskie bloki znalazły się w zasięgu wszystkiego, co tylko było w ich arsenale, nawet armat czołgowych.

PRZEDSZKOLE | Woda niespiesznie spływa po osmalonej ścianie. Mural na ogrodzeniu (wygląda, jakby malowały go dziecięce ręce) poznaczyły pociski. Wśród gruzu i okruchów szkła, które wypełniają budynek przedszkola trafiony rakietą, walają się zabawki.

Echo kroków biegnie po wnętrzu. Z otworu na parterze, który kiedyś był oknem (wyleciało wraz z futryną), zeskakują w błoto trzy dziewczyny, na oko dwunastoletnie. Z plecakami wyglądają, jakby wracały ze szkoły, klucząc po ulubionych miejscówkach, zanim zabiorą się za zadania domowe.

Ale przecież szkoły w Charkowie są zamknięte, dzieci – jest ich tu kilkadziesiąt tysięcy w wieku szkolnym – uczą się zdalnie od trzech lat. Stacjonarnie pracuje tylko szkoła umieszczona głęboko w trzewiach metra.

Okazuje się, że dziewczyny szukają kota jednej z nich, Maszy. – Ma na imię Puchlik, zerwał się nam ze smyczy – wyjaśnia Ksiusza, w dżinsach i czapce naciągniętej na zmarznięte uszy, spod której wystają rude włosy.

OCZY | Czy często tu przychodzą? – Często. To przedszkole stoi w takim miejscu, że każdej z nas jest blisko z domu. Ja mieszkam tam – Masza pokazuje nieodległy blok. W oknach, niemal bez wyjątku, wstawiona jest paździerzowa płyta w miejsce wybitego szkła. – Gdy wróciliśmy do mieszkania z piwnicy, było mocno uszkodzone. Ale teraz da się w nim mieszkać.

– Przywykłyśmy – trzecia dziewczynka wzrusza chudymi ramionami, wszak to już trzy lata. – No i mamy miejscówkę do włóczęgi. Fajnie się tu łazi.

– Jak rakieta przyleciała w nasz blok, byliśmy w piwnicy. Codziennie było tak głośno. Musiałam brać tabletki na stres – Ksiusza ma spokojny głos i poważne oczy.

Widziała wiele: – Nie wyjeżdżałam stąd ani razu, nawet na początku. Mojego tatę trzymała w Charkowie praca. On ratuje ludzi i gasi pożary. Gdy ostrzały miasta były częstsze, wracał do domu dopiero nad ranem, zmordowany. Od strażackiego toporka stracił palec. Teraz już nie jeździ na akcje, awansował. A mama robi paznokcie. Ale chciałaby się zajmować czymś innym.

WINDA | Wspinając się po błotnistej skarpie naprzeciw przedszkola, wychodzi się na betonowy podjazd przed kolejnym blokiem. Także on w wielu miejscach jest osmalony, a paździerz wstawiono w większość okien.

Blok różni się tym szczegółem, że na podjeździe, z widokiem na poranione ściany sąsiednich budynków, spoczywa masywny samowar z czajnikiem. Ustawiono go na krześle pociągniętym fioletową farbą.

Wokół w półokręgu stoi kilkoro dorosłych. Rozmawiają pogodnie. Towarzysząca im garstka dzieci nie umie ustać w bezruchu, z piskiem krąży wokół rodziców. Przebiera ile sił w małych nogach, odzianych w ocieplane kalosze. Śmigają plastikowe hulajnogi.

– Wesoło u was – zauważam rzecz oczywistą. ↦

↦ – Trzeba było nas zobaczyć z szaszłykiem, jak latem rozkręcamy grilla! – odpowiada ze śmiechem rumiany facet w dresie. Zakręca kurek samowaru i podaje parujący kubek. – Słodzisz? Proszę nic sobie nie myśleć, u nas w mieszkaniach są i czajniki, i światło, i wszystko. Po prostu lubimy wyjść i pogadać z sąsiadami. Dziś świętujemy powieszenie lustra w windzie, którą uruchomili nam tydzień temu. Trzeba to oblać herbatą!

WIĘZI | Wcześniej świętowali remont ściany. – Eksplozja oderwała ją od reszty budynku. Teraz jest już pięknie zreperowana – czarnowłosa kobieta w puchówce wskazuje narożnik bloku. Odstępuje kolorem od reszty budynku i okolicy. Nieskazitelnie pomarańczowy. – Za część prac w okolicy odpowiada miejska władza, za część mieszkańcy, którzy włożyli w to swój wysiłek i pieniądze.

– Sałtiwka to dzielnica-sypialnia, zawsze było tu cicho. Dzieci można było puszczać bez strachu, żeby bawiły się na świeżym powietrzu. Nie ma ruchliwych ulic, gdzie można wpaść pod auto – dodaje ktoś inny.

Mówią, że bycie mieszkańcami Północnej Sałtiwki to ich życie, ich tożsamość: – Choć przede wszystkim jesteśmy charkowianami. A każdy charkowianin kocha swoje miasto, tak po prostu. Jak można nie darzyć go uczuciem, nie mam pojęcia. To nie chodzi też o samo miasto, ale przede wszystkim o ludzi. O silne więzi między nimi i wsparcie.

Rozmowa co i rusz ginie w wybuchach śmiechu, sąsiedzi mają wyśmienite humory. Ktoś zachęca przechodniów, zaprasza w stronę samowara.

Trzy paroletnie dziewczynki zeskakują w końcu z hulajnóg i wdrapują się na ławkę. Tulą się do siebie jak trzy małe sowy. Któryś z ojców przykrywa je kocem w kratę. Mimo ciepłej atmosfery, zimno przeszywa do kości.

PRYSZNIC | – W roku 2022, w trakcie największej zawieruchy, części z nas nie było na Sałtiwce. Niektórzy wyjechali na jakiś czas, inni zostali. Większość mieszkańców dzielnicy nie wróciła. Nie mają do czego. Wiele tych bloków nie nadaje się do życia.

Na Sałtiwce. Charków, 2 lutego 2025 r.

– W naszej klatce mieszka teraz sześć rodzin, większość teraz stoi z nami – kobieta w puchówce toczy wzrokiem po zebranych. – W tamtym czasie piwnica pod naszą klatką była najcieplejsza, tu gromadzili się mieszkańcy całego bloku, którzy nie opuścili Sałtiwki. Nasi mężowie przytargali rozkładane łóżka, zadbali o prąd. Ktoś zniósł do piwnicy stół, ktoś inny czajnik. Każdy przychodził z tym, co miał. Z chlebem, papierosami, konserwami i wódką.

– A w szkolnej piwnicy, naprzeciwko, chowało się 25 osób. Wszyscy byli na miejscu, kiedy pierwszy raz rakieta uderzyła w szkołę. Wszyscy przeżyli, piwnica była mocna – kolejny sąsiad włącza się we wspomnienia z wiosny 2022 r. – A tam dalej, pamiętam, czołgi stały. Do tych naszych czołgistów Oksana biegała z pierogami dla chłopaków.

– Kto się spodziewał tej wojny... Tutaj nikt. Myślałam, że to grzmot, jak wyglądnęłam przez okno, gdy się zaczynało. Mąż na to krzyknął: „Jaki grzmot, to wojna! Natasza, pakuj rzeczy!". Biegałam po mieszkaniu, nie wiedząc, w co włożyć ręce i co zabrać. Zaczęłam pakować losowe przedmioty, do niczego nieprzydatne.

– Pamiętam, jak wbiegałam z piwnicy na nasze drugie piętro, żeby wziąć prysznic. I towarzyszyła mi natrętna myśl, że rakieta trafi w nasz blok wtedy, gdy będę pod prysznicem, goła. I że umrę goła.

– No właśnie, jak by to było zginąć w brzydkich majtkach? – wtóruje sąsiadce Natasza. Obie zanoszą się śmiechem. – Teraz bawią nas te wspomnienia, i dobrze. Ale wówczas nie było nam do śmiechu ani trochę.

DOM | – Och, pamiętam moment, jak po tym najcięższym okresie wróciliśmy z mężem w 2023 r. Zaczęliśmy rozgaszczać się, rozpakowywać rzeczy. Było już w okolicy zdecydowanie spokojniej, ale akurat wówczas rakieta trafiła w sąsiedni blok. Ludzie zaczęli się znowu wyprowadzać. Powiedziałam do męża: „Siergiej, ja nie mogę, ja nie chcę znowu uciekać. Zrób mi prezent na urodziny. Ja chcę po prostu być w domu".

– Co by nie gadali, w domu najlepiej. Nie ruszam się już nigdy i nigdzie. W przyszłość patrzę optymistycznie. Kupiliśmy nowe łóżko. Wielkie, przepiękne i białe. Wówczas nie było jeszcze windy, ludzie z całej naszej klatki pomagali je zataszczyć na nasze dziewiąte piętro.

– Przed wojną też się tak spotykaliście, na wspólną herbatę? – pytam.

– Nie zdarzało się – przyznaje Luda. – To wojna nas do siebie zbliżyła. I w piwnicy, i sąsiedzi sprowadzili się z powrotem. Dzieci zaczęły biegać, piszczeć, zrobiło się tak radośnie.

– O siebie się nie martwię, mam 40 lat – dodaje. – Ale mam dwoje malutkich dzieci. Martwię się o dzieci, którym odebrano normalne dzieciństwo. I o tych ludzi, którym odebrano spokojną starość. Mogliby wyjść przed swój blok i pospacerować z wnukami.

© ANTONINA PALARCZYK

Friedrich Cierpliwy

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC

W Niemczech zbliża się zmiana władzy. Nowym kanclerzem najprawdopodobniej zostanie Friedrich Merz – zagorzały rywal Angeli Merkel, konserwatysta i milioner.

CRAIG STENNETT / GETTY IMAGES

Plakaty wyborcze kanclerza Olafa Scholza z SPD (z lewej) i kandydata na kanclerza Friedricha Merza z CDU/CSU. Halle, 12 lutego 2025 r.

Wybory parlamentarne odbędą się w niedzielę 23 lutego. Już teraz możemy wskazać zwycięzcę. Partie chadeckie, CDU i bawarska CSU, już w maju 2022 r. wyprzedziły w sondażach największego rywala, socjaldemokratyczną SPD. Obecnie chadecja może liczyć na ok. 30 proc. głosów.

Kończą się więc czteroletnie rządy lewicy. Władza najpewniej trafi w ręce chadeków, choć największym wyzwaniem będzie dopiero wybór przez nich koalicjanta – samodzielnie rządu nie będą mogli utworzyć.

Można powiedzieć, że wszystko wraca do normy. CDU/CSU to niemiecka maszyna do rządzenia. Pod wodzą Angeli Merkel partia sprawowała władzę przez długie 16 lat (2005-2021). Wcześniej podobnym długodystansowcem była inna legenda chadecji: Helmut Kohl, kanclerz w latach 1982-1998.

Wśród niemieckich politologów krąży opinia – wypowiadana pół żartem, pół serio – że socjaldemokraci po zdobyciu władzy dokonują niezbędnych, ale i bolesnych reform. Dlatego też przegrywają kolejne wybory. Natomiast chadecy, zbierając owoce pracy przeciwników, mogą przez dłuższy czas w miarę spokojnie zarządzać krajem. Aż w końcu dochodzi do stagnacji, wygrywają socjaldemokraci i historia zatacza koło.

Nowym gospodarzem Urzędu Kanclerskiego zostanie zapewne 69-letni szef CDU Friedrich Merz. Przyszły szef rządu będzie patrzył na swoich politycznych partnerów z góry, w końcu ma aż 198 cm wzrostu. Ale czy w europejskich stolicach i Waszyngtonie zdobędzie posłuch, jakim kiedyś – do czasu – cieszyła się Merkel?

Nóż w plecy

Po tym, jak jesienią 2021 r. Merkel przestała pełnić urząd kanclerza, wycofała się z aktywnego życia publicznego. Na oficjalny komunikat pozwalała sobie niezwykle rzadko, np. gdy zmarła królowa Anglii Elżbieta II, albo gdy Hamas zaatakował Izrael.

Tym bardziej politycy CDU/CSU musieli przecierać oczy ze zdziwienia, gdy 30 stycznia biuro byłej kanclerz rozesłało do mediów jej stanowisko. Merkel skrytykowała w nim kandydata na kanclerza z własnej partii.

Dzień wcześniej Friedrich Merz przepchnął bowiem w Bundestagu wniosek wzywający do zaostrzenia polityki migracyjnej. Większość głosów uzyskał dzięki poparciu populistycznej i antymigracyjnej Alternatywy dla Niemiec (AfD). Fakt ten został przez partie na lewo od centrum (SPD, Zieloni, Lewica) uznany za złamanie tabu i paktowanie z „faszystami".

Dlaczego jednak do tej krytyki dołączyła Merkel? Aby to zrozumieć, trzeba cofnąć się o kilka dekad. Już wtedy Merkel i Merza łączyła partyjna legitymacja, ale dzieliła cała reszta.

Dawno temu w RFN

Pierwszy polityczny sukces Merz odnosi w czerwcu 1989 r. W Polsce dogorywa komunizm, ale Berlin wciąż dzielą 154 kilometry muru. W kinach na świecie rekordy frekwencji bije film Spielberga „Indiana Jones i ostatnia krucjata". Merz jest trochę jak Harrison Ford, odtwórca roli Indiany: sprawny i żądny przygód – tak wtedy, jak i dziś.

Wtedy to 33-latek kandyduje do Parlamentu Europejskiego – z sukcesem. Dobrze zapowiadającego się prawnika do startu namawiają partyjni koledzy. Do CDU zapisał się już w wieku 17 lat. W Brukseli udziela się przede wszystkim w komisji ds. ekonomicznych, monetarnych i przemysłowych.

W międzyczasie dochodzi do zjednoczenia Niemiec. Stolica przenosi się z prowincjonalnego Bonn do Berlina. Merz czuje, że to tam robi się prawdziwą politykę.

W 1994 r. zostaje posłem w Bundestagu. Zbliża się do kręgów władzy. Nawiązuje głęboką relację z Wolfgangiem Schäuble, ↦

szarą eminencją chadecji. Pnie się w górę po drabinie partyjnej hierarchii.

Jest tylko jeden problem. Podobne sukcesy zalicza równolegle młoda polityczka z byłej NRD. Z wykształcenia fizyczka i chemiczka. Chłodny, ścisły umysł pozwala jej na unikanie emocjonalnych starć. Woli moderować, szukać kompromisów, kłótnie przeczekać. W 2000 r. jest już znana w całym kraju. Nazywa się Angela Merkel.

Partia chce kobiety

W nowe tysiąclecie chadecja wchodzi jako opozycja. Po aferze z nielegalnym finansowaniem partii, Kohl znikł z życia publicznego. To czas nowego rozdania w partii. Merkel obejmuje przywództwo, jednak i Merz nie odpuszcza. Zostaje szefem frakcji CDU/CSU w Bundestagu.

Punktuje wyrazistością. Lubi wdawać się w ostre dysputy w Bundestagu. Jasno formułuje liberalno-konserwatywne poglądy. Gospodarczo domaga się mniej państwa, mniej biurokracji, więcej wolności dla przedsiębiorców. Konserwatyzm przejawia się w kwestiach społecznych. W 2000 r. mówi, że „temat obcokrajowców stanie się ważniejszy, niż kiedykolwiek wcześniej". Domaga się zdefiniowania niemieckiej kultury przewodniej (*Leitkultur*), do której mają dostosować się coraz liczniej przybywający do Niemiec migranci.

Jednak chadecja po 16 latach (nad)wyrazistości Kohla potrzebuje czegoś innego. Tu Merkel ma mocniejsze karty. Większość polityków w Bundestagu, zresztą tak jak Merz, to mężczyźni, prawnicy z wykształcenia, pochodzący z katolickich zachodnioniemieckich rodzin. Merkel to córka ewangelickiego pastora, związana ze światem nauki, pochodząca z Niemiec wschodnich.

W kolejnych latach Merkel utrwala swoją pozycję. W 2005 r. po raz pierwszy wygrywa wybory i wprowadza się do Urzędu Kanclerskiego. Merz nie dostaje żadnej funkcji w jej rządzie. Jeszcze do 2009 r. zadowala się rolą szeregowego posła w Bundestagu. Równolegle przygotowuje się do otwarcia nowego rozdziału w życiu. Tym razem chce zarobić dużo pieniędzy.

Milioner z awionetką

W przypadku Merza trudno mówić o przejściu z polityki do biznesu, bo tak naprawdę nawet zasiadając w Bundestagu, nie zrezygnował z pracy w kancelariach prawniczych. A wraz z rosnącymi wpływami politycznymi, zaczęły

Wyzwania dla Niemiec

ZAPYTALIŚMY EKSPERTÓW, CO MUSI ZMIENIĆ SIĘ W NIEMCZECH PO WYBORACH

MATERIAŁY PRASOWE x3

CHRISTOPH HEUSGEN
o obronności

W przeszłości popełniliśmy dwa błędy. Po pierwsze, choć na szczycie NATO w 2014 r. złożyliśmy taką polityczną deklarację, to nie osiągnęliśmy wydatków na obronność w wysokości 2 proc. PKB. Drugim błędem było zatwierdzenie gazociągu Nord Stream 2. Teraz musimy zwiększać nasze możliwości i doprowadzić do sytuacji, którą mieliśmy w czasie zimnej wojny. A mieliśmy setki tysięcy żołnierzy, wydatki na obronę wynosiły ponad 3 proc. PKB, a kanclerz Willy Brandt prowadził udaną politykę wschodnią.
Po to też, jako Monachijska Konferencja Bezpieczeństwa, prowadzimy w całych Niemczech kampanię wyjaśniającą, dlaczego takie zmiany są dziś konieczne. U nas to nie jest takie proste jak w Polsce, gdzie wszyscy wiedzą, czym jest zagrożenie ze strony Rosji. Musimy jednak przekonywać nasze społeczeństwo, bo agresja Putina jest po prostu faktem.

CHRISTOPH HEUSGEN *jest przewodniczącym Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa.*

HERFRIED MÜNKLER
o integracji

Niemcy nie mają wystarczającego wskaźnika reprodukcji demograficznej. Jeśli chcemy utrzymać nasz poziom dobrobytu, potrzebujemy imigracji. Wielu ludzi wskazuje na automatyzację, ale miejsca pracy, które znikną w przemyśle, pojawią się w opiece. Nasze społeczeństwo staje się coraz starsze i wielu z nas będzie potrzebować opieki przez długi czas. To niewygodna prawda.
Potrzebujemy dużych programów integracyjnych dla ludzi, którzy już do nas przybyli. Należy zdefiniować „obopólną korzyść". Imigranci znajdują u nas pracę i dochody, a korzyść społeczna polega na podejmowaniu przez nich prac, które niekoniecznie należą do satysfakcjonujących. Trzeba więc integrować, integrować i jeszcze raz integrować, ułatwiać dostęp do rynku pracy. Potrzebne są też nowe inicjatywy pedagogiczne. Należałoby także rozważyć obowiązek służby wojskowej.

HERFRIED MÜNKLER *jest politologiem, pracuje na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie.*

JÜRGEN HARDT
o granicy

Byłem na festynie w Solingen, na którym syryjski uchodźca zamordował trzy osoby [w sierpniu 2023 r. – red.]. Gdyby działały konsekwentne kontrole graniczne, uniknęlibyśmy sytuacji, w której taka osoba w ogóle trafiłaby do naszego kraju. Friedrich Merz postuluje, by kontrole graniczne, które okresowo trwały np. w czasie Euro 2024 r., wprowadzić w sposób stały i konsekwentny. Oczywiście to nie będzie granica, jak 30 lat temu albo w czasie zimnej wojny, gdy sprawdzano każdą osobę. To będą punktowe kontrole, które umożliwią wydajniejszą pracę policji, służb celnych itd. Nie będzie to oznaczać ograniczeń dla normalnego ruchu drogowego. Ale osoby, które wyraźnie nie będą uprawnione do otrzymania azylu, będą mogły zostać zatrzymane bezpośrednio na granicy i przekazane np. polskim funkcjonariuszom.
W ostatecznym rozrachunku potrzebujemy bardziej sprawiedliwego europejskiego systemu, który odciąży państwa, których granice są równocześnie zewnętrznymi granicami Unii.

JÜRGEN HARDT *jest posłem CDU.*

pojawiać się propozycje pracy w spółkach prywatnych i państwowych. Lista podmiotów, w których radach nadzorczych zasiadał Merz, robi wrażenie. AXA, BASF, Borussia Dortmund, Commerzbank – to tylko najbardziej rozpoznawalne nazwy.

Ukoronowaniem jego kariery w biznesie staje się funkcja przewodniczącego rady nadzorczej niemieckiego oddziału Blackrock. To amerykański inwestycyjny moloch, największe przedsiębiorstwo zarządzające aktywami na świecie. Merz w tym czasie regularnie przebywa w USA. Poprawia angielski, nabywa pewności siebie w międzynarodowym środowisku. Swoich biografów przekonuje, że to jeden z lepszych okresów w życiu. Cieszyć go może na pewno pęczniejące konto. W Blackrock zarabia rocznie około miliona euro brutto.

Obecnie jego majątek szacowany jest na 11 mln euro. Nie afiszuje się z tym jednak. Jedyną ekstrawagancją, na jaką sobie pozwala, to regularne loty własną awionetką. Warto jednak dodać, że o prowadzeniu samolotu marzył już jako dziecko. Zgodnie z umową, jaką zawarł wcześniej z żoną, licencję pilota zrobił jednak dopiero, gdy trójka dzieci opuściła już rodzinny dom.

Do trzech razy sztuka

W 2018 r. kanclerz Merkel zaczyna czwartą kadencję. Wyraźnie przemęczona, chce skupić się na obowiązkach szefowej rządu. Zrzeka się funkcji przewodniczącej partii.

Zaraz po ogłoszeniu tej informacji, z politycznego niebytu wyłania się Merz. Jednak w jego życiu jest coś ważniejszego niż pieniądze: to polityka. W bezpośredniej rywalizacji Merzowi nigdy nie udało się podważyć przywództwa Merkel. Skuteczny okazuje się dopiero manewr taktycznego przeczekania przeciwniczki.

Jeszcze na ostatniej prostej do władzy musi się sporo napracować. Chętnych do przejęcia schedy po Merkel jest więcej. W grudniu 2018 r. dochodzi do pierwszych wyborów nowych partyjnych władz. Merz otrzymuje 482 głosów delegatów. Ale na Annegret Kramp- Karrenbauer, protegowaną Merkel, pada 517 głosów. Gdy nie udaje się jej zapanować nad partią, pojawia się druga szansa. Do kolejnych wyborów dochodzi w 2021 r. Wynik? Merz 466 głosów, a Armin Laschet, partyjny wyga – 521. Jednak jesienią 2021 r. chadecja przegrywa wybory do Bundestagu i Laschet rezygnuje z funkcji lidera CDU.

Wciąż trwa pandemia, zbliża się rosyjska inwazja na Ukrainę. W CDU brakuje innych mocnych kandydatów. W takich okolicznościach Merz z początkiem 2022 r. staje na czele partii. Pozostaje mu tylko jedno: zostać kanclerzem.

W oczach Niemców

Kim jest Friedrich Merz na finiszu długiej drogi do Urzędu Kanclerskiego?

Nigdy nie był politykiem, który potrafił do siebie przekonać większość społeczeństwa. Wciąż zdarza mu się stracić nad sobą kontrolę, pokazywać emocje, palnąć nieprzemyślane zdanie w mediach.

Zdarzają mu się populistyczne i ksenofobiczne zagrywki. Potrafił skrytykować ukraińskich uchodźców za chodzenie do dentysty, gdy rzekomo sami Niemcy muszą długo czekać na termin wizyty. Albo wrzucał imigranckie dzieci do jednego worka, nazywając je „małymi paszami".

Nie pomaga mu też status milionera i staż pracy w instytucjach finansowych, także tych amerykańskich. Dla dużej części niemieckiego społeczeństwa pozostaje zimnokrwistym neoliberałem, który będzie chciał utrudnić życie najbiedniejszym, a zadba o tych, którzy i tak mają wystarczająco dużo na koncie. Nie pomaga mu też wiara katolicka, do której otwarcie się przyznaje. W zlaicyzowanych Niemczech historie o odmawianiu modlitwy przed rodzinnym posiłkiem budzą raczej grymas politowania.

Sprawny lider potrzebny od zaraz

Gdzieś między tymi społecznymi wyobrażeniami kształtuje się jednak obraz człowieka, który z wiekiem nauczył się sztuki kompromisów. CDU to wciąż 360 tys. członków, wiele różnych ideowych skrzydeł i grup interesów. Ta olbrzymia struktura stoi dziś za Merzem.

Jego polityczne poglądy nie zmieniły się zasadniczo na przestrzeni ostatnich dekad. Zmieniło się jednak społeczeństwo Niemiec i sytuacja międzynarodowa. Niemcy żądają od polityków ograniczenia napływu imigrantów. Gospodarka czeka na działania polityków, które wyciągną kraj z trwającej od trzech lat recesji. Zaś Europa w erze Trumpa potrzebuje mądrych i sprawczych przywódców.

Merz ma zatem dużo do udowodnienia. Ale także w tym okresie życia, w którym się znajduje, też niewiele do stracenia.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

NAC // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP JUŻ ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" DODATEK SPECJALNY:

CYRYL RATAJSKI (1875-1942)
prezydent Poznania, polityk, konspirator

W jego życiu jak w lustrze odbija się polski wiek XIX i XX, a zwłaszcza dzieje Wielkopolski: 3 marca mija 150. rocznica urodzin Cyryla Ratajskiego.

Wieloletni prezydent Poznania, działacz samorządowy i narodowy, zaangażowany w pracę na rzecz niepodległości, podczas II wojny światowej pierwszy Delegat Rządu na Kraj.
Dlaczego uważano go za jedną z najważniejszych postaci życia publicznego Wielkopolski?

WYDAWNICTWO MIEJSKIE POSNANIA

POZnań

„Tygodnik" z opowieściami o Cyrylu Ratajskim w sprzedaży od środy 26 lutego.

Dwie Słowacje

PATRYCJA BUKALSKA

Protesty przeciw rządowi Roberta Ficy są coraz liczniejsze. Równocześnie pogłębia się podział na dwa obozy, które odmiennie widzą i własny kraj, i świat.

Jak na kilkumilionowe państwo, liczby robią wrażenie. W pierwszy piątek lutego w czterdziestu miastach i miasteczkach znów gromadzili się ludzie, którzy chcieli pokazać, że nie godzą się na prorosyjską politykę premiera Ficy i odsuwanie się Słowacji od Europy.

W Bratysławie było ich ok. 42 tys.; była to jedna z największych tutaj demonstracji od 1989 r. Protestowano też w mniejszych ośrodkach i takich, gdzie dotąd przeciw Ficy nie występowano, jak Michalovce na wschodzie kraju. Łącznie o miejsce Słowacji w Europie upominało się sto tysięcy ludzi.

Można to jednak zestawić z inną liczbą: w wyborach jesienią 2023 r., po których Fico wrócił do władzy, głos na niego oddało ponad pół miliona Słowaków.

„Fico do Moskwy"

„Fico odejdź", „Do Rosji", „Kolaborant": takie hasła widać na protestach, obok flag Unii. Impulsem dla demonstracji, odbywających się regularnie, było spotkanie Ficy z Putinem w Moskwie. W stolicy na pierwszy protest 23 grudnia przyszły trzy tysiące ludzi, potem ta liczba rosła. W Bratysławie organizuje je inicjatywa Mier Ukrajine (Pokój dla Ukrainy), gdzie indziej lokalne organizacje lub pozaparlamentarna partia Demokraci.

Protesty przeciw Ficy to już rodzaj tradycji: na przełomie 2023 i 2024 r., po tym, jak po paroletniej przerwie wrócił do władzy i zaczął wprowadzać niepokojące zmiany (m.in. w wymiarze sprawiedliwości), liczne protesty zwoływała opozycja. Wcześniej demonstracje przetoczyły się przez kraj w 2018 r. po tym, jak zabici zostali dziennikarz śledczy Ján Kuciak i jego narzeczona Martina Kušnírova.

Wtedy pod presją Fico podał się do dymisji. Tym razem nie zamierza się ugiąć.

– Jednak demonstracje bardzo go denerwują – mówi „Tygodnikowi" dr hab. Michal Vašečka, dyrektor Bratislava Policy Institute. – Choć nie doprowadzą do jego dymisji, to wpływają na innych polityków koalicji rządzącej, np. z partii Hlas. Oni widzą, że protesty są coraz większe i że po każdym rzuconym przez Ficę oskarżeniu, że to jakiś spisek, przychodzi jeszcze więcej ludzi. Oni mogą kalkulować, czy trwanie przy Ficy jest korzystne.

– Do tego części ludzi z biznesu nie podoba się to, co się dzieje – dodaje Vašečka. – Oni chcą handlować z Zachodem, a nie z Chinami i Rosją. Niszcząc reputację kraju, Fico niszczy ich biznes. Protesty są więc ważne także dlatego, bo pomagają w wywarciu szerszej presji na Ficę.

„Gruzińscy puczyści"

Fico zapewnia, że nie ma planu wyprowadzenia Słowacji z Unii. Na początku lutego pytał w swoich mediach społecznościowych (drukowanymi literami, chcąc pewnie podkreślić swe niedowierzanie): „Zastanawiam się, dlaczego właściwie ludzie dziś idą protestować". Powołał się na informację prasową, że Komisja Europejska nie widzi oznak, by Słowacja rozważała wystąpienie z UE.

Ale słowa to jedno, a czyny to drugie. Prounijni Słowacy boją się, że kolejne kroki Ficy spychają ich kraj na europejski margines. Nawet bez otwartego konfliktu z Unią pozycja Słowacji słabnie. – Reputacja kraju już jest straszna. Nie jest traktowany jako zły partner, bo w ogóle nie jest już partnerem – uważa Vašečka. – Ze Słowacją się nie współpracuje. Zwłaszcza w takich sprawach jak bezpieczeństwo.

Tymczasem, polemizując z protestującymi, Fico sięga po spiskowe teorie. Ostatnio zarzucił walczącemu w Ukrainie Gruzińskiemu Legionowi, że pomaga opozycji i protestującym w przygotowaniu puczu na Słowacji. O ingerowanie w sprawy Słowacji oskarżył też czeskich polityków i media.

Fico od dawna używa strachu do manipulowania opinią publiczną. Dziś nie można jednak wykluczyć, że wierzy w to, co mówi – nawet w tak absurdalne tezy jak o Gruzinach i puczu – co potencjalnie czyni go politykiem bardziej groźnym i nieprzewidywalnym.

Gaz i pociski

Spotkanie na Kremlu było dzwonkiem alarmowym dla prozachodnich Słowaków, ale od dłuższego czasu widać, że Fico coraz częściej zwraca się na wschód. Stosuje przy tym dwutorową retorykę: tę na użytek wewnętrzny (gdy np. groził, że nie pośle na Ukrainę ani jednego naboju) oraz tę pragmatyczną wobec Brukseli i zachodnich sojuszników. Co do nabojów, to Słowacja nadal wysyła Ukrainie amunicję artyleryjską, tyle że odpłatnie. Naprawia też ukraiński sprzęt.

Napięcie na linii Bratysława-Kijów wzrosło, gdy z końcem grudnia 2024 r. wygasła rosyjsko-ukraińska umowa na tranzyt gazu do Europy. Uderzyło to, głównie finansowo, w Słowację, kraj nadal mocno uzależniony od rosyjskich dostaw. Fico stwierdził wtedy, że Rosja zawsze była wiarygodnym partnerem, jeśli chodzi o dostawy energii, i że nigdy Słowacji nie okłamała – w przeciwieństwie do Ukrainy.

Pozytywną wizję Rosji podziela z Ficą nie tylko elektorat jego partii Smer, ale wielu Słowaków, z których większość odpowiedzialnością za tę wojnę obarcza Zachód i... samą Ukrainę. W sondażach aż 50 proc. wskazuje na USA jako zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju, a Rosję jako zagrożenie postrzega jedynie 54 proc.; to jeden z najniższych wyników w Europie Środkowej (obawy przed Rosją deklaruje aż 88 proc. Polaków).

W cieniu Trumpa

Inaczej widzi to inicjatywa Mier Ukrajine, która wspiera Ukraińców np. zbiórką pieniędzy na zakup amunicji. Po spotkaniu Fico-Putin złożyła doniesienie w prokuraturze o możliwości sabotażu, którego premier miał dopuścić się, spotykając z dyktatorem – ten jest wszak ścigany przez Międzynarodowy Trybunał Karny, a Rosja uważa Słowację za kraj wrogi. Prokurator odrzucił wniosek, uznając, że jest motywowany politycznie.

Skutki dla głębokiego podziału na „dwie Słowacje" może mieć obecnie sposób, w jaki Donald Trump wypowiada się o Putinie. – Teraz ludzie Ficy powiedzą, że Fico i Orbán mieli rację, i że to Polacy i Bałto-

TOMAS BENEDIKOVIC / AFP / EAST NEW

Antyrządowy protest w Bratysławie, 7 lutego 2025 r. Pod oskarżeniem o kolaborację z Rosją widnieją podobizny premiera Ficy (z prawej) i liderów ugrupowań koalicyjnych: Matúša Eštoka (partia Hlas; z lewej) i Andreja Danko (Słowacka Partia Narodowa; w środku).

wie się mylili, a nawet że są niebezpieczni i pchają nas do III wojny światowej. Będą pytać, czemu ktoś krytykuje Ficę, gdy on jedzie do Moskwy, skoro za chwilę Trump tam pojedzie – ironizuje Vašečka.

Dodaje: – W ten sposób Fico wychodzi na człowieka, który przewidział, że Trump pogodzi się z Putinem. Tak będzie to postrzegane przez znaczną część Słowaków.

Rzeczywiście, dzień po rozmowie Trumpa z Putinem z 12 lutego Fico umieścił na facebookowym profilu swoje zdjęcie z Putinem. „Od początku miałem inne zdanie na temat wojny w Ukrainie niż większość premierów państw członkowskich Unii. Nacierpiałem się za to. Ale wiedziałem, co robię" – napisał.

Podzieleni

Przed wyborami w 2023 r. Fico obiecywał „stabilność, doświadczenie, koniec chaosu". Słowacy głosowali na niego, bo tego właśnie oczekiwali: stabilnych rządów (wcześniej podczas trzech lat rządów centroprawicowej koalicji mieli kolejno trzech premierów).

Teraz jednak koalicja stworzona przez Ficę trzeszczy. Rząd trwa, ale możliwa jest jego rekonstrukcja. Choć nie można wykluczyć przedterminowych wyborów.

Nie byłby to dobry dla Ficy scenariusz, bo mógłby mieć problem z powtórzeniem wyborczego sukcesu. W sondażach na prowadzenie wysunęła się największa partia opozycyjna: proeuropejska i liberalna Postępowa Słowacja. Poparcie dla niej zbliża się do 25 proc., podczas gdy na Smer chce głosować 22,5 proc. ankietowanych. Dziś Fico miałby problem z uzyskaniem większości przy wsparciu obecnych jego koalicjantów.

Rzecz jednak w tym, że aby rządzić, obie formacje, najmocniej reprezentujące „dwie Słowacje", musiałyby mieć koalicjantów. O zdecydowanym zwycięstwie nie może marzyć żadna ze stron, a każda koalicja, również ta tworzona przez obecną opozycję, musiałaby opierać się na daleko idących kompromisach. Parlament jest podzielony tak samo jak kraj.

Za Jána i Martinę

W piątek 21 lutego Słowacy znów wyjdą na ulice. Ten protest będzie jednak szczególny: odbędzie się siedem lat po tym, jak z zimną krwią, we własnym domu zostali zastrzeleni dziennikarz Ján Kuciak i jego narzeczona Martina Kušnírova.

Kuciak wcześniej otrzymywał pogróżki w związku ze swoimi artykułami. Śmierć młodych ludzi, którzy niedługo mieli się pobrać, była wtedy szokiem dla całego kraju. Słowacy najpierw wyszli na ulice, by upamiętnić Jána i Martinę, a potem by sprzeciwić się korupcji i niejasnym powiązaniom między polityką, biznesem a światem przestępczym, które stworzyły przestrzeń dla takiego mordu.

Przez chwilę zdawało się, że coś rzeczywiście się zmienia. Jednak po siedmiu latach sprawiedliwości nie stało się zadość (morderca, który pociągnął za spust, siedzi w więzieniu, ale nie udało się doprowadzić do skazania domniemanego zleceniodawcy). Nie doszło też do naprawy państwa.

„Siedem lat od morderstwa Jána i Martiny. (...) Mogliśmy zmienić kraj. Ale dziś widzimy, że wracają dawne czasy: rząd atakuje dziennikarzy, społeczeństwo obywatelskie i zagraża naszemu miejscu w Europie" – czytamy w oświadczeniu stowarzyszeń Za slušné Slovensko oraz Mier Ukrajine. I dalej: „21 lutego spotkamy się na placach w całej Słowacji i za granicą. Razem będziemy pamiętać o Jánie i Martinie".

Czas radykalizacji?

Organizatorzy protestów wzywają do zjednoczenia się „w imię demokracji, praworządności i europejskiej przyszłości Słowacji". Jedność to jednak odległa wizja.

Vašečka: – Kraj jest bardziej podzielony niż w 2018 r. Jedni żyją w rzeczywistym świecie, inni w równoległym. Gdy w sondażu zadano pytanie, czy ceny rosną, zwolennicy Postępowej Słowacji mówili, że jest strasznie drogo, gdy z kolei zwolennicy Smeru, że nie jest wcale drożej. A prawda jest gdzieś pośrodku: wszystko jest trochę droższe, ale nie jest to koniec świata. Tylko że każdy słucha swoich i realia przestają być ważne.

A co dalej z protestami? – Myślę, że Fico nie wyśle przeciw nim policji – ocenia Vašečka. – Obawiam się raczej, że może nie w Bratysławie, ale gdzieś na wschodzie kraju, gdzie na protesty przychodzi mniej ludzi, zaatakuje jakaś prorosyjska organizacja, mająca związki z Rosją i rosyjskim wywiadem. Tak jak to się załatwia w Rosji. To może być początek czegoś bardzo niedobrego, co wywoła eskalację i radykalizację obu stron.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Efekt mrożący

TADEUSZ MICHROWSKI

RPA jest na celowniku Trumpa i Muska. Ten drugi, urodzony w Południowej Afryce, wiedzie prym w kampanii przeciw dawnej ojczyźnie. Czy Biały Dom chce uczynić z RPA odstraszający przykład dla świata?

ESA ALEXANDER / REUTERS / FORUM

Prezydent RPA Cyril Ramaphosa podczas orędzia o stanie państwa. Kapsztad, Republika Południowej Afryki, 6 lutego 2025 r.

Obok Grenlandii, Kanady i Panamy oko Donalda Trumpa spoczęło na Południowej Afryce. Zapowiedział wstrzymanie dla niej wsparcia, gdyż, jak mówi, „dzieją się tam straszne rzeczy", które wymagają śledztwa. W sieci pisze: „Południowa Afryka konfiskuje ziemię i traktuje pewną grupę obywateli BARDZO ŹLE". Biały Dom ogłasza zaś pomoc w relokacji uchodźców, tj. białych Afrykanerów, ofiar rzekomej rasistowskiej polityki czarnego rządu.

Powód jest wymysłem, ale efekt ma wymierny. Na bezpośredniej pomocy Waszyngtonu opiera się 17 proc. budżetu południowoafrykańskiego programu walki z HIV/AIDS i spora liczba organizacji, które korzystały z grantów i inwestycji.

Prezydent RPA i rząd początkowo odpowiadają koncyliacyjnie. Jednak emocje szybko wymykają się spod kontroli, także za sprawą tysięcy kont na platformie X, które podbijają temat.

Poza tym, że los pół miliarda dolarów na wsparcie chorych na AIDS decyduje się dziś w mediach społecznościowych, to znak czegoś jeszcze poważniejszego.

RZECZ O ZIEMI | Gniew Trumpa wywołała ustawa, którą prezydent RPA podpisał, traf chciał, kilka dni po jego inauguracji. Pozwala na wywłaszczenie ziemi bez rekompensaty w kilku konkretnych, ograniczonych przypadkach (cóż, gdyby taki proceder sam w sobie istotnie bulwersował Trumpa, to – jak pisze Mairav Zonszein, dziennikarka izraelsko-amerykańsko – powinien skupić się na Palestynie i osadnikach żydowskich).

Ustawa z RPA pozwala na takie wywłaszczenie, gdy ziemię porzucono, gdy jest nieużywana (trzymana np. tylko dla wzrostu jej wartości), gdy wartość dawnych dopłat rządowych wyrównała lub przekroczyła jej wartość, albo gdy rzecz dotyczy ziemi należącej już do rządu (np. pozyskanej nielegalnie w czasie apartheidu).

– Nie było w RPA powszechnego wywłaszczenia bez rekompensaty i najpewniej nie będzie – mówi jednak „Tygodnikowi" Jakkie Cilliers, założyciel Institute for Security Studies, cenionego think tanku z biurami w czterech krajach Afryki. – To prawo miało uspokoić polityczne elementy w RPA domagające się radykalnych zmian.

To klucz do tej historii: prezydent Cyril Ramaphosa od lat sygnalizuje działania w kwestii wywłaszczeń. Z jednej strony po to, aby podciąć skrzydła czarnym radykałom, rozczarowanym tym, że 30 lat po upadku apartheidu gospodarka (i 72 proc. uprawnej ziemi będącej w rękach prywatnych) wciąż należy głównie do białych, choć stanowią tylko 5 proc. ludności. Przy okazji chce polepszyć wizerunek swojej skorumpowanej partii, Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Ale Trumpa nie interesują takie niuanse.

„GENOCYD BIAŁYCH" | Wspólnie z Trumpem rasizm i nacjonalizm (w RPA to mieszanka zabójcza) rozbudza Elon Musk. Urodzony w RPA, dziś deklaruje, że był wrogiem apartheidu. W istocie w nim się wychował: w Pretorii, gdzie ławki „tylko dla białych" były normą. Dziś wiedzie prym w kampanii kłamstw przeciw własnemu krajowi.

W kampanii tej uczestniczy część białych z RPA: pozbawieni przywilejów, kreują opowieści o dyskryminacji, która rzekomo ich spotyka. Obok kwestii ziemi, popularna jest tu narracja o ludobójstwie białych. To spiskowa teoria, jakoby rząd celowo umożliwiał mordowanie białych farmerów.

Podgrzewa ją fakt, że część tożsamości ruchu wyzwoleńczego czarnoskórych bazowała na nienawiści do ciemiężycieli, Afrykanerów, co znajduje wyraz m.in. w popularnej pieśni „Zabij Bura", do dziś śpiewanej przez niektórych czarnych polityków. Farmerzy w RPA istotnie są szczególnie narażeni na przemoc, jednak liczba farmerów, którzy padają w ciągu roku ofiarą zabójstw, to połowa mordów dokonywanych w RPA każdego dnia (sic!). Ponadto w atakach na farmy giną też farmerzy czarnoskórzy – tyle że to nie jest newsem.

Musk może być symbolem tego, kto zyskał dostęp do uszu Trumpa: konserwatywni lobbyści z AfriForum, które reprezentuje interesy radykalnych białych Afrykanerów. Rysują Trumpowi swoją wersję. Reprezentując 200 tys. członków tej organizacji (na 3 mln białych obywateli RPA), decydują o tym, jak widzi on kraj, gdzie żyje 60 milionów obywateli.

Tyle że nawet AfriForum na groźby Trumpa reaguje obawą – bo apeluje o sankcje wobec polityków z RPA, a nie

wobec kraju (na uderzeniu w gospodarkę straciliby kontrolujący ją biali). I nawet AfriForum nie mówi (oficjalnie) o ludobójstwie białych.

EMOCJE VS EMOCJE | Na to nakłada się burza emocji, w których wywoływaniu celuje duet Trump–Musk. W ich opowieści problemy nie mają historycznych źródeł – jak w przypadku RPA apartheid, istniejący do początku lat 90. XX w. system, który pozwalał białej mniejszości rządzić większością, a którego skutki widać do dziś. Za apartheidu czarnych wysiedlano powszechnie – bez rekompensaty.

Ale w narracji Trumpa i Muska kłopoty RPA to emanacja spisków, lewackiej ideologii. Wczoraj nie istnieje. Dzięki temu ustawiają spór wzdłuż prostej linii: kto z białymi, kto z czarnymi.

Południowoafrykańczycy wszystkich kolorów skóry wykorzystali wprawdzie X, aby pokazać Trumpowi i Muskowi, że nie dadzą się podzielić. Publikowali filmy z białymi wykonującymi tańce Zulu i Xhosa, bawiące się dzieci o różnych kolorach skóry. Śmiano się: „Kolejny dzień, kiedy nie jestem ofiarą opresji i nie zabrano mi ziemi".

Część z tych osób przyznawało jednak, że spotkał je hejt, nawet nawoływania do mordu. Obudziło to też oburzenie wielu czarnoskórych, którzy weszli w dyskusję, atakując z kolei Bogu ducha winnych białych Południowoafrykańczyków jako kolonizatorów. Wiele z tych radykalnych głosów pochodziło z Ameryki. Fakty utopiono w emocjach i algorytmach.

KOALICJA Z BIAŁYMI | – Nowa ustawa o wywłaszczeniach odbiera broń radykałom i to dobry kompromis, ale tego nie dowiesz się z konserwatywnego przekazu – mówi mi Kyle Findlay, współtwórca organizacji analitycznej Murmur Intelligence i autor pracy, w której wskazuje na nakładanie się przekazów tzw. alt-prawicy w RPA i USA.

– Południowa Afryka znów jest w centrum światowej debaty, ale ta debata nie jest o nas, lecz o tym, jak można nas wykorzystać do promowania swojej agendy – uważa Findlay.

To szczególnie absurdalny moment na polaryzowanie tu nastrojów. Stworzony latem 2024 r. rząd jedności narodowej to pierwszy w historii wolnej RPA rząd koalicyjny, w którym Kongres Narodowy rządzi wspólnie z szeregiem partii dotąd opozycyjnych. W tym z „białym" Democratic Alliance i Freedom Front Plus (reprezentującym interesy Afrykanerów).

Ministrem więziennictwa jest dziś Pieter Groenewald. W latach 80. XX w. był posłem z ramienia partii walczącej o zachowanie apartheidu (zmienił poglądy). Teraz krytykował w debacie parlamentarnej ustawę o wywłaszczeniu i groził nawet wojną domową. Ale teki w rządzie nie rzucił. Nawoływał za to, by sprawę wywłaszczenia rozpatrzył sąd konstytucyjny. A zatem: minister, który ma różne zdanie od szefa rządu, używa demokratycznych narzędzi, by je forsować.

Tyle że jest mało prawdopodobne, by Trumpowi chodziło o prawdę albo w ogóle o białych w RPA.

BLISKO ROSJI | Groźbą ceł na Kanadę i Meksyk Trump pokazał, jaką politykę chce uprawiać. To polityka zastraszania, a emocje to instrument.

Już w listopadzie 2024 r. prezydent elekt ostrzegał kraje bloku BRICS (skupia Brazylię, Rosję, Chiny, Indie, RPA i szereg mniejszych państw), by nie myślały o wspólnej walucie, która miałaby rzucić wyzwanie dolarowi. Ta na razie nie ma nawet szans się zmaterializować, choć koncept od dawna jest dyskutowany. Zresztą sam fakt istnienia bloku, który niektórzy jego uczestnicy widzą jako przeciwwagę dla USA, może być wyzwaniem dla Trumpa.

W jego świecie kto nie należy do jego obozu, jest w obozie wroga. Budowa międzynarodowego banku (alternatywy dla Banku Światowego), rozwój Afrykańskiej Stefy Wolnego Handlu, manewry z marynarkami Rosji i Chin, rola mediatora w Sudanie, Etiopii i na Bliskim Wschodzie – to polityka RPA. Wiele jej elementów jest bliska Kremlowi. Tak jak wizyty ministrów w Moskwie po inwazji na Ukrainę czy powiązania finansowe polityków Kongresu Narodowego z Rosją.

„UBUNTU" | Ale to jest bardziej skomplikowane niż „granie na Rosję". Po doświadczeniach apartheidu RPA widzi siebie jako kraj, którego politykę zagraniczną wyznacza zasada „Ubuntu" („człowieczeństwa"; słowo w kilku językach Bantu, jak Zulu i Xhosa). Buduje wizerunek demokracji nawołującej do pokoju, zatroskanej o prawa człowieka.

Choć w praktyce z tym jest różnie. RPA nie odważyła się na krytykę poczynań Chin wobec Ujgurów, nie określiła też wprost wojny Putina jako agresji. Choć w maju 2023 r. Ramaphosa spotkał się z Zełenskim i nawoływał Putina do zakończenia wojny. Dwa miesiące później Putin nie odważył się na wizytę w RPA w świetle nakazu aresztowania wydanego przez Międzynarodowy Trybunał Karny. To także przed Trybunałem RPA podniosła sprawę przeciw Izraelowi, co zirytowało Trumpa (przyznał to w dekrecie wymierzonym w RPA).

Częścią tej polityki jest „zarządzanie napięciami": na styku stref wpływów (geograficznie i ekonomicznie) kraj ten nie chce być stale proamerykański, prorosyjski czy prochiński. Południowa Afryka widzi dla siebie szansę na bycie partnerem dla wszystkich: bo nikt nie jest dość blisko, by trwale coś na niej wymuszać.

Ulec dziś presji Trumpa – to oznaczałoby wyrzucić do śmieci ostatnie 30 lat. A może też 30 lat kolejnych.

PARADOKSY | – Południowoafrykańczycy, a podejrzewam, że nie tylko oni, są zszokowani szkodami, jakie Trump wyrządza wielostronnemu, opartemu na zasadach systemowi globalnemu – mówi mi Jakkie Cilliers z Institute for Security Studies.

W istocie Trump próbuje najwyraźniej zastraszyć RPA, a wraz z nią resztę Globalnego Południa. Może nawet będzie chciał uczynić z RPA odstraszający przykład dla reszty. Tyle że to krótkowzroczne: raczej zjednoczy to przeciwników, a nie pozyska zwolenników. Przy okazji utrwali pogląd tych, którzy uważają, że globalna pomoc USA to narzędzie nacisku.

Ponadto Trump nie wziął pod uwagę paradoksalnych skutków swojej kampanii. Do niedawna Ramaphosa był nazywany przez lokalnych analityków „politycznym trupem". Gdy niedawno żołnierze z RPA zginęli na misji w Demokratycznej Republice Konga, media donosiły, że zabrakło im amunicji z powodu nieudolności rządu.

Dziś wszyscy o tym zapomnieli i zajmują się narracją płynącą z Białego Domu. Ramaphosa zaś kreuje się na obrońcę państwa. W orędziu o jego stanie obiecał dumnie: „Nie damy się zastraszyć". ©

System szantażu

PAWEŁ BRAVO

Liczba nielegalnych imigrantów, którzy docierają do Włoch przez Morze Śródziemne, ostatnio spada. Cena, jaką płaci za to Europa, jest moralnie wysoka. Zwłaszcza rząd w Rzymie nie ma jednak wyboru.

Osama Al-Masri: zapamiętajmy to nazwisko. To szef jednej z formacji policyjnych podległych libijskiemu rządowi (temu w Trypolisie, bo wschodnia część kraju ma swój ośrodek władzy, w Tobruku i Bengazi). To też nadzorca jednego z najważniejszych więzień w stolicy.

W styczniu Osama Al-Masri odbył podróż po Europie. Najpierw Londyn, potem Bruksela, następnie Monachium, wreszcie Turyn, gdzie wybrał się na mecz Juventusu. Już w Niemczech miał kontakt z policją w trakcie kontroli drogowej, ale bez konsekwencji.

WOLNY WBREW MTK | Dopiero 19 stycznia, ku jego zaskoczeniu, z turyńskiego hotelu zgarnęli go włoscy tajniacy. Powołali się na nakaz zatrzymania wydany przez Międzynarodowy Trybunał Karny (MTK) w Hadze. Zarzuty: nadzór i bezpośredni udział w torturach i gwałtach na więzionych migrantach oraz czerpanie korzyści z niewolniczej pracy.

Al-Masri trafił do aresztu, by oczekiwać na ekstradycję do Hagi. Tymczasem dwa dni później kompetentny w tych sprawach sąd apelacyjny w Rzymie nakazał go zwolnić. Jak się potem okazało, włoskie służby specjalne – nie czekając nawet, aż sędziowie zakończą rozprawę – podesłały do Turynu samolot po Al-Masriego i odstawiły go do Trypolisu. Tam ziomkowie witali go na lotnisku jak bohatera.

Włoski rząd wpakował się w wizerunkową katastrofę, prokuratura wszczęła śledztwo przeciw premier Giorgii Meloni i jej dwóm ministrom. Sprawa przypomniała na moment wypartą na co dzień prawdę o wstydliwych układach, w jakie włoskie państwo (samo albo z akceptacją i za pieniądze Unii) wchodzi, by zabezpieczyć morskie granice przed migrantami.

HAZEM TURKIA / ANADOLU / AFP / EAT NEWS

Giorgia Meloni i premier Libii Abd al-Hamid ad-Dubajba. Trypolis, 7 maja 2024 r.

MECHANIZM | Listę zarzutów MTK wobec Al-Masriego można, wedle zgodnych relacji zbieranych od ludzi, którym udało się dopłynąć na Sycylię, rozszerzyć na całość „straży przybrzeżnej" Libii (i innych formacji o podobnych nazwach).

Granica między tym, kto organizuje szlaki migrantów i trzyma ich w obozach, zanim wsadzi ich na łodzie, a tym, kto rzekomo tępi ten proceder, jest rozmyta. Stały napływ ludzi gotowych na wszystko, by dostać się do Europy, zapewnia libijskim watażkom źródło zysków z szantażu – rodziny migrantów są zmuszane do płacenia kolejnych okupów – oraz pracy niewolniczej.

Z kolei libijscy „pogranicznicy" dbają o to, by część tych ludzi, nawet jeśli zdoła wsiąść na łodzie i pontony, została zatrzymana na morzu i wróciła na kolejne lata w tryby tego mechanizmu. Dodatkowo dostają za to pieniądze z Europy – drugiej, o wiele bogatszej ofiary tego szantażu.

KWESTIA CENY | Jednak jak bardzo zdezintegrowana nie byłaby libijska „władza", to dla rządów europejskich jedyny partner, który jest zdolny kontrolować przepływ ludzi przez Morze Śródziemne.

Już w 2017 r. ówczesny centrolewicowy premier Paolo Gentiloni podpisał z rządem w Trypolisie trzyletnie memorandum. Przewidywało wsparcie rozwojowe dla Libii, a przede wszystkim sprzęt i wyposażenie dla oddziałów straży i milicji. Niezależnie od tego, kto sprawował władzę w Rzymie, umowa obowiązuje do dziś. Poza tym z inicjatywy Włoch Unia przeznaczała na pomoc dla Libii środki z tzw. kryzysowego powierniczego funduszu dla Afryki (nie tylko na łodzie, ale, jak czytamy w sprawozdaniu, na szkolenia straży granicznej z zakresu... praw człowieka).

Umowa okazała się skuteczna: w latach 2017-19 liczba migrantów docierających do włoskich brzegów spadła ze 120 do nieco ponad 30 tysięcy. Potem zaczęła rosnąć, gdyż coraz więcej ludzi wybierało szlak przez Tunezję. W 2023 r. premier Meloni, urzędująca wówczas od prawie roku, poszła sprawdzonym tropem i – biorąc przewodniczącą KE Ursulę von der Leyen za żyrantkę – zawarła umowę z władzami w Tunisie. W 2024 r. wskaźniki znów się poprawiły. Na przełomie roku były dni, gdy do Włoch nie dobijały żadne łodzie.

LIBIJSKI „KUREK" | Tymczasem w styczniu tego roku – nagle, po aresztowaniu Al-Masriego – na brzegach Sycylii zaczęły znów pojawiać się łodzie. To był dowód, jak łatwo i szybko Libijczycy mogą w ramach retorsji odkręcić swój „kurek" z migrantami (podobnie działo się w 2020 r. na granicy turecko-greckiej, gdy prezydent Turcji wywierał wówczas nacisk na Unię, by płaciła mu za migrantów przebywających na terenie Turcji).

Dodatkowo na Włochów podziałał też „argument gazowy". Kontrolowany przez państwo koncern Eni stara się o odtworzenie mocy wydobywczych w Libii (dysponuje już podmorskim gazociągiem Green Stream do Sycylii). Dwa lata temu Meloni ogłosiła strategię wzmocnienia obecności Włoch w Afryce, zwaną „Planem Matteiego" (na cześć wizjonerskiego szefa Eni z lat 50. XX w., który podważył dominację koncernów naftowych z USA). Zasada jest prosta: pomoc rozwojowa w zamian za dostęp do surowców. Zwiększenie wydobycia gazu z uśpionych szybów w Libii byłoby pierwszym namacalnym sukcesem.

Jak się łatwo domyślać, po uwolnieniu Al-Masriego Libijczycy dokręcili „kurek".

POUFNA LISTA | Gdy sprawa wyszła na jaw, centrolewicowa opozycja zażądała wyjaśnień. Ministrowie spraw wewnętrznych i sprawiedliwości plątali się, wygłaszali sprzeczne wersje (jeden bronił się, że nie mógł zapoznać się szybko z aktami z Hagi, bo były po angielsku).

Premier Meloni sugerowała, że skoro MTK nie wydał nakazu, gdy watażka był w Niemczech, lecz zaczekał na jego przyjazd do Turynu, była to zemsta sędziów na jej rządzie za to, że wcześniej zapewnił on, iż nie aresztuje premiera Izraela (podobnie jak rząd Polski).

Tymczasem media odkryły, że szef włoskich służb udał się po całej sprawie do Trypolisu, by przekazać tam listę innych ludzi z Libii, objętych przez MTK poufnymi nakazami aresztowania, i wskazać, kto powinien bać się zatrzymania. Po to, aby uniknąć podobnych przykrych niespodzianek.

MODUS OPERANDI | Wszyscy rozumieli, jaka logika stoi za uwolnieniem Al-Masriego. Ale debata w parlamencie tonęła w absurdach, bo nikomu nie było na rękę powiedzieć prostej prawdy. Rząd mógłby powołać się na rację stanu i wskazać, że dzięki współpracy z Trypolisem Włosi mają mniej migrantów na głowie (partie wspierające rząd twierdzą, że i tak jest ich za dużo). Ale musiałby przyznać, że jest podatny na naciski i dokonuje „outsourcingu" przemocy. Opozycja zaś nie może wprost potępić Meloni za układy z reżimem depczącym prawa człowieka, bo jej politycy pierwsi wytyczyli tę ścieżkę.

Tymczasem morską barierę odgradzającą Europę ciągle trzeba łatać w nowych miejscach. Tak jak w 2023 r. przewodnicząca Komisji Europejskiej towarzyszyła premier Meloni, gdy ta jechała zapłacić za ochronę granic dyktatorowi w Tunisie, tak w 2024 r. udała się wraz z premierem Hiszpanii do Mauretanii. Przez nią przebiega teraz najnowszy, coraz aktywniejszy szlak migracyjny skierowany na Wyspy Kanaryjskie. ©℗

FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN / OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NOWA PRENUMERATA
PROSTO DO MOJEGO DOMU

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej
pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075
lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej
przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy)
nie ulegają zmianie. Sprawdź pełną ofertę na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
Kwartał – 12 wydań	170 zł
NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	**320 zł**
Rok – 52 wydania	590 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	500 zł
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

„TYGODNIK" SUWERENNY DZIĘKI TOBIE

HISTORIA

WIDOK ZNAD SEWANU

Podróż autostopem po tym kaukaskim kraju to jak wyprawa wehikułem czasu. W Armenii co krok historia, dawna i najnowsza, zderza się ze współczesnością.

TEKST I ZDJĘCIA KAROL FRYTA
Z GIUMRI, SPITAKU, ICZEWANIA I SEWANU (ARMENIA)

Giumri, drugie pod względem liczby ludności miasto Armenii, różni się od stołecznego Erywania kolorem. Stolicę zbudowano z różowego tufu – kamienia, który w zachodzącym słońcu nadaje miastu brzoskwiniowy odcień. Natomiast znaczna część stutysięcznego Giumri to zabudowa z tufu czarnego, który w XIX w. był bardziej dostępny w okolicznych wyrobiskach.

Na charakter miasta wpływają też inne detale, które uzmysławiają, że pewne rzeczy są tu niezmienne. Jak w salonie fryzjerskim „Lux": został otwarty w 1941 r. i od tego czasu jego wystrój się nie zmienił.

Wewnątrz, wzdłuż ścian, ciągną się masywne fotele o spękanych obiciach. Drewniane blaty pod owalnymi lustrami noszą ślady dekad pracy – przesuwania pędzli, nożyczek, brzytew, szklanek herbaty w finezyjnych podstakannikach. Teraz zabezpieczono je szkłem. Pod oknami rośliny w donicach, klatka z papugą, a nad lustrami dwa landszafty olejne.

GRAMOTA Z LENINEM | Jeden z fryzjerów gasi papierosa wodą z kranu i maca moją twarz, oceniając, gdzie brzytwa może natrafić na pieprzykowe wyspy. Po chwili jestem wysmarowany kremem do golenia i w ruch idzie brzytwa. Wprawne ruchy, fachowe naciąganie skóry, na koniec mocna woda kolońska i moje policzki w dotyku przypominają skórę niemowlaka.

Po goleniu idę do szatni, w której pracuje jedyna kobieta w salonie. Dzieli się wspomnieniami, pokazuje dyplomy, które salon otrzymał za swoją działalność. Nad jedną z takich gramot widnieje wizerunek Lenina. Fakt, że był on współtwórcą sowieckiego imperium, które wspólnie z Turkami zniszczyło młode wolne państwo armeńskie, najwyraźniej zblakł.

– Do salonu przychodziła elita miasta, aktorzy, naukowcy, lokalni politycy. W tym Frunzik Mykyrtczian, jeden z najsłynniejszych ormiańskich aktorów, w czasach Związku Sowieckiego znany z ról komediowych – snuje opowieść szatniarka. – To było miejsce, gdzie nie tylko można było się ostrzyc czy ogolić, ale też porozmawiać, dowiedzieć się, co słychać w świecie. W czasach świetności w salonie pracowało dwunastu fryzjerów na zmianie, tyle było pracy.

Szeroki wybór akcesoriów do golenia i konkurencja nowoczesnych barberów sprawiają, że w salonie jest coraz mniej klientów. Ale wydaje się, że tradycja utrzyma go przy życiu. Tak jak 120-letnie lustro w rogu szatni. Jego rama została wzmocniona kamieniem. Dlatego przetrwało trzęsienie ziemi, które w 1988 r. poważnie zniszczyło miasto.

Dom Wypoczynkowy i Pracy Twórczej Związku Pisarzy Armenii nad jeziorem Sewan, 2024 r.

TRZĘSIENIE | 7 grudnia 1988 r. w Giumri zawalił się świat. Trzęsienie ziemi, którego epicentrum znajdowało się kilkadziesiąt kilometrów dalej na wschód, w całej Armeńskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej zabiło 25 tys. ludzi. Ponad 130 tys. było rannych, a setki tysięcy straciły dach nad głową. Na ratunek ruszyła ponad setka krajów, dostarczając ratowniczy sprzęt czy zespoły poszukiwawcze. Był to już końcowy etap zimnej wojny i sowiecki przywódca Michaił Gorbaczow zwrócił się o pomoc także do USA.

W Giumri wiele budynków nie wytrzymało siły wstrząsu. Zawaliła się także większość placówek medycznych, grzebiąc w gruzach dwie trzecie pracujących tutaj lekarzy.

O ślady nietrudno. Ucierpiała XIX-wieczna zabudowa historycznego centrum; część pięknych kiedyś domów z czarnego kamienia do dziś straszy ruinami.

Mieszkanka Giumri: – Miałam 23 lata, gdy to się stało. Dopiero co przeprowadziłam się do miasta z rodzicami, kupiliśmy dom. Jakimś cudem ocalał. Nie straciłam nikogo bliskiego, ale miasto już się nie podniosło.

I dalej: – Wcześniej było tu wiele zakładów pracy, potem część nie została odbudowana. Słynęliśmy z fabryki tekstyliów, jednej z największych w ZSRR, do której przyjeżdżały dziewczyny z całego kraju, aby uczyć się zawodu. Inne miasta, jak Wanadzor i Spitak, szybciej odbudowano, a u nas wciąż można trafić na smutne ślady.

CMENTARZ W SPITAKU | Dwa dni później docieram do Spitaku. Malowniczo położone miasteczko, zamieszkane przez 13 tys. ludzi, jest wciśnięte między pasma gór. W grudniu 1988 r. tu było epicentrum trzęsienia i z miasta niemal nic nie zostało.

Taksówkarz, który wiezie mnie na cmentarz, po chwili rozmowy poważnieje: – W trzęsieniu straciłem najstarszego z synów. Był wówczas w szkole.

Cmentarze często są „lustrem" danej miejscowości. Tutaj widać to wyraźnie: liczne są groby, na których widnieje ta sama data śmierci: 7 grudnia 1988 r. Bywa, że w jednej mogile z taką datą spoczywa kilkoro członków rodziny.

Z kolei u wejścia na cmentarz w oczy rzuca się natychmiast zupełnie nowa kwatera: z napisem „Bohaterowie Armenii". Mogiły świeże, każda z flagą narodową. W centralnym punkcie pomnik: hełm i dłoń z karabinem. Na grobach dwudziestoparoletnie twarze: zginęli jesienią 2020 roku.

W wojnie z Azerbejdżanem o Górski Karabach, trwającej kilka tygodni, ↦

↦ Ormianie – ci z Karabachu i wspierająca ich armia Armenii – stracili może nawet 8 tys. zabitych. Bardzo dużo, jak na kraj mający 2,7 mln ludności.

PŁACZ PO KARABACHU | Po Armenii przemieszczam się autostopem. Niemal każda podwózka kończy się rozmową o wojnie o Karabach. Zwłaszcza o tej z jesieni 2020 r., którą Ormianie dramatycznie przegrali. To w jej konsekwencji Republika Górskiego Karabachu przestała istnieć. Po tym, jak we wrześniu 2023 r. Azerbejdżan uderzył ponownie, karabachscy Ormianie skapitulowali już po dwóch dniach – ich parapaństwo, trwające przez 30 lat, przestało istnieć, a region stał się na powrót częścią Azerbejdżanu.

Dwóch ochroniarzy po pięćdziesiątce, weterani i uchodźcy ze Stepanakertu, stolicy Karabachu: – Wytrzymaliśmy do końca. 27 września 2023 r. uciekliśmy, dzień później rząd Karabachu padł. Musieliśmy zostawić wszystko.

Kolejny kierowca: – Jestem przekonany, że Karabach do nas wróci. Możemy czekać dziesiątki czy setki lat, ale to nasze ziemie. Azerowie niszczą tam wszystko, co ormiańskie. Za 20-30 lat będą mówić młodym pokoleniom: co też ci Ormianie mówią, przecież tam nic armeńskiego nie ma i nie było!

Właściciel firmy budowlanej: – Dobrze, że tak się stało! Płaczemy, że Putin nam nie pomógł, ale my sami sobie nie pomogliśmy! 30 lat temu wygraliśmy wojnę z Azerbejdżanem i od tamtego czasu wiecznie dopłacaliśmy do tego regionu, a Azerbejdżan cały czas się zbroił. Sami nie zadbaliśmy o siebie, to jak ktoś miał zadbać o nas?!

KOBROWYJ KOMBINAT | Wiele obiecywałem sobie po Iczewaniu w tropieniu śladów przeszłości. Do tego 20-tysięcznego miasteczka przyjechałem za sprawą fabryki dywanów, już nieczynnej.

Przez dziurę w płocie dostaję się na teren zakładu, dziś pożeranego przez rdzę i zieleń.

Wewnątrz hal pustki. Na ziemi resztki włóczki i nici, tu i tam stare maszyny tkackie (jedna z tabliczką Made in Poland). Mijam dawną pralnię wełny i farbiarnię. Znajduję resztki dokumentacji, a nawet niemiecką książkę z 1929 r. z reprodukcjami armeńskich dywanów. Widać, że chodzą tu szabrownicy – rozbierają zakład na złom.

Grabieżom ma zapobiegać Artur. Ochroniarz, który strzeże resztek tego miejsca, chętnie rozmawia: – Od początku była to największa taka fabryka w Armenii i jedna z największych w Sowietach, pracowało tu ponad 3 tys. osób. Produkowaliśmy nawet 1,2 mln metrów kwadratowych dywanów rocznie.

Większość produkcji trafiała do innych republik sowieckich. Artur: – U nas zostawało może 5-10 proc. produkcji, ale to wystarczyło, aby w co drugim domu był nasz dywan. Produkowaliśmy dywany w oparciu o artystyczne wzory, pełne symboliki. To nie były proste obrazki z drzewem czy jeleniem. W szczycie działalności tkano dywany o 52 wzorach.

W 2016 r. kobrowyj kombinat zamknięto, choć już wcześniej upadał od wielu lat. Na kryzys złożyło się wiele czynników: mniejszy rynek zbytu, brak inwestycji, emigracja młodych, konkurencja z Turcji, Iranu i Chin.

DOM TWÓRCÓW | Z Iczewania jadę nad jezioro Sewan, największy zbiornik wodny na Kaukazie. Nie ominęła go sowiecka myśl technologiczna: posłużył do wytwarzania energii z elektrowni wodnych i w efekcie poziom akwenu obniżył się, doprowadzając do katastrofy ekologicznej. W ten sposób wyspa, na której stoi IX-wieczny klasztor Sewanawank, stała się półwyspem.

Ale mnie przyciągnął budynek Domu Wypoczynkowego i Pracy Twórczej Związku Pisarzy Armenii.

W Związku Sowieckim niezależne stowarzyszenia artystyczne były zakazane, zamiast nich istniały te scentralizowane. Zarządzały także uzdrowiskami, które pełniły również funkcję domów pracy twórczej.

Dzieje domu twórców nad jeziorem Sewan zaczynają się w 1932 r., gdy architekci Gevorg Kochar i Mikael Mazmanyan opracowali jego projekt. Propagowali radykalną odnowę estetyczną – w opozycji do tradycjonalistów, którzy proponowali historyzm.

Budowę domu, który kaskadowo wbija się w zbocze schodzące do wody, ukończono w 1935 r. Dwa lata później stalinowski Wielki Terror zgarnął obu architektów: trafili do łagru.

WIDOK NA SEWAN | Do domu obaj wrócili dopiero w 1953 r., po śmierci Stalina. Kochar dostał zadanie rozbudowy domu nad Sewanem. Do głównego budynku dobudował piętro, a w 1964 r. nową jadalnię: zbudowano ją na balkonie wspartym na jednym filarze. Stała się jednym z najbardziej rozpoznawalnych przykładów sowieckiego modernizmu.

Dziś dawny dom twórców wciąż zachwyca niebanalnym wyglądem i panoramicznym widokiem na jezioro.

Obecnie funkcjonuje tu restauracja. Kiedy do niej wchodzę, trzeszczy drewniany parkiet, najpewniej ten położony kilkadziesiąt lat temu.

Farbiarnia wełny w nieczynnej, kiedyś największej fabryce dywanów w Armenii. Iczewan, 2024 r.

Po lewej: Salon fryzjerski „Lux" w Giumri. Armenia, 2024 r.

Na balkonie dwie Rosjanki jedzą rybę z Sewanu i raczą się białym winem. Obsługa znosi półmiski i salaterki pełne sałatek, wędlin, koziego sera, oliwek, kaukaskiej adżyki (pasty z papryki). Przed restauracją dymi grill. W pogotowiu stoją alkohole – koniak Ararat i brandy Stary Iczewan. Wieczorem będzie hucznie.

FRANCUZKA NA BALKONIE | Kiedyś w tym miejscu odpoczywała ormiańska inteligencja i jej goście – pisarze i poeci z całego Związku Sowieckiego oraz „bratnich" krajów socjalistycznych.

W domu nad Sewanem gościli m.in. Awetik Isahakian (ceniony ormiański poeta i pisarz), Gework Emin (poeta, tłumacz Mickiewicza i Różewicza), Wasilij Grossman (pisarz, którego książki – w tym o II wojnie światowej – czytane dziś brzmią w gruncie rzeczy jak oskarżenie systemu sowieckiego). Była tu Simone de Beauvoir, francuska filozofka i partnerka Jeana-Paula Sartre'a (czołowego przedstawiciela spośród tych zachodnich intelektualistów, którzy – zapatrzeni w system sowiecki – woleli nie dostrzegać jego zbrodni).

Dostaję pokój na ostatnim piętrze. W łazience z kranu ledwie strzyka woda.

Zachodzi pomarańczowe słońce. Wychodzę na balkon. Wyobrażam sobie, że w tym miejscu łatwo było o wyjątkowe przemyślenia, wysublimowane metafory. Istnieje wiele literackich opisów jeziora Sewan. Simone de Beauvoir, która była tu w 1972 r., napisała o „różowej, chaotycznej pustyni z jasnoniebieskim jeziorem pośrodku".

Dziś dom twórców czasy świetności ma za sobą. Jest w rękach dzierżawcy, który podtrzymuje go przy życiu. Parę lat temu amerykańska fundacja oszacowała koszt remontu na 2,5 mln dolarów, co dla Związku Pisarzy Armenii jest kwotą zaporową. Być może sytuacja zmieni się, bo do walki o prawo własności stanął rząd Armenii: uważa, że dom został sprywatyzowany niezgodnie z prawem.

KOSMICZNE ZASŁUGI | W drodze do stolicy odwiedzam jeszcze miejscowość o nazwie Gagarin. Nazwano ją tak na cześć pierwszego człowieka w kosmosie. Chciałbym zobaczyć wyjątkowy pomnik astronauty – jego głowa orbituje na strzelistej konstrukcji, poniżej na cokole stoją kobieta i mężczyzna z dłońmi uniesionymi w geście pozdrowienia.

Miejscowość powstała w 1955 r. jako osiedle robotnicze, bo w okolicy funkcjonowało kilkanaście różnych zakładów produkcyjnych. Dziś pozostał jeden, reszta upadła po rozpadzie Związku Sowieckiego. Część mieszkańców wyjechała stąd, część dojeżdża do pracy w Erywaniu.

Ludzie radzą sobie, jak mogą. Parę lat temu lokalny biznesmen zamierzał wysadzić wiadukt w Gagarinie, aby zwrócić na siebie uwagę. Było tak: mężczyzna chciał wziąć kredyt na rozwój firmy, ale bank odmówił obciążenia hipoteki, bo Gagarin ma niejasny status. Nie do końca wiadomo, czy to osiedle robotnicze, wieś, osiedle typu miejskiego czy dzielnica miasta Sewan.

W czasach Związku Sowieckiego często nazywano miasta imionami genseków, artystów, żołnierzy itd. (sztandarowy przykład to Leningrad, wcześniej i dziś Petersburg). Po tym, jak po 1991 r. dawne republiki wybiły się na niepodległość spod kurateli Moskwy, wracano zwykle do dawnych historycznych nazw.

– Tutaj do niczego nie musimy wracać, bo od zawsze byliśmy Gagarinem – odpowiada na moje pytanie mieszkaniec tej miejscowości. – Ludzie sami wybrali nazwę, nikt jej nie narzucał.

– Gagarin wiedział, że nazwano wieś jego imieniem? – dociekam.

– Myślę, że tak, choć nigdy tu nie dotarł. Za to odwiedziła nas jego żona podczas pobytu w Armenii. To było dla nas wielkie święto.

WEHIKUŁ CZASU | Późnym popołudniem docieram do Erywania.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że spośród wszystkich krajów byłego Związku Sowieckiego, które odwiedziłem, w Armenii przeszłość najmocniej przenika się z teraźniejszością. I nie tylko dlatego, że dosłownie co zakręt napotyka się na wiekowy chaczkar (wotywną płytę) czy monastyr. To tutaj mogę sobie uciąć pogawędkę na temat zmagań o tytuł mistrza świata w szachach z 1963 r. między Tigranem Petrosjanem a Michaiłem Botwinnikiem.

A kolejny kierowca, który zabrał mnie autostopem, nie omieszka przypomnieć przybyszowi z daleka, że należy głośno mówić o ludobójstwie Ormian, którego dopuścili się Turcy ponad sto lat temu.

A także podkreślić, że to Armenia była pierwszym chrześcijańskim krajem na świecie. Po tym, jak na ziemiach tych mieli pracować apostołowie Tadeusz i Bartłomiej, religią państwową chrześcijaństwo stało się już w 301 r. (dwanaście lat wcześniej niż w Cesarstwie Rzymskim).

Tutaj historia jest wszechobecna i namacalna – jak ormiański „wehikuł czasu".

© KAROL FRYTA

NAUKA

POTRZEBUJEMY WARTOWNIKA

JOANNA RĄCZASZEK-LEONARDI, PSYCHOLOŻKA:

Musimy badać, co w kontaktach międzyludzkich jest na tyle istotne, że przekłada się na nasz dobrostan i jakość życia. I pilnować, by sztuczna inteligencja tego nie zniszczyła.

PIOTR JOŃCZYK: Dlaczego ludzie obawiają się rozwoju sztucznej inteligencji?

PROF. JOANNA RĄCZASZEK-LEONARDI: Jesteśmy w podobnej fazie rozwoju sztucznej inteligencji jak wtedy, gdy w motoryzacji nastąpił postęp i pojawiało się coraz więcej samochodów. Pierwsze auta pędziły po wsiach i rozjeżdżały kury, owce, psy i ludzi. To było przerażające, więc niektórzy, chcąc oswoić widok pędzących maszyn, zakładali na nie sztuczną głowę konia.

Obecnie niektóre sztuczne systemy „inteligentne" mają twarz lub nawet ciało człowieka, a użytkownicy przypisują im posiadanie celów, intencji czy uczuć. Roboty z twarzą, zamiast oswajać sztuczną inteligencję, mogą paradoksalnie wzmacniać lęki przed „zastąpieniem" człowieka i dominacją sztucznej inteligencji nad ludźmi.

W końcu zrezygnowaliśmy z utożsamiania samochodów i koni.

Dopiero odpowiednia infrastruktura i regulacje sprawiły, że przestaliśmy bać się samochodów i nauczyliśmy się z nich bezpiecznie korzystać. Nie powinniśmy antropomorfizować czatów i botów, tylko szukać nowych narzędzi teoretycznych, żeby rozumieć miejsce tzw. sztucznej inteligencji w działaniach człowieka. Szczególnie potrzebujemy podejść, które pozwolą nam zrozumieć jej wpływ na relacje między ludźmi i życie społeczne. Obecne dyskusje wciąż opierają się na założeniach z lat 50., które niekoniecznie przystają do współczesnej wiedzy.

Jakie są więc źródła tego, w jaki sposób myślimy o sztucznej inteligencji?

Przez lata w badaniach nad umysłem dominowała metafora komputerowa, czyli przekonanie, że myślenie to sekwencja: bodziec, przetwarzanie informacji, a na koniec wynik myślenia, czyli reakcja.

Obiektem zainteresowania dużej części naukowców stało się badanie jednostkowego umysłu i tego, w jaki sposób tworzy język, żeby rozumieć rzeczywistość. Ale nie możemy zapominać, że umysł odzwierciedla to, jak był wychowywany i rozwijał się w relacjach społecznych. Myślenie i inteligentne zachowanie ujawniają się głównie w kontakcie z innymi ludźmi.

Metafory, które przyrównują myślenie do działania komputera, zadomowiły się w języku – mówimy o sobie, że „styki nam się przegrzewają", młodsi powiedzą, że „brakuje im ramu".

Metafora komputerowa działa w dwie strony – komputerom przypisujemy ludzkie cechy, a ludzkie myślenie opisujemy językiem informatyki.

TA0088744867 5 / ADOBE STOCK

Pojawienie się komputerów pomogło w zmianie metodologii i rewolucji w psychologii. Wcześniej dominował behawioryzm, skupiano się przede wszystkim na zachowaniu. Potem, gdy pojawiły się komputery, w końcu mieliśmy urządzenie, w którego wnętrzu dzieje się bardzo dużo ciekawych rzeczy. Tak jak w naszej głowie.

To była dobra metafora do uporządkowania na nowo dziedzin psychologii – wyodrębniono osobne gałęzie, które zajmowały się poszczególnymi „częściami" umysłu: pamięcią, uwagą, buforem sensorycznym. Przyniosła ona

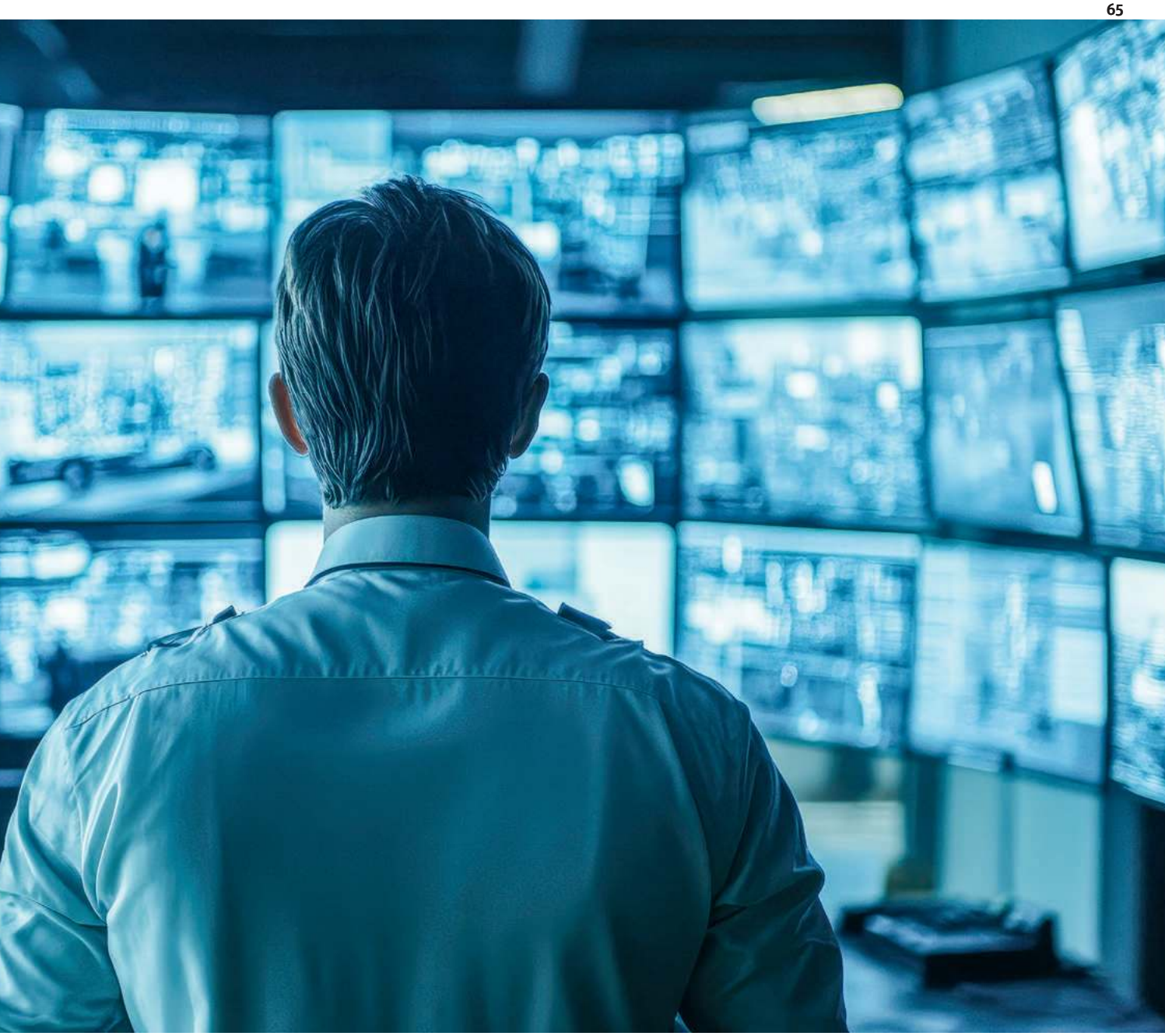

ze sobą jednak dużo szkodliwych uproszczeń, w tym przekonanie, że procesy umysłowe da się łatwo symulować jako procesy obliczeniowe. Niezależnie, czy dotyczą twierdzeń matematycznych, czy problemów etycznych.

Nawet jeśli twórcom czy teoretykom sztucznej inteligencji coś umyka, np. społeczny kontekst, to jednak sztuczna inteligencja rozwija się bardzo szybko. Żadne z nas nie wygra z AI w szachy.

Zauważ, że zawsze mówimy o „zadaniach stawianych przed sztuczną inteligencją". Jeśli postawimy przed maszyną Deep Blue zadanie, żeby wygrywała w szachy, to ona się tego nauczy.

Jest ogromna różnica między organizmami żywymi a jakąkolwiek technologią. Organizmy żywe mają instynkt przetrwania i zachowują wartości, które temu przetrwaniu służą. Sztuczna inteligencja nie będzie chciała niczego, czego nie chcieliby jej twórcy.

Gdy patrzymy na odkurzacz, który sam podjeżdża do stacji ładującej, to możemy pomyśleć, że samodzielnie podtrzymuje swoje zasoby życiowe. Ale to my mamy nad tym kontrolę – w jakie funkcje wyposażamy technologię i kiedy chcemy ją wyłączyć.

Publicysta „New York Timesa" Oliver Whang przywołał słowa Josha Bongarda, robotyka z Uniwersytetu Vermontu, według którego sztuczną inteligencję należy wyposażyć w ciało, bo to ono stanowi podstawę inteligentnego, ale przede wszystkim bezpiecznego działania.

Stoi za tym słuszna intuicja, że inteligencja człowieka to nie tylko jego mózg. Ale zarazem powszechne i nieuzasadnione przekonanie, że tzw. sztuczna inteligencja jest bezcielesna. Przywiązaliśmy się do myślenia, że ciało oznacza zawsze coś biologicznego czy organicznego. ↦

↦ Jednak ChatGPT nie funkcjonuje przecież bez ucieleśnienia w sieciach i gigantycznych serwerach, które pożerają ogromne ilości energii, oraz bez końcówek w postaci naszych telefonów i komputerów.

Zasadnym pytaniem jest, w jakie ciało wyposażać sztuczną inteligencję. Wyposażanie w „biologiczne" ciało algorytmicznych rozwiązań konkretnych problemów – takich jak gra w szachy czy podsumowywanie tekstów – przypomina głowę konia, o której mówiliśmy wcześniej.

Wiele z mechanizmów sztucznej inteligencji jest inspirowanych tym, jak działa mózg.

Chociaż to, jak one się mają do prawdziwego mózgu, to inny temat, bo to dalej jedynie maleńki fragment rozwiązań inspirowanych działaniem prawdziwych sieci neuronowych. Na razie wykorzystaliśmy wiedzę o niektórych aspektach architektury mózgu jedynie po to, by coraz dokładniej rozpoznawać współzależności statystyczne.

Możliwe, że gdybyśmy poświęcili tyle czasu inteligencji zaklętej w ruchu, ile poświęciliśmy na badania nad neuroobrazowaniem mózgu, to bylibyśmy w zupełnie innym miejscu, także jeśli chodzi o obawy związane z tzw. sztuczną inteligencją.

W ruchu wyraża się cała gama inteligentnych zachowań. Z ruchu innych ludzi potrafimy odczytać, czy są do nas usposobieni dobrze, czy źle. Na mikroruchy twarzy reagujemy niemal zawsze bezpośrednio – gdy ktoś się do nas uśmiecha, my też się uśmiechamy.

Natalia Waloch pisała w „Wysokich Obcasach" o tym, że ludzie stworzyli AI, która mogła wygrać z Kasparowem w szachy, ale dalej nie taką, która umie zetrzeć plamę z kanapy.

To oczywiście mówi o brakach sztucznej inteligencji i jak jest rozwijana. Ale czy rzeczywiście chcielibyśmy, żeby wszystkie obszary życia były obsługiwane przez roboty i sztuczną inteligencję?

Przeprowadzono wiele badań o wpływie relacji z lekarzem na proces zdrowienia. Okazało się, że zwykła rozmowa z medykiem, niekoniecznie dotycząca stanu zdrowia pacjenta, przekłada się na to, że pacjent lepiej rozumie swój stan, co zwykle przekłada się na szybszy wypis ze szpitala.

Technologia wiele ułatwia, ale jeśli jej rozwój zmniejsza częstotliwość i jakość kontaktów międzyludzkich, to powinna nam się zapalić czerwona lampka.

Dzięki wielu technologiom te kontakty mogą być też częstsze.

Psycholożka Sherry Turkle opowiadała podczas swojego TedTalku, że spotyka nastolatków, którzy postanowili, że pora nauczyć się rozmawiać z innymi, bo dotąd większość ich komunikacji była zapośredniczona przez różne media. To było ponad 10 lat temu, a pandemia jeszcze bardziej pogłębiła ten problem, poprzez upowszechnienie zdalnej komunikacji. Co z kolei, jak wynika z badań w naszej pracowni, przełożyło się na dobrostan psychiczny i jakość interakcji.

Łatwiej zauważyć wady i zalety każdej technologii, gdy myślimy o niej jako o czymś, co zmienia relacje między człowiekiem a człowiekiem.

Technologie cyfrowe sprawiają, że możemy przesłać komuś w odpowiednim momencie coś, co odczuje jako prawdziwe wsparcie. Po angielsku mówi się na to *digital hug* – cyfrowe przytulanie. Jednocześnie taki punkt widzenia umożliwia dostrzeżenie negatywnego wpływu nowych technologii, np. masowych niebezpośrednich kontaktów, które umożliwiają edytowanie tekstu przed wysłaniem czy ukrycie własnej tożsamości.

Wydawałoby się, że możliwość redagowania wiadomości przed wysłaniem to akurat dobra rzecz. Musimy się zastanowić, co chcemy powiedzieć, łatwiej nie odpowiadać impulsywnie i „w emocjach"...

Przyzwyczajenie do takiej komunikacji może wywoływać lęk przed popełnieniem błędu w komunikacji „na żywo", kiedy bierzemy odpowiedzialność za wszystko, co mówimy, i nie możemy redagować wypowiedzi. Zapośredniczenie powoduje odarcie komunikacji z elementów relacji międzyludzkich, które są naturalne w sytuacji rozmowy twarzą w twarz – uważności wobec drugiego człowieka, możliwości popełnienia błędu i jego naprawy w dialogu.

Badacz sztucznej inteligencji Michał Kosiński przekonywał niedawno na tych łamach, że ChatGPT dysponuje teorią umysłu – jest w stanie odczytywać nasze emocje oraz przynajmniej symulować własne.

Wszelkie stwierdzenia, że modele językowe „myślą" albo „rozumieją język", które pojawiają się nawet w wypowiedziach znanych naukowców, są przejawem częstej tendencji do przypisywania rzeczom i maszynom stanów intencjonalnych, których te po prostu nie mają.

To, co generują modele językowe, to nie są myśli ani wypowiedzi, tylko ciągi znaków tworzone na podstawie złożonych wzorców statystycznych współwystępowania słów.

Gdy zaczniemy myśleć o Chacie GPT nie jak o agencie czy bycie inteligentnym, tylko jak o czymś, co modyfikuje to, co dzieje się między ludźmi, to będziemy mogli zacząć budować lepszy aparat teoretyczny. Będziemy mogli dojrzeć, jak zmieniają się wartości, które są realizowane w relacjach. A także to, które z nich można zrealizować, a których zrealizować się nie da.

Mogłabyś przedstawić to na jakimś przykładzie?

Często pojawia się pytanie, czy należy pozwalać uczniom na używanie Chata GPT w szkołach. I to jest bardzo dobre pytanie.

Sam Altman, szef firmy Open AI, mówi, że stworzony przez nią ChatGPT wyzwala kreatywność, ja powiedziałabym, że kreatywność dusi, ponieważ podaje nam średnie rozwiązania. Podpowiada nam to, co w różnych opracowaniach pojawia się najczęściej, co jest nudne i banalne. Jeśli jesteśmy dobrymi nauczycielami, to chcemy, żeby uczniowie umieli wyjść poza schemat.

Ale znowu, w ten sposób patrzymy na samego ucznia jak na osobną jednostkę, a to, co powinno być przedmiotem analizy, to cały kontekst społeczny.

Gdy proszę ucznia, żeby coś zrobił, to chcę go wielu rzeczy nauczyć: znajdowania informacji, samodzielności, szacunku do drugiego człowieka, także do mnie i do mojej pracy, ale również tego, że ja go szanuję. Jeśli uczeń chce wypróbować ChatGPT do znajdowania informacji, to nie ma problemu. Ale niech z szacunku do mnie powie, ile z tego, co napisał, wygenerował model, a kiedy ChatGPT go rozczarował – to ostatnie może być całkiem dobrym zadaniem domowym.

Z drugiej strony możemy spojrzeć na ucznia i jego relacje oraz wartości, które wypracowuje w szkole. Może pomyśleć: „Ja używam Chata GPT, a Kazek nie używa, ja dostanę szóstkę, a on trójkę. Jak się z tym czuję?”. Niespecjalnie, prawda?

Albo wręcz przeciwnie.

Może będzie się czuł super, bo chce wykorzystywać nowe technologie. Ale to jest jego relacja z kolegą, a nie między nim a Chatem GPT. Między dwójką kolegów jest wygenerowany tekst, który ma wpływ na ich sposób uczenia się i oceny. Używanie Chata GPT zmienia przede wszystkim ich relacje – ze sobą nawzajem i z innymi osobami.

W jaki sposób to może nam pomóc w tworzeniu przepisów, które będą regulowały użycie sztucznej inteligencji?

Komisje regulacyjne czekają na pierwsze przypadki, które zostaną do nich zgłoszone. To pokazuje, że bardzo trudno opracować przepisy bez analizy sytuacji, które przeszły przez czyjeś pierwszoosobowe doświadczenie. Zastosowań, które wyrządziły jakąś szkodę albo zrobiły coś dobrego.

Jeśli chodzi o duże modele językowe i bazujące na nich systemy konwersacyjne, takie jak ChatGPT, na początku powinniśmy skupić się na rozpoznaniu, gdzie – na ścieżce od człowieka do człowieka, która modyfikowana jest poprzez użycie różnych narzędzi cyfrowych – postawić czyjeś pierwszoosobowe doświadczenie, czyli takich „wartowników”. Kogoś, dla kogo tekst nie jest jedynie ciągiem wyrazów, ale kto potrafi poczuć jego moc oddziaływania i jest w stanie wyobrazić sobie jego wpływ na innych.

Tego prawdopodobnie nie da się zrobić całkowicie automatycznie. Ale jeśli będziemy wiedzieć, jak i na które relacje wpływają sztucznie tworzone systemy i ich produkty, to będziemy mogli właściwie wybrać, gdzie wartowników postawić na stałe.

Co mieliby robić tacy wartownicy?

Pojęcie wartownika nasunęło mi się po przeczytaniu książki Harper Lee „Idź, postaw wartownika”. Tytuł pochodzi z Biblii, gdzie wartownik oznacza kogoś, kto jest naocznym świadkiem, doświadcza dziejących się wydarzeń. U Harper Lee to osoba, która stanowi moralny kompas w trudnych sytuacjach, kiedy nie można odwołać się do skodyfikowanych norm.

ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. JOANNA RĄCZASZEK-LEONARDI jest psycholożką, prodziekanem ds. nauki Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w psychologii społecznej i psycholingwistyce, badającej związki między zjawiskami językowymi a procesami umysłowymi.

Każdy z nas powinien być takim wartownikiem dla własnych tekstów i wypowiedzi, które czytają lub słyszą inni. Czy przesłałabym komuś tekst wygenerowany przez ChatGPT jako mój tekst, nie czytając go wcześniej? Nie. A w ten sposób zachowują się twórcy takich modeli – dają możliwość rozmowy ze sztucznym systemem, ale nie biorą odpowiedzialności za jego „wypowiedzi”.

Wszyscy powinni mieć świadomość, co znaczy posłużyć się wygenerowanym przez sztuczną inteligencję tekstem bez czytania go, a firmy powinny umieć to skalować do swoich produktów.

Nauka powinna natomiast dostarczyć sposoby sprawdzenia, czy i jak sztucznie tworzone systemy, realizując jedne wartości, nie powodują przy okazji, że inne wartości są poświęcane na ołtarzu „szybciej, wyżej, dalej”. Potrzebujemy umieć rozpoznać, czy np. zyskując wygodę porozumiewania się na odległość z dużymi grupami osób, nie tracimy bezpośredniego kontaktu z drugim człowiekiem albo naturalnego rytmu interakcji między rodzicem a dzieckiem.

Podejrzewam, że to nie jest priorytet dla technologicznych gigantów.

To przerażające, co niedawno mówił Mustafa Suleyman, dyrektor generalny Microsoft AI, w rozmowie z Gazetą.pl. Jego słowa: „Wyobraź sobie, że masz trenera, kolegę i powiernika w kieszeni w trybie 24/7, który zna cię, pomaga ci, może robić rzeczy w twoim imieniu, aby ułatwić ci życie i osiągnięcie celów. Uważam, że to byłoby niesamowite” – mówią więcej o człowieku, który taki wyłączalny system w kieszeni nazywa kolegą czy powiernikiem, niż o samej sztucznej inteligencji.

Ilustruje to dość dobrze, kto stoi za tworzeniem niektórych systemów oraz jaki tryb życia i życiowe wartości są dla tych osób istotne.

I to jest druga rola wartownika – stać na straży tych wartości międzyludzkich, które mogą być zagrożone przez nadmierne zapośredniczenie kontaktów przez technologie. Musimy wiedzieć, co w tych kontaktach jest na tyle istotne, że przekłada się na nasz dobrostan i jakość życia.

W jaki sposób możemy do tego doprowadzić?

Mam wrażenie, że na razie jesteśmy na tyle skupieni na pojedynczym umyśle, że nawet nie bardzo wiemy, co badać.

Ostatnio w gronie współpracowników europejskiego projektu Traincrease, który dotyczy społecznych podstaw poznania, zaproponowaliśmy, żeby jak najszybciej poważnie się nad tymi miarami zastanowić. Żeby nie było podobnie jak z poziomem CO_2 i zanieczyszczeń. Gdybyśmy wiedzieli, że warto je monitorować, podjęlibyśmy działania na rzecz klimatu wcześniej. Jeśli nie będziemy wiedzieć, co mierzyć, możemy ponownie ocknąć się, gdy będzie już za późno.

Kluczowe jest sprawdzanie, jak zmienia się nasza empatia i relacje oraz jaką rolę mają w tym nowe technologie. Jak dostrzegać, kiedy i dlaczego ludzie zaczynają preferować kontakt z czatem niż prawdziwym człowiekiem? Jak uczyć ludzi dostrzegania tego u siebie samych?

Powinniśmy zacząć mierzyć, jak zmienia się nasza uważność oraz odczuwanie satysfakcji z kontaktu z innymi. Z drugiej strony, należy przyglądać się poczuciu osamotnienia, oderwania czy niezręczności w życiu społecznym.

Uważam, że w obliczu rozwoju nowych technologii to są obecnie najważniejsze zadania stojące przed naukami kognitywnymi, psychologią i socjologią.

© PIOTR JOŃCZYK

TYGODNIK POWSZECHNY
+
DODATEK SPECJALNY
„TP" 8/2025

Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Wystawa niestała. 4 × kolekcja

Ekspozycja, którą otwieramy 21 lutego br., prezentuje zbiory MSN budowane przez niemal dwie dekady. Składa się na nią ponad 150 dzieł powstałych od lat pięćdziesiątych XX wieku do współczesności.

Wybraliśmy prace będące świadectwem zmian, jakie zachodziły w sztukach wizualnych w ostatnich siedmiu dekadach w Polsce i na świecie. Wyrażają różnorodność mediów i artystycznych postaw, obrazują dynamikę uczestnictwa artystów i artystek w życiu społecznym i rozwoju nowych technologii.

Wystawa przygotowana przez zespół kuratorski w składzie: Sebastian Cichocki, Tomasz Fudala, Magda Lipska, Szymon Maliborski, Łukasz Ronduda i Natalia Sielewicz składa się z czterech części, które przenikają się i jednocześnie stanowią odrębne rozdziały jednej opowieści.

Zapraszamy w fascynującą podróż poprzez takie zjawiska i trendy jak pop-art, socrealizm, abstrakcja czy sztuka zaangażowana.

Sztandar. Zaangażowanie i sztuka polityczna

SEBASTIAN CICHOCKI

Prace w tej sekcji pochodzą z różnych porządków ideologicznych. Scala je wyjście z kokonu sztuki i konfrontacja ze światem. Triumfuje wiara w uniwersalny język oraz sztuka w działaniu, związana z bieżącą polityką.

Rzeźba „Przyjaźń" Aliny Szapocznikow z 1954 r. to pomnik gloryfikujący braterskie relacje polsko-radzieckie. Przez niemal pół wieku stał w holu Pałacu Kultury i Nauki. Po decyzji o zezłomowaniu usunięto ręce mężczyzn i sztandar, tak aby móc wynieść rzeźbę przez drzwi. Brakujących elementów nigdy nie odnaleziono.

Do historii miejsca nawiązuje „Pałac Kultury" Wojciecha Fangora. Budynek wraz z rusztowaniem spada z nieba jak pocisk. Jest obcym ciałem w tkance miasta. Zapowiada nowe czasy zrywające z przeszłością.

Rzeźba Goshki Macugi „Moduł rodzinny" powstała na bazie performansu argentyńskiego artysty. Artystka przywołuje socrealistyczne przedstawienia kobiet odnajdujących się po wojnie w nowych rolach. Traktuje swoją pracę w kategoriach pochwały otwartego społeczeństwa, gdzie słowo „rodzina" może oznaczać wiele form wsparcia.

Osoby na zdjęciach z serii „Oko za oko" Artura Żmijewskiego tworzą hybrydy ciał z amputowanymi kończynami i ciał „pełnych". Artysta wystawia ciała osób z niepełnosprawnością na ciekawskie oko widza. Jednocześnie można czytać te obrazy jako alegorie troski, wzajemnego wsparcia.

Fotografie Kiluanjiego Kia Hendy są komentarzem do historii Angoli, która ogłosiła niepodległość w 1975 r. Portugalskie pomniki zaczęły znikać, a artysta, fotografując na pustych cokołach swoich przyjaciół, tworzy obraz nowego, postkolonialnego społeczeństwa.

Archiwum fotograficzne „A–Z Gabloty edukacyjne" Andrzeja Tobisa rekonstruuje ilustrowany słownik polsko-niemiecki z 1954 r. Artysta przemierzał Polskę poszukując haseł z książki. Tobis analizuje obraz i słowo, które poddają się rozpadowi, jak materiały i rzeczy do nich przypisane.

Instalacja Cipriana Mureşana „Martwy ciężar" składa się z odlewów socrealistycznych rzeźb oraz z rysunków. Przywołuje sztukę afirmatywną, w której podporządkowanie doktrynie partyjnej szło w parze z wiarą w misję sztuki i nadejście nowego ładu.

W kolejnej sali zebrano prace związane z użyciem sztuki jako narzędzia protestu. Instalacja „Mobilizacja" Marieli Scafati powstała w reakcji na mobilizację ruchów kobiecych w 2020 r. Abstrakcyjne obrazy zostały zestawione w geometryczne sylwetki ludzkie. Każda postać reprezentuje konkretną argentyńską aktywistkę.

W relacji do pracy Scafati znajdują się prace Elektry KB będące komentarzem wobec protestów z 2020 i 2021 r. w Polsce oraz Karola Radziszewskiego, przywołującego aresztowanie aktywistki Margot. Zestawione z nimi zostało Archiwum Protestów Publicznych dokumentujące demonstracje. Fotografie te rozchodzą się w mediach społecznościowych, są zapisem mobilizacji tysięcy osób w Polsce.

Spot telewizyjny „Plama", autorstwa Williama Pope.L, to „dar ciemnoskórego imigranta dla obywateli Polski". Powstał jako komentarz dotyczący niezastosowania się do decyzji UE o obowiązkowej relokacji uchodźców, w wyniku której Polsce miałyby przypaść 6182 osoby.

W kolejnej sali znajdują się prace Sharon Hayes, Vasyla Lyakha oraz plansze z filmu „Daleko od Polski" Jill Godmilow. Wszystkie łączy strategia artystycznego powtórzenia: protestu, sytuacji usłyszanej, relacji świadków zbrodni czy historycznych postulatów.

„Zbiórka na placu" (1983) Edwarda Dwurnika oddaje ducha epoki: polaryzacji, przemocy, propagandy. Artysta roztacza wizję bezlitosnego obalania elit. Z kolei Włodzimierz Pawlak odwołuje się do przejawów buntu wobec władz w PRL-u, antyrządowych napisów i karykatur, które były zamalowywane przez służby.

Rzeźba Mirosława Bałki „Chłopiec i orzeł" nawiązuje do mitu o Zeusie, który pod postacią orła kusi młodego Ganimedesa. Podczas pierwszej prezentacji rzeźby w 1988 r. praca została zdewastowana. Artysta odrestaurował rzeźbę, pozostawiając ślady agresji.

Kontrapunktem dla męskich narracji jest praca Lubainy Himid, zajmującej się kwestiami płci, władzy i rasy. „Puszka Pandory" pochodzi z wystawy „Pięć czarnych kobiet" z 1983 r. W męską sylwetkę obdarzoną monstrualnymi genitaliami wpisane są słowa „porno", „opresja" i „gwałt".

Sanja Iveković wskazuje na wykluczenie kobiet z oficjalnych narracji transformacji ustrojowej. Przerabia plakat Tomasza Sarneckiego, który towarzyszył pierwszym wolnym wyborom w Polsce w 1989 roku: kowboj został zastąpiony sylwetką kobiety. ©

Alina Szapocznikow, Przyjaźń, 1954 r.

Po lewej: hall Muzeum Sztuki Nowoczesnej, 2024 r.

Tworzywa sztuczne: ciała i towary

NATALIA SIELEWICZ, TOMASZ FUDALA

Fascynacja popkulturą i mediami jako elementami tworzącymi rzeczywistość była punktem odniesienia dla sztuki powojennej. Część wystawy zatytułowana „Tworzywa sztuczne" śledzi przemiany pragnienia i konsumpcji w sztuce oraz życiu społecznym od czasów zimnej wojny po współczesność.

Praca Sylvie Fleury wydobywa militarno-konsumenckie źródła i fantazje wokół tworzyw sztucznych. Używa kontrastujących barw, które podkreślają konsumpcyjny charakter. Kojarzy tytuł – „Silver Rain" – zarówno z praktyką seksualną, jak i manewrem wojskowym. W jej twórczości banalne przedmioty są włączane w kontekst sztuki. Fleury zadaje pytanie, kto decyduje o przyjemności i definiuje obraz kobiety w popkulturze.

Plastik, pleksi stają się podstawowym tworzywem rzeźb Aliny Szapocznikow i elementem kompozycji malarskich Evelyn Axell. Fosforyzująca paleta pojawia się także w obrazie Kiki Kogelnik „Kobieta i nożyczki" (1964). „Lampy" Szapocznikow dotykają traumatycznych wątków pamięci Holokaustu, a jednocześnie afirmują życie. Jej „Pierś iluminowana" to lampa udająca przedmiot codziennego użytku, która jednocześnie staje się ucieleśnieniem kobiecej seksualności.

W 1947 roku po raz pierwszy użyto terminu „wzornictwo przemysłowe" – miało ono pogodzić propozycje artystów, masowe potrzeby oraz model industrializacji jako priorytet nowego państwa. W rzeczywistości wzornictwo przemysłowe jest poszkodowane przez stan ekonomii. Kolorowe strony propagandowych czasopism nie znajdują przełożenia na towar w sklepach. Przedmiotem pożądania stają się produkty z tworzyw sztucznych. Ich dekoracyjne formy zaspokajają potrzeby estetyczne społeczeństw.

Magdalena Abakanowicz stworzyła osobną kategorię rzeźby. W 1967 roku płaskie dotąd tkaniny pokazała w przestrzeni jako trójwymiarowe rzeźby. Abakany zaskakują dużą skalą, zachęcają do fizycznej interakcji, która była oryginalnie intencją artystki.

Roman Cieślewicz używa kolażu i fotomontażu, a jego celem jest tworzenie „obrazów publicznych" dla masowego odbiorcy. W czasach odwilży eksperymentuje z estetyką konstruktywizmu oraz zapożycza z surrealizmu i ekspresjonizmu.

Seryjność produkcji plakatu była eksplorowana przez twórców pop-artu. Na wystawie prezentowana jest praca amerykańskiej artystki Sturtevant, która rozwinęła strategię polegającą na tworzeniu szczegółowych kopii dzieł znanych artystów. W sekcji „Tworzywa sztuczne" pokazujemy repetycję płótna Martiala Raysse'a. Sąsiadujące z portretem aktorki Ewy Stankiewicz i podświetlonym neonem kina Skarpa, płótno Sturtevant, zatytułowane „Raysse Peinture à haute tension" nawiązuje do obrazu Raysse'a „Peinture à haute tension".

Ważnym zjawiskiem było odwoływanie się do intymności i pop-artowej estetyki. Sztuka Natalii LL polemizuje z fotografią z kolorowych magazynów. Powstaje jeden z jej najbardziej ikonicznych cykli zatytułowany „Sztuka konsumpcyjna". Modelki dokonują aktu seksualizacji jedzenia. Bezkompromisowa seksualność tych prac unaoczniła stanowiska i systemy wartości organizujące ówczesne myślenie o feminizmie i wyzwoleniu.

W „Lego" Zbigniew Libera tworzy wykreowany z klocków zestaw do zbudowania obozu koncentracyjnego. Artysta jest uznawany za czołowego przedstawiciela nurtu sztuki krytycznej. „Lego" pokazuje, że systemy totalitarne mają zakorzenienie w codziennych decyzjach i w polityce opartej na rzekomo racjonalnych systemach ekonomicznych.

Artystki urodzone w latach 70. i 80. zadają pytanie o to, w jaki sposób obrazy „nieokiełznanego" i „zacofanego" Wschodu mogą być przetwarzane przez kulturę Zachodu. Instalacja Henrike Naumann „Eurotique" opowiada o modernizacji krajów nadbałtyckich. Z kolei „Bojaźń prowincji" to rekonstrukcja muralu namalowanego przez Paulinę Ołowską i Lucy McKenzie w ramach projektu „Marzenie prowincjonalnej dziewczyny".

Anna Ehrenstein bada stereotypy w zderzeniu kulturowym Wschodu i Zachodu. Tłem tych rozważań jest tożsamość artystki i miejsce, z którego pochodzi (Albania). Praca przedstawia postument z popiersiami dwóch postaci w hidżabach. Tytuł „Zen dla Hoejabi" jest grą słów: hidżab i hoe. Ten slangowy termin został zawłaszczony przez wyzwolone obyczajowo i seksualnie muzułmanki. Artystka, należąca do albańskiej diaspory w Niemczech, komentuje w ten sposób wojny kulturowe wokół wolności obyczajowej. ©

Magdalena Abakanowicz, Kompozycja monumentalna, 1973–1975

Cecilia Vicuña, Quipu menstrual, 2006 r.

Przenicowany świat

MAGDA LIPSKA, SZYMON MALIBORSKI

Tytuł zainspirowany został pracami Romana Stańczaka, należącego do pokolenia rozpoczynającego karierę w czasie transformacji ustrojowej. Wywracając na drugą stronę przemysłowe obiekty, artysta odsłania ich „nagie bytowanie". Sztuka idzie tropem tego gestu, traktując akt przenicowania jako zapowiedź nowych czasów.

Cecilia Vicuña używa czerwonej włóczki, charakterystycznego elementu prac pod nazwą „Quipu menstrual". Seria ta została zainicjowana performansem wykonanym na szczycie góry El Plomo. Parę miesięcy później Vicuña użyła pasm czerwonej wełny w pracy o tym samym tytule, które wertykalnie spływały z sufitu do podłogi, łącząc to, co wysokie, z tym, co niskie. Ich liczba odnosiła się do kobiecego cyklu.

Prace Cathy Wilkes balansują pomiędzy światem materialnym i niematerialnym. „Untitled" (2014) jest współczesną wersją sceny wanitatywnej. Jej dzieła odwołują się do pamięci ciała i wspólnych doświadczeń.

Z tkanin i materiałów tworzy Małgorzata Mirga-Tas. „Czerwiec" to jeden z dwunastu paneli serii stworzonej na Biennale w Wenecji. Praca nawiązuje do cykliczności świata, przywołując słynne freski w Palazzo Schifanoia w Ferrarze. W panelach odpowiadających dwunastu miesiącom artystka łączy symbolikę pałacu z romskimi odniesieniami.

Tau Lewis używa materiałów znalezionych. Interesuje ją ich „drugie życie". Taka strategia to odwołanie do powszechnie stosowanej metody twórczości czarnej diaspory – przetwarzanie jest nie tylko wynikiem braku, ale filozofią nastawioną na remiksowanie, samplowanie. „Angelus Mortem" jest przykładem takiego recyklingu materiałów i idei.

Nathalie Djurberg i Teresa Tyszkiewicz eksplorują w swoich pracach erotykę i ciemną stronę psychiki. Animacje dotyczą tabu ciała i seksualności, świata ukrywanych fantazji. Tyszkiewicz kwestie seksualności łączy z cierpieniem. Rzeźba „Totemy" nawiązuje do serii „prac szpilkowych", które wykonywała we Francji. Z czasem jej podstawowym materiałem stało się surowe drewno i odpady.

W 2005 r. ulewne deszcze zniszczyły pracownię Vivian Suter, co przyczyniło się do zmiany sposobu jej tworzenia. Zaczęła zostawiać swoje płótna na zewnątrz, akceptując działanie natury.

Praca Trương Công Tùnga jest połączeniem istot świata realnego i nierealnego. Kamera podąża za owadami poruszającymi się na tle telewizora. Widzimy polityków, banki, codzienne życie. Medialny świat rozgrywa się na drugim planie. Na pierwszym są owady przyciągane światłem telewizora.

Do ludzko-owadziej wspólnoty odwołuje się również Petrita Halilaja „Czy wiesz, że tęcza świeci nawet nocą?". Halilaj od dziecka identyfikował się ze skrzydlatymi stworzeniami. Były one sposobem na wyrażenie jego odmienności w tradycyjnej kulturze Kosowa. Szczególnie podziwiał ćmy, za ich wzorzyste skrzydła i zdolność do metamorfozy.

„Strachy" Daniela Rycharskiego to archiwum przemocy. Rycharski opowiada się za łączeniem światów, z których sam się wywodzi: polskiej wsi i queerowej wspólnoty. Instalacja nawiązuje do motywu strachów na wróble. Przenikają się w niej tematy religii, kultury chłopskiej i aktywizmu na rzecz osób LGBT+.

Doświadczenie przemocy eksploruje Kateryna Łysowenko. Po inwazji na Ukrainę jej malarstwo stało się świadectwem ukraińskiego doświadczenia. Pojawiają się figury stworzeń z mitologii greckiej i wschodnioeuropejskich legend. Odniesienia te pozwalają mówić w sposób uniwersalny o doświadczeniu wojny. Mural „Jedno życie" odnosi się do przedstawień żywotów świętych.

„Mama" to seria fotografii Anety Grzeszykowskiej opowiadająca o relacji matki i córki. W tym cyklu artystka staje się performowanym obiektem. Córka odgrywa dorosłość, używając do tego „ciała" matki – maluje ją, uczy palić papierosy, głaszcze. Ciało matki staje się poligonem doświadczalnym w procesie stawania się kobietą.

Wystawę zamyka grupa prac Alicji Żebrowskiej złożona z trzech rzeźb i serii rysunków z cyklu rzeźb mistycznych („Światowid", 1992; „Portyk", 1992; „Konstrukcja popędu", 1992). ©

Monika Sosnowska, Fasada, 2013 r.

Bezformie – sztuka wobec katastrof nowoczesności

ŁUKASZ RONDUDA

Nowoczesność widzimy jako autodestrukcyjny twór, który podlega procesowi przestawiania na bardziej równościowe tory. Czy zdąży stawić czoło katastrofom, które sama przyspieszyła lub wygenerowała?

W tej części wystawy prezentujemy prace, w których widzimy próbę uchwycenia ambiwalencji. Artyści sięgają po kategorię bezformia, która najpełniej wyraża paradoksy epoki nowoczesnej.

Bezformie to jedna z podstawowych kategorii estetycznych we współczesnym dyskursie o sztuce. Wprowadzona w latach 20. zeszłego wieku przez Georges'a Bataille'a, powraca do dziś pod różnymi postaciami.

W pierwszej części prezentujemy metafory biologiczne. Ta kategoria ogniskuje w sobie napięcia pomiędzy materią a formą i na wielu płaszczyznach podkopuje nowoczesny porządek. To w bezformiu, na którym oparte są prace Szapocznikow, Tyszkiewicz, Bartuszovej, Jaremy, materia dzieła sztuki emancypuje się względem nowoczesnej formy. Pozwala wprowadzić język w stan kryzysu, dokonać deklasacji znaczeń. Tym samym oczyszcza się z dotychczasowych projekcji związanych z zaangażowaniem oraz pozwala skupić na doświadczeniu cielesnym. Jednocześnie bezforemna materia prac tych artystek podważa funkcję formy artystycznej jako pośrednika między rzeczywistością a metafizyczną sferą sztuki. Podążając za przesłaniem tych prac możemy stwierdzić, że nowy uniwersalizm może czerpać siłę z pamięci porażek i katastrof.

W dalszej części wystawy bezformie wyłania się ze zderzenia abstrakcyjnej formy z reprezentacją rzeczywistości. W ramach każdej z tych prac język artystyczny ukazany jest jako element niemogący odnaleźć miejsca w historii. Łączy te prace istnienie na skrzyżowaniu, na granicy języków, dyskursów, często przeczących sobie.

Projekt Oskara Hansena „Pomnik Auschwitz" zakłada konfrontację sterylnej, geometrycznej drogi z realizmem ruin obozu koncentracyjnego zarastających roślinnością. Hansen zamierzał przez teren obozu poprowadzić szeroką asfaltową drogę. Z kolei reszta obozu znajdująca się poza drogą miała pozostać niekonserwowana, tak aby powoli niszczała, aż do całkowitego zniknięcia. Osoby odwiedzające obóz wychodząc od życia, miały przejść przez śmierć i wrócić znów do życia, ale już w zmienionym stanie.

Wilhelm Sasnal w pracy „Las" buduje obraz oparty na paradoksie. Abstrakcja podkreśla kryzys realistycznej reprezentacji, która jednocześnie uwydatnia kryzys abstrakcji. Paradoks pozwala z jednej strony odnieść się do Holokaustu, a z drugiej – dać wyraz kapitulacji przed próbą

stworzenia obrazu, który go w pełni wyrazi czy opisze.

Praca Teresy Margolles oparta jest na podobnej konfrontacji, tym razem modernistycznej idealnej formy z nićmi chirurgicznymi wyciągniętymi z ciał ofiar przemocy i nierówności.

Edi Hila zderza na jednym płótnie dwie rzeczywistości: czarną prostokątną plamę farby, odnoszącą się do rzeczywistości malarstwa, z realistyczną reprezentacją totalitarnej architektury Albanii.

Podobną dynamikę ma praca „Fasada" Moniki Sosnowskiej, odnosząca się do mitu wzniosłej, nowoczesnej budowli, który współistnieje z rozpadem i katastrofą tego mitu. Artystka przewrotnie powraca do modernistycznych fascynacji naturalnymi formami, dekoracyjnością kształtów natury. Sosnowska kreuje metaforę katastrofy nowoczesności.

Mające minimalistyczną formę i konceptualny wymiar prace Iwony Mysery zawierają w sobie rozpad i destrukcję. Ta ambiwalencja jest kluczowa dla jej twórczości.

Podobną dynamiką cechują się prace Piotra Łakomego, powstałe w wyniku przetworzenia modernistycznych figur wzorcowych, między innymi Modulora le Corbusiera. Praca artysty jest próbą zmierzenia się z tworzeniem idealnej formy oraz z jej równoczesnym nieuchronnym rozpadem.

W prezentowanych w dalszej części wystawy pracach Otobong Nkangi, Lawrence'a Abu Hamdana, Wolfganga Tillmansa, Isy Genzken, Jimmy'ego Roberta, Arthura Jafy i Agaty Bogackiej język abstrakcyjnego bezformia pojawia się jako najbardziej adekwatny język opisu i reprezentacji rzeczywistości społeczno-politycznej późnego kapitalizmu. ©

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 8/2025
REDAKCJA I FOTOEDYCJA: Jacek Taran
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
OPIEKA WYDAWNICZA: Mateusz Gawron
ZDJĘCIA W DODATKU: Maja Wirkus / / materiały prasowe MSN

PARTNER DODATKU
MSN MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA

ANNA GOC, dziennikarka. Na zdjęciu z redaktorem-seniorem ks. Adamem Bonieckim w redakcji „Tygodnika"

Dla „Tygodnika Powszechnego" opisuję historie ludzi i zwierząt. Dzięki reportażom jesteśmy blisko nich. Moja redakcja wierzy, że takie teksty mogą naprawić świat. Twoje 1,5% to pewna inwestycja w rzetelne dziennikarstwo społeczne.

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania? Zadzwoń: 12 426 53 31 lub napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

1,5%

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę

NOWE SZATY WAMPIRA

Dzisiejszy „Nosferatu" to ukłon złożony wielkim filmowym poprzednikom. Ale w równym stopniu nowej publiczności, która nie miała okazji ich poznać.

ANITA PIOTROWSKA

Trudno byłoby znaleźć w kulturze popularnej mit bardziej nieśmiertelny – żaden osinowy kołek ani świetlny miecz nie byłby w stanie wyrugować go z masowej wyobraźni. „Wampiry ukazywały się wszędzie tam, gdzie ludzie krwawili" – pisała Maria Janion w słynnej monografii zjawiska, cytując innego wampirologa, Leonarda Wolfa. A dalej, już swoimi słowami: „Można powiedzieć, że opowieść o wampirach tworzy alternatywną historię ludzkości, w której śmierć i zmartwychwstanie zyskują własną odrębną wykładnię". To dlatego ta ludzka/nieludzka postać, półżywa i półmartwa, wzięta z folkloru nie tylko słowiańskiego, stała się rezerwuarem tylu różnych znaczeń. Mało kiedy była po prostu wampirem.

Tanio i kreatywnie

Krwiopijca uosabiał więc „wszystkie nasze strachy": społeczny wyzysk, seryjne zabójstwa i seksualne transgresje; bywał metaforą AIDS, uzależnień, energetycznego wysysania i wszelakich odmienności. Albo tego, czego racjonalnie pojąć się nie dało. Rozpalał wyobraźnię romantyczną, bo za nic miał surową wiktoriańską obyczajowość i łatwo przeobrażał się z potwora w kochanka. No i miał ludowe korzenie, na każdym kroku przypominając, że przynależymy do świata natury.

Przede wszystkim wampir, jako Obcy rozsiewał wokół siebie aurę niesamowitości, niszcząc to, co znane i swojskie. Bywał wcieleniem zła na zewnątrz, jak i wewnątrz nas, przechwyconego potem i przełożonego na własny język przez psychoanalizę. W literaturze ukoronowaniem tych fascynacji i projekcji był oczywiście „Drakula", powieść gotycka autorstwa Brama Stokera, wydana na Wyspach Brytyjskich w 1897 r. Ćwierć wieku później z inspiracji tą właśnie lekturą, acz trochę okrężnymi drogami, wampir trafił na ekran.

Istota, która nie odbija się w lustrach ani nie rzuca cienia, znakomicie odnalazła się w krainie filmowych odbić

MATERIAŁY PRASOWE FOCUS FEATURES

NOSFERATU – *reż. Robert Eggers. Prod. USA/Czechy/Wielka Brytania 2024. Dystryb. UIP. W kinach od 21 lutego. Na zdjęciu: Willem Dafoe i Lily-Rose Depp*

i cieni, zwłaszcza w kraju Schillera czy Goethego. I od razu została bohaterem jednego z arcydzieł kina niemego. Niemiecki ekspresjonizm filmowy, czyli odpowiedź na zbiorowe lęki i niepokoje Republiki Weimarskiej po przegraniu Wielkiej Wojny, a jednocześnie nurt przeczuwający, co za chwilę w Niemczech nastąpi, przyjął wampira w poczet swoich potworów.

Ponieważ reżyser Friedrich Wilhelm Murnau nie uzyskał praw autorskich do sfilmowania „Drakuli", był zmuszony dokonać w adaptacji wielu zmian, również miejsca akcji, imion i tytułu. Tak powstał „Nosferatu – symfonia grozy" (1922), który na wiele lat ustanowił wampiryczną ikonografię i wprowadził do kina imię o niejasnej do końca etymologii, budzące skojarzenia z ciemnością i „niesamowitą Słowiańszczyzną". Charakterystyczna sylwetka transylwańskiego hrabiego, w czarnym odzieniu, z bezwłosą czaszką, szpiczastymi uszami, bladym licem, rozczapierzonymi szponami i oczywiście z nieludzkim uzębieniem, choć pojawia się na ekranie przez zaledwie kilka minut, będzie rządzić wampirycznym imaginarium jeszcze co najmniej pół wieku. Włączywszy słynny film „Nosferatu wampir" (1979) Wernera Herzoga, jakkolwiek po drodze pojawią się rozmaite wariacje.

Najważniejszy wydaje się dzisiaj kontekst społeczny. Ten pierwszy, czarno-biały Nosferatu był przecież „łaknącym krwi tyranem", jak pisał Siegfried Kracauer w książce „Od Caligariego do Hitlera" (tłum. Eugenia Skrzywanowa i Wanda Wertenstein). Bowiem „w tym czasie wyobraźnia Niemców, niezależnie od punktu startu, zawsze grawitowała w kierunku takich postaci – jak gdyby działając pod przymusem nienawiści i miłości zarazem". Równocześnie, zamiast przeciwstawiać się tyranii, mieszczańskie społeczeństwo wolało usypiające historie o przemianie wewnętrznej. W tym przypadku chodziło o pokonanie wampira przez niewinną Ninę. W ten sposób film Murnaua przyniósł, rzecz jasna nieświadomie, nie tylko zapowiedź nazizmu, ale i krytyczną diagnozę zbiorowej mentalności.

Przy okazji wprowadził do wampirologii nieznany wcześniej motyw niszczycielskiej siły światła. Był też, wzorem wielu dzieł z tego nurtu, małą rewolucją filmową. Lotte Eisner w książce „Ekran demoniczny" zwraca uwagę, że niewielki budżet zmusił Murnaua do ogromnej kreatywności. W pierwszej kolejności reżyser wyszedł z atelier, tak lubianego przez ekspresjonistów, i kręcił w plenerach, dając dzikiej naturze znaczącą rolę w tej opowieści. Nie mówiąc o wydobywaniu grozy z autentycznej architektury nordyckiego miasteczka, z ruchu postaci w kadrze czy pomysłowego montażu, które wespół przysłużyły się maksymalnemu „urealnieniu koszmaru".

Murnau stworzył dzieło, które jawiło się niczym „lodowaty podmuch wiatrów wiejących z zaświatów", jak pisał Béla Balázs, przywołany we wstępie przez Konrada Eberhardta, tłumacza książki Eisner. Nic dziwnego, że samo powstawanie filmu owiane było legendą. Mogliśmy powrócić do niej w „Cieniu wampira" (2000), gdzie także niemieckiemu aktorowi Maxowi Schreckowi przypisano wampiryczne właściwości. Zagrał go zresztą Willem Dafoe, który w najnowszej wersji „Nosferatu" wciela się, dla odmiany, w profesora von Franza, nawiedzonego okultystę i pogromcę wampirów. ↦

Rewolucyjny potencjał zmiany

O mały włos pionierski film Murnaua nie doczekałby się kolejnych żyć. Sprawa wytoczona twórcom przez wdowę po Stokerze sprawiła, że kopie ledwo ocalały przed całkowitym zniszczeniem. Tak zaczęła się niezwykle barwna filmowa „wampiriada", również ta z Nosferatu w tytule. Do niedawna głównym i poniekąd najwierniejszym admiratorem Murnaua był Werner Herzog, który uważał „Symfonię grozy" za największy film niemiecki wszechczasów. Nie nakręcił typowego remake'u, jego „Nosferatu wampir" podejmował natomiast twórczy dialog z filmowym „pokoleniem dziadków". Oto bowiem w rodzimym kinie lat 70. ujawniła się generacyjna przepaść – między młodszymi filmowcami (Herzog, Schlöndorff, Fassbinder, Wenders) a tworzącymi zaraz po wojnie „ojcami", pozbawionymi kreatywności, oderwanymi od niemieckich problemów i tradycji. Nie był też nowy „Nosferatu" nostalgicznym hołdem złożonym pierwowzorowi. A w odróżnieniu od wielu innych powstających wówczas horrorów o wampirach wyłamywał się z gatunkowych ram.

Twórca „Zagadki Kaspara Hausera" wraca do bardziej romantycznej wersji hrabiego Drakuli, także w sposobie obrazowania. Tak jak Orlok z niemego filmu był wyzutym z duszy upiornym straszydłem, tak tytułowy bohater Herzoga został ponownie uczłowieczony i bardziej nawet niż w oryginale Stokera jawi się istotą cierpiącą, osamotnioną, stęsknioną za bliskością. Skazaną na swoją nieśmiertelność i zarazem erotyczną, w czym bez wątpienia pomogła charyzma Klausa Kinskiego. Urodzony w Sopocie aktor wystąpił w głównych rolach u Herzoga aż pięć razy, stał się bohaterem jego dokumentu i przez cały czas wcielał w życie zbliżoną postać – trochę szaleńca, czasem geniusza, zawsze odmieńca.

Jako Nosferatu Kinski był ponoć prowokowany przez reżysera do podejmowania rozmaitych wysiłków, ażeby uzyskać przed kamerą upragniony efekt zmęczenia. Dochodziło też do poważniejszych nadużyć: 11 tysięcy białych szczurów laboratoryjnych, użytych w scenach epidemii, pomalowano na szaro i transportowano w koszmarnych warunkach. Dziś czytamy o tym z oburzeniem, wówczas jednak nie liczono się za bardzo z „humanitarnymi" kosztami, gdy chodziło o stworzenie arcydzieła.

A takowe bez wątpienia się narodziło. Poszczególne obrazy, sceny, postacie stały się wręcz ikoniczne, nie mówiąc o ścieżce dźwiękowej zachodnioniemieckiego zespołu Popol Vuh, eksperymentującego z muzyką sakralną i folkową. Fragment, w którym Lucy biega w panice po rynku miasteczka dotkniętego zarazą, owładniętego karnawałem życia i śmierci, a w tle Vocal Ensemble Gordela wykonuje gruzińskie „Cinckaro", nie daje o sobie zapomnieć. Podobnie jak kredowobiała twarz grającej ją Isabelle Adjani, jak Bruno Ganz w roli jej męża Jonathana czy Roland Topor w roli Renfielda, obłąkanego sługi Nosferatu.

Żeby osiągnąć efekt całkowitego zanurzenia się w filmowanym świecie, Herzog znajdywał lokacje w wielu miejscach Europy, głównie w holenderskich miasteczkach, a nawet świata (patrz: muzeum mumii w meksykańskim Guanajuato). Transylwanię zagrały tu Morawy, zaś widmową siedzibę wampira średniowieczny czeski zamek Pernštejn, jako że kręcenie w ówczesnej Rumunii nie było możliwe. Prezydent Ceaușescu, nazywany Słońcem Karpat, zbyt wiele miał w sobie z krwawego Vlada Palownika, zwanego Draculą.

Herzog starał się wydobyć z Nosferatu to, co przytłumiał bohater i film Murnaua – rewolucyjny potencjał zmiany. Mieszczańska krzątanina miała wiele wspólnego z nieumiarkowaną konsumpcją, pogonią za awansem i z chciwością, a postać Lucy sygnalizowała wypartą moc kobiecej seksualności, jeszcze bardziej sproblematyzowanej w najnowszej wersji. I tak jak film Murnaua powstał w dużej mierze z przeczucia katastrofy nadciągającej nad Niemcy i świat, tak film Herzoga, przy całym swym malarskim pięknie i romantycznej ikonografii, był w dużej mierze dzieckiem rozpolitykowanych i brutalnych lat 70., nazywanych w RFN „czasem ołowiu".

Wampir jako znak czasu

Właśnie wszedł do kin „Nosferatu" Roberta Eggersa, cudownego dziecka kina, które dekadę temu podbiło festiwal Sundance filmem „Czarownica. Bajka ludowa z Nowej Anglii", otrzymując nagrodę za reżyserię. Ten niskobudżetowy horror folkowy zarobił dziesięciokrotnie więcej, niż kosztował, i i utorował Eggersowi drogę do pracy z najlepszymi, za znacznie większe pieniądze. Szlachetną niszowość zachował jeszcze jego następny tytuł, „Lighthouse" (2019), ekscentryczny czarno-biały horror z Robertem Pattinsonem i Willemem Dafoe, pełen seksualnych aluzji i mitologicznych symboli. Ale już trzy lata późniejszy „Wiking" był kawałem filmowej epiki, unurzanej we krwi i błocie, z tabunem gwiazd na pokładzie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MATERIAŁY PRASOWE X3

NOSFERATU – SYMFONIA GROZY (1922), reż. Friedrich W. Murnau. W pierwszym filmie z tym bohaterem w tytule hrabia Dracula został z powodów prawnych przemianowany na Orloka. Jest uosobieniem zła absolutnego, a całość ma wyraźnie chrześcijańską wykładnię. Zarówno w treści, jak i formie skupia się na odwiecznej opozycji światła i ciemności.

NOSFERATU WAMPIR (1979), reż. Werner Herzog. Ten film czerpie więcej z Murnaua niż z literackiego pierwowzoru Brama Stokera, będąc zarazem bardzo osobną – poetycką, malarską, filozoficzną – wizją romantycznego potwora. Oraz prawdziwym mistrzostwem w kreowaniu filmowej atmosfery, dla wielu niedościgłym po dziś dzień.

NOSFERATU (2024), reż. Robert Eggers. Długo wyczekiwany powrót bohatera na ekrany miał być także powrotem do „macierzy", czyli do bardziej folkowej tradycji wampirycznych przedstawień. Powstało mroczne, imponujące rozmachem widowisko, gdzie najważniejsze jest kino. Co ciekawe, po raz pierwszy wampir wbija tutaj swoje kły nie w szyję ofiary, ale prosto w jej serce.

Choć „Wiking" nie odniósł sukcesu artystycznego ani kasowego (i niekoniecznie z powodu pandemii), nikogo nie zdziwiło, że to właśnie Eggers miał przywrócić do życia najsłynniejszego wampira. W końcu mało kto ośmielał się potraktować gatunek kina grozy tak sugestywnym naddatkiem estetycznym. A i czas wydawał się szczególnie sprzyjający – zdążyło minąć prawie pół wieku od wielkiego niemieckiego poprzednika, no i przyszło nam żyć w czasach zarazy, podobnie jak bohaterom książkowego „Drakuli" i współczesnym Murnaua, doświadczonym przez grypę hiszpankę.

Powiedzieć, że dzisiejszy „Nosferatu" jest rasowym horrorem, to zarówno mu przyklasnąć, co wyrazić rozczarowanie, że jest wyłącznie tym. Eggers z zapałem rzeźbi w gatunku i celowo nie przekracza jego ram, doprowadzając do perfekcji samo wykonawstwo. Malowniczo postarza i brudzi trzymane w rękach szlachetne tworzywo, stąd tak często mówi się, że jego Nosferatu to film „trzewiowy", „organiczny", „perwersyjny"... Przy czym ostatni epitet wcale nie musi oznaczać wyjątkowości, jako że hołd złożony klasykowi Murnaua sprzed wieku dużo bliżej ma do postmodernistycznego „Draculi" Coppoli z 1992 r. Czyli do ociekającej zmysłowością historii o tym, że miłość zwycięży siły ciemności. Jednakże groza u Eggersa tak bardzo bywa przeładowana i przesterowana, iż trudno uwierzyć w jej oczyszczające moce. Można jedynie się nią napawać – tylko ileż można?

Ten film jest piękny i zarazem odpychający, mniej o miłości, a znacznie bardziej o śmierci. Również tej „małej", przeżywanej w seksualnej rozkoszy, bo przecież Ellen, zagraną z dużym poświęceniem przez Lily-Rose Depp, od lat łączy z tytułowym wampirem wyraźnie erotyczna więź. Jej postać wzorowana była na frenetycznych bohaterkach Andrzeja Żuławskiego – w „Trzeciej części nocy", „Diable", „Opętaniu".

Sam Nosferatu, cielesny nie tyle w swym erotyzmie, ile w cielesnym rozkładzie, i wręcz groteskowy jako charczący Orlok z długim włosem i wąsem rodem z rumuńskiej „bajki ludowej", to także figura zupełnie inna od tej u Murnaua i Herzoga. Gra go ledwie trzydziestodwuletni Bill Skarsgård, ucharakteryzowany nie do poznania, z głosem ustawionym – jak sam mówił – „niczym mongolski śpiew gardłowy". Długo nie widać go wyraźnie. Przybywa do niemieckiego miasteczka ze wschodnioeuropejskiego Mordoru, tu: z prawdziwego zamczyska w rumuńskiej Hunedoarze. Mamy skądinąd w filmie sporo innych autentycznych plenerów, głównie w Czechach, oraz udział romskich naturszczyków. Czym jednak miałoby być to wampirze ukąszenie? Jakiego rodzaju szaleństwo, nieczystość, zło ze sobą niesie? Eggers zdaje się nie przejmować tym za bardzo i owa niedookreśloność bywa momentami atutem filmu, o ile nie jest nadmiernie celebrowana. Paradoksalnie, służy jej ów gęsty klimat etno i wierność historycznym szczegółom.

Niewiele jednak zostaje po tym ponaddwugodzinnym spektaklu grozy, utrzymanym konsekwentnie w dwóch tonacjach kolorystycznych. Po baśni z dwuznacznym finałem, jednocześnie emancypacyjnym i eksploatacyjnym – jeżeliby z którejkolwiek strony wziąć na serio opowieść Eggersa o tajemnicy kobiecej seksualności, sprzężonej z somnambulizmem, mylonej ongiś z histerią, melancholią czy opętaniem. Nie przypadkiem cztery nominacje oscarowe przyznane temu filmowi dotyczą strony wizualnej: za zdjęcia, scenografię, kostiumy i charakteryzację. W każdej z tych kategorii film sobie zasłużył i być może dziś masowemu widzowi nie trzeba niczego poza ucztą dla zmysłów. I, jak się okazuje, ponad doraźne egzorcyzmy bliżej nieokreślonego lęku. Dlatego niektórzy gotowi są widzieć w nowym „Nosferatu" na przykład opowieść o... depresji. Jeśli nawet ją romantyzuje i odmawia uzdrowienia, to – patrząc na frekwencję w kinach całego świata – gdzieś trafia ze swoim pesymistycznym przekazem. Może do tej części widowni, która nie załapała się na wcześniejsze wcielenia Nosferatu i dostaje jego mit w wydaniu bardziej „korzennym", krwawiący w duchu nowej wrażliwości, w obezwładniającej efektami formie. To zapewne też jest jakiś znak czasu.

© ANITA PIOTROWSKA

Kręć się wiatraku

PIOTR PAZIŃSKI

Oto Prorok z Grochowa, który porównuje się do Chrystusa i Mojżesza. Obiecuje wyprowadzić swój lud z dzielnicy – ale nie za Wisłę, lecz do najgłębszych piwnic, gdzie da się spokojnie przeczekać najgorsze, ale też to i owo zrozumieć.

MACIEJ ZIENKIEWICZ / FORUM

Marek Bieńczyk. Warszawa, 2018 r.

Pamiętam, było to jeszcze w ubiegłym wieku, gdy Marek Bieńczyk – w swoim sławnym traktacie „Melancholia" – przywołał Charlesa Baudelaire'a na świadka wielkiej przebudowy Paryża. Trafny wybór. Któż inny, opłakujący stare zaułki wyburzane pod nowe bulwary i kamienice, nadawał się do tej roli? Kto lepiej wyraził ideę melancholijnego podmiotu, jak nie ów romantyczny dekadent i obserwator zanikania dawnych form miejskiego życia?

Czytelnicy może pamiętają, że Baudelaire i Paryż służyli wtedy Bieńczykowi również jako pretekst dla jego własnych ćwiczeń z utraty. Prowadził je w scenerii może skromniejszej niż okolice Luwru, za to w epoce nam bliższej, zaangażowawszy postać jakby znajomą – pisarza Jana Jo Rabendę, faceta z „odwiecznie gorszej" prawobrzeżnej Warszawy.

W prześwitach

Do „Melancholii" (1998) wprowadzony tylnymi drzwiami, obecny też w innych książkach Bieńczyka (np. w zbiorze „Jabłko Olgi, stopy Dawida", 2015, jako fan zapomnianej czeskiej powieści o futbolu), na kartach najnowszej książki, wydanego właśnie „Ronda Wiatraczna" (2025), Rabenda się nie pojawia. Cóż z tego, skoro reprezentuje go narrator niezwykle doń podobny, inteligent, ale i po trosze miejski włóczęga, bywalec lokali gastronomicznych raczej podrzędnej kategorii, niekiedy odrobinę łobuziak, w każdym razie człowiek, który znał prawdziwych łobuziaków. Chłopak z kwadratu, który tu się urodził i tu spędził kawał życia.

Bieńczyk osadził go w konkretnej przestrzeni – zawężonej do jednej prawobrzeżnej dzielnicy, Grochowa – i jak Rabendzie kazał przemawiać w pierwszej osobie, czyniąc przewodnikiem i depozytariuszem pamięci o miejscu, kronikarzem namacalnej miejskiej codzienności, dawnej i współczesnej. Powstała, jak to u Bieńczyka, książka z pogranicza beletrystyki i eseju, gdzie wracają ulubione tematy: sport, męskość i przemijanie, widmowość podmiotu czy natura wspomnienia, ale w innych proporcjach, nadto w znajomym, lecz dawno niesłyszanym tonie. Ton ów, rzec trzeba, jest tu i ówdzie wobec dotychczasowego pisarstwa Bieńczyka wyraźnie polemiczny. Cóż, zmienił się narrator, czas płynie, zmieniła się perspektywa. Przejaśniło się. Przejaśniło się u Bieńczyka? Ano właśnie.

Zacznijmy od melancholii, by prędko się z nią pożegnać. Otóż w tamtej książce twórczość Rabendy była zwierciadłem alegorii, w której „czas naszego istnienia przemienia się w formy przestrzenne i ujawnia w postaci ruin i szczątków", znowuż każda rzecz, „nawet najmniejsza, najbardziej codzienna, nieistotna, staje się cząstką jednego procesu degradacji, jego jeszcze jednym odczytanym śladem". Rabenda opłakiwał utratę (zanikanie miasta), próbując przy tym namierzyć nieuświadomiony obiekt, dotrzeć do źródeł smutku. Narrator „Ronda Wiatraczna" postępuje odwrotnie. Chyba mu łatwiej, bo już wie, co stracił.

„Zatem odwrotnie, bez opłakiwania". Ten mocny akord, wygrany zaraz na początku książki, wyznacza oś narracyjną, określa jej podskórny nerw. Przemiany pejzażu stanowią naturalną kolej rzeczy. Owszem, szkoda starych knajp, wysiudanych przez banki i sieciówki, żal każdej ceglanej rudery, gdzie jeszcze do niedawna tliło się życie, każdego niezabu-

dowanego wygonu porośniętego łopuchami. Żal Kawczej i Pustelnickiej. Ale siła płynąca z przemiany stanowi o witalności Grochowa, a poniekąd – Bieńczyk stale nam przypomina – nas samych. Nie jest to zła lekcja. W przeciwnym razie czeka nas „zawsze ta sama historia, od minionych żalów po wieczne nieutulenie".

Nie znaczy to, że melancholia nie upomina się o swoją daninę. Narrator spłaca ją elegancko, w duchu Brunona Schulza (kolejny świetny pisarz, który sięga po niego tak nieostentacyjnie, ostatnio robili to u nas Piotr Sommer i Eliza Kącka), pisząc, iż sens dzielnicy zasadza się na istnieniu niewidzialnych rzeczywistości równoległych, pasm czasu, płaszczyzn przestrzeni.

Owe boczne nurty rzeczywistości nie powstrzymują przemijania, ale też nie paraliżują. Już raczej pozwalają swobodniej manewrować sobą – istotą biologiczną i społeczną – przebierać w realności jak w jabłkach na placu Szembeka. Rzadkie momenty objawienia, w olśnieniu lub pod wpływem substancji, nazwie Bieńczyk prześwitem. Słowo ze światłem w środku. Konkretne, wskazujące przejście między blokami.

Przejściowo

Ale jedźmy na Grochów, śladem narratora, który donikąd jechać nie musi, bo z Grochowa się wywodzi i Grochowem poprzerastany, jakoś nie czuje potrzeby, by tym razem podróżować daleko. Nie doświadczymy więc w „Rondzie Wiatraczna" Francji, nie popijemy wina. Także wyprawę za ocean, mimo że dla narratora i jego kumpli miała charakter poniekąd formacyjny, potraktowano po macoszemu. Ba, nie ma tu nawet Warszawy, jest autonomiczna wspólnota grochowska o nieoczywistej ontologii. Bieńczyk nie kryje sympatii do swego matecznika, co nie przeszkadza mu w rozmaitych wiwisekcjach. Grochowa i samego siebie.

Czym jest Grochów? Najogólniej mówiąc, chodzi o środowisko geograficznie i społecznie niedookreślone, które mimo całkiem długiej historii nie może się zdecydować, czym jest i do czego przynależy – do miasta, jako jedna z dzielnic, czy do obszarów podmiejskich – i z tego niezdecydowania czerpie siłę. Ani elegancki, ani sławny, nawet złodziejską sławą pobliskiej Pragi, niezgłaźny i pozornie matowy, rozbabrany, ale dynamicznie się rozwijający – Grochów żywi się sprzecznościami i pozwala Bieńczykowi pohulać.

Odzwierciedla to topografia. Grochowia City rozpościera się na dużym obszarze, ale granice ma nieostre, miąższość niejednorodną. Jak westernowe miasteczka gęstnieje wzdłuż głównej ulicy Grochowskiej, która „mimo tylu zagrożeń nie pozwala dzielnicy zamienić się w breję". Jak miasto w fantazjach średniowiecznych filozofów posiada własne narządy. Serce, tytułowe Rondo Wiatraczna, wieniec arterii i ośrodek wiecznego ruchu kołowego, oraz płuca (choć może bardziej pasowałby, na modłę paryską, żołądek), czyli plac Szembeka z targowiskiem, więc jakby kawałkiem wsi w mieście.

Reszta składa się na tyły: przecznice, bloki, podwórka, boiska, puste place. Tam właśnie, w strefach „zagrożonej bylejakości" – określenie Mirona Białoszewskiego, wielkiego piewcy tego, co w mieście przejściowe – kwitnie (a może kwitło?) intensywne życie społeczne. Bieńczyk kreśli pejzaż ludzki, wymierza i testuje własną peryferyjność, nie popadając we wspomnieniową nostalgię. Ta bowiem, wyrodna siostra melancholii, jest tu dziewczynką do bicia. Snobowania się na grochowskość Bieńczyk nie lubi, skłonny jest wyszydzać współczesne klubokawiarnie, które jakoby zastąpiły podwórkowe wspólnoty.

Cóż jednak z życiem społecznym? Jako że idzie o dzielnicę wielkomiejską, ale nie całkiem, proletariacką, lecz nie do końca, ludzie są tu „klasowo skundleni", trochę tacy, trochę śmacy, mocno przemieszani, zwłaszcza (tu narrator Bieńczyka sięga lat peerelowskiej podstawówki, z jej, mimo wszelakich dystynkcji, egalitaryzmem) w dzieciństwie, najdalej nastoletniości. Później ów idylliczny obraz się zamazuje. W poprzek ludzkiej podwórkowej wylęgarni idą, czy raczej ujawniają się z całą mocą podziały. Ktoś jest z inteligencji (niechby tej gorszej, grochowskiej), ktoś z ludu. Tyle bycia razem: „Znaliśmy się, rozpoznawaliśmy, później coraz mniej".

Zostają koleżanki i koledzy. Jednym się powiodło, innym nie. Grochów nie był kuźnią wielkich karier, lecz to nie znaczy, że ludzie pomarnowali życie. Więc mija się ich – póki człowiek mieszka na dzielni i póki wraca – na klatce schodowej, pod sklepem, w przelocie na ulicy, a potem mijać przestaje. Któregoś dnia więź się kończy, twarz rozmywa w tłumie, ktoś przepada na zawsze, ktoś inny, o kim coś wiemy, umiera. Z tęsknotą (jest tu tęsknota, ukazuje się w prześwitach) narrator radzi sobie nieźle. Czy dlatego, że akurat on przeprawił się na tamten brzeg?

Tu i tam

Właśnie, tamten brzeg. To Andrzej Stasiuk tak mocno zarysował w literaturze polskiej mit tego i tamtego brzegu, za punkt obserwacyjny obrawszy rodzinny Grochów, z Kozią Górką, Szembekiem i kanionem alei Waszyngtona, skąd przy dobrej pogodzie widać wieżowce Śródmieścia, „prawdziwe miasto" za wielką rzeką. A tutaj Grochów, warszawski Brooklyn przy Manhattanie, niskopienny przedsionek miasta, stacja końcowa dla tych, którzy wyrwali się skądeś i do Śródmieścia się nie wybierają, albo przeciwnie, aspirują, wybierają się, ale dotrzeć nijak nie mogą.

Opozycję prawego i lewego brzegu Wisły również grochowianin Bieńczyk ogrywa w wielu wariantach. Przedmiasto i miasto właściwe. Miasto niezgłaźne i miasto niegdyś dokumentnie zburzone. Miasto, gdzie szło przeżyć wojnę, i miasto, gdzie przepadli krewni matki. Miasto szkoły i klubu sportowego i miasto onieśmielających inteligenckich salonów. Przy czym w każdym wariancie – może z wyjątkiem czasu wojny – Grochowowi czegoś brakuje. Nawet ciała tutejszych mieszkańców są niegotowe, jakby dopiero „na dorobku", wciąż nie dość wyraźne, choć bywa, że przedwcześnie zaharowane.

„Miejsce łatwych westchnień i prostych marzeń, mościło się czy też łudziło za rzeką. Do nas co najwyżej można było zawitać albo u nas zagościć, łaskawie uświetnić nas swoją obecnością, tam się przyjeżdżało". To perspektywa człowieka prawobrzeżnego, odtwarzana po latach. Z drugiej strony, narrator na szczęście nie zamierza udawać, że nie zdobył wykształcenia, nie został historykiem literatury i nie przekładał francuskich humanistów. Choć tych ostatnich jest tu jakby najmniej. W „Kontenerze" (2018), książce o chorobie i śmierci matki, Bieńczyk przywoływał ich co chwila. Na świadków brał Prousta i psychoanalityka Pierre'a Fédidę. Można wręcz odnieść wrażenie, że budował parawan z erudycji. ↦

W „Rondzie Wiatraczna” takich przeplotów nie dostajemy. Erudyta się wycofuje, jego oczytanie ujawnia się co najwyżej między akapitami. I zaraz znika. Ulice wracają do nazw, miejsca na własne miejsce, wszystko staje się na powrót rozpoznawalne. „Grochowska znów była Grochowską, a Kaleńska Kaleńską”. Ta operacja literacka wymaga nie tyle nowego języka, ile pewnej konwersji uwagi. Wskoczenia w raptownie otwierający się prześwit, który jest „inną, lepszą możliwością wciąż tego samego. Zmianą, która nie zmienia, lecz wiele przynosi”. Narratorowi „Ronda” przyniosła, czy raczej pozwoliła odzyskać coś, co było tak silnie obecne w „Terminalu” (1994) i „Tworkach” (1999), wczesnych powieściach Bieńczyka, a później, naturalną koleją rzeczy, zaczęło zanikać – chłopackość.

Na luźniejszym Grochowie chyba o nią łatwiej niż w sztywnym Śródmieściu. Może stąd powrót na dzielnię?

Ja, pojedynczy Grochów

„Od (...) roku życia mieszkałem sam” – takie sformułowanie powtarza się w książce wielokrotnie, zmienia się tylko liczba lat: sześć, osiem itd., co każe pomyśleć, że narrator albo nie ma wielkiego pojęcia o własnej przeszłości, albo kpi z nas w żywe oczy. Albo, przywdziawszy łobuzerską maskę, pragnie zaproponować nam coś ważnego.

Nie darmo na dzielni nazywano narratora Prorokiem, a on sam dość chętnie porównuje się do Chrystusa i Mojżesza. Grochowski prorok wieszczy rychłe nadejście „zbełtanych czasów”, obiecuje wyprowadzić swój lud z dzielnicy – ale nie za Wisłę, lecz do najgłębszych piwnic, gdzie da się spokojnie przeczekać najgorsze, ale też to i owo zrozumieć.

Przede wszystkim jednak nasz narrator, oswobodzony z profesorskiego gorsetu, niczym klasowy nicpoń z oślej ławki kwestionuje domyślny porządek, wywraca na nice szacowne doktryny filozoficzne, szydzi z bogów i szatanów, obśmiewa Kartezjusza, Freuda, Derridę, Bourdieu, a nawet (rzecz w pewnych kręgach inteligenckich niewybaczalna) samego Didiera Eribona.

Ot, weźmy nauki społeczne. Przyzwyczajono nas, także w toku lektury „Ronda Wiatraczna”, że poręcznym narzędziem objaśniania relacji międzyludzkich na grochowskich podwórkach jest kategoria klasy. Akcentowano determinizm. Raz z ludu, zawsze z ludu. „Tymczasem na Grochowie zdarzały się rzeczy, które socjologom się nie śniły”. Tutaj miejsce poprzedza klasę społeczną. Stadion Orła i błysk nieba w Olszynce Grochowskiej (tak, tej od bitwy, która jest dla Grochowa przepustką do wielkiej historii i szkolnych podręczników) istnieją dłużej niż marzenia o awansie czy przywileje. Albowiem – bezczelność tego stwierdzenia zmusza nas, byśmy uwierzyli Prorokowi na słowo – „Grochów to ja”. Ja zwielokrotniony, w różnym wieku, z różnych matek, ojców, środowisk.

Ja zbiorowy? Bynajmniej. Prorok wystrzega się takich uogólnień, jego mesjańska obietnica, obietnica buffo i całkiem serio, zasadza się na zwielokrotnieniu.

Na pozór bowiem, skoro miejsce kształtuje człowieka, mieszkańcy Grochowa, wychowani na tych samych ulicach, między Grochowską a torami kolejowymi, powinni być do siebie podobni. Ale nie są. I nie przynależność społeczna o tym decyduje. Cóż zatem? Kluczowy – jak to w pisaniu o mieście – jest czynnik topograficzny. „Tyle map, ilu mieszkańców”. „Dla Sedesa ważna była mapa kocia (...) dla mnie – termiczna i świetlna”.

Wielość pojedynczych, niepowtarzalnych Grochowów składa się na dzielnicę. Czasem bywa, że ścieżki się przecinają, przenikają. Dochodzi do spotkania albo kolizji. Zjawiają się Magda, Sedes, Krzywy, ktoś z kimś znów idzie na randkę nad Jeziorko Kamionkowskie, w Małej Czarnej ktoś zamawia kawę z wódeczką, czyjaś twarz miga w oknie pokoju nad bramą. Czyjś los – chłopaka, dziewczyny, bo jeśli jest chłopackość, to musi być i dziewczyńskość, bez tego nie ma świata – jawi się w prześwicie. Jak to na Wiatraku, wszystko jakoś się kręci. Coś się odzyskało.

© PIOTR PAZIŃSKI

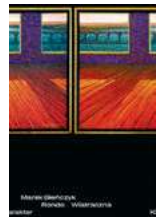

Marek Bieńczyk, **RONDO WIATRACZNA**, *Wydawnictwo Karakter, Kraków 2025*

Berlin, zwrot akcji

ANNA PAJĘCKA Z BERLINA

To miasto było wzorcem polityki kulturalnej. Teraz politycy Alternatywy dla Niemiec (AfD) jako zwolennicy „kultury ludowej” walczą głównie z teatrami. Uznają je za wymysł burżuazji i oskarżają o to, że są „politycznie zorientowane na lewo”.

Kolorowe płachty wywieszone na fasadach teatrów i muzeów, bilbordy z hasłem „#BerlinIstKultur” to nie kolejna akcja promocyjna w mieście, na które kulturalna Polska od zawsze spoglądała z zazdrością. To reakcja na budżetowe cięcia w edukacji, transporcie, ale i kulturze właśnie. Rządząca w Berlinie koalicja CDU/SPD musi znaleźć 3 miliardy euro oszczędności w 40-miliardowym budżecie miasta.

Kultura ma oddać do budżetu 130 milionów euro. To prawie 13 proc. środków, jakie Berlin przeznacza na utrzymanie tego sektora w ciągu roku. 170 muzeów, 400 galerii sztuki jest finansowanych lub współfinansowanych przez miasto. Idzie na to nieco ponad miliard euro. To i tak mniej niż 3 proc. pełnego budżetu miasta.

Nie ma szans, by tak duże cięcia nie odbiły się na kondycji placówek. W listopadzie ubiegłego roku artyści protestowali, w grudniu izba deputowanych przegłosowała cięcia, na początku roku instytucje mierzą się z przystosowywaniem budżetów do nowej rzeczywistości.

Cięcia, cięcia, cięcia

Pierwsza ofiara redukcji? Publiczność muzeów. Od grudnia 2021 r. w każdą pierwszą niedzielę miesiąca wstęp do

STEFAN BONESS / EAST NEWS

Artyści i pracownicy kultury protestują przeciwko drastycznym cięciom budżetowym w tym sektorze. Berlin, 29 listopada 2024 r.

muzeów był darmowy. Obcięcie darmowych niedziel ma przynieść miastu do 2 milionów euro oszczędności. Średnia cena biletu wstępu do muzeum w Berlinie to 12 euro. W darmowe niedziele sale wystawowe były pełne, a do wystaw czasowych ustawiały się wielogodzinne kolejki.

Dzisiaj niewiele instytucji może pozwolić sobie na zachowanie darmowego dnia. Nie wszystkie mają możliwość pozyskania sponsorów z rynku. Neue Nationalgalerie, muzeum sztuki nowoczesnej zarządzane przez Klausa Bisenbacha, zawarło kontrakt z Volkswagenem, co pozwoliło instytucji na zorganizowanie otwartych czwartków. Jednak nowoczesna infrastruktura, duże nazwiska światowych gwiazd sztuki przyciągające sponsorów, to nie jest zasób, jakim dysponuje każda instytucja. Producent samochodów szybciej wybierze dla promocji marki modernistyczne wnętrza zaprojektowane przez Ludwiga Miesa van der Rohe niż nobliwą Wyspę Muzeów. Co czwartek w Neue Nationalgalerie na wejście na wystawę czeka się dwie, trzy godziny. Każda z berlińskich instytucji otrzymała wyznaczony do zrealizowania cel. I tak na przykład Berlinische Galerie, muzeum będące w posiadaniu jednej z najciekawszych kolekcji sztuki niemieckiej, musi zaoszczędzić 700 tysięcy euro, na początku stycznia dołożono kolejne 130. Modna galeria C/O Berlin – 150 tysięcy.

18 milionów euro zabrano z programu Kulturraum, powołanego do finansowania sal prób i dotowania najmu pracowni dla artystów. To było wieloletnie, istotne wsparcie dla osiedlających się w Berlinie twórców. Dzisiaj myślą oni o wyjeździe. Dotowanie pracowni artystycznych i sal prób to europejski standard. W Polsce prowadzą je Warszawa, Kraków, Szczecin, w zeszłym roku także Białystok ogłosił, że lokale w budynku przy pałacyku Hasbacha zostaną przeznaczone na tani najem dla twórców.

Po grudniowych protestach poinformowano, że oszczędzone zostaną duże instytucje, takie jak Deutsches Theater i Berliner Philharmoniker. Ostatecznie wycofano się także z decyzji o odebraniu półtora miliona euro teatrowi Schaubühne. To miał być cios dla instytucji, szczególnie że ze względu na ceny energii koszt utrzymania dwóch scen wzrósł w ostatnim roku o prawie 700 tysięcy euro. Tylko teatralne instytucje uchroniły się w pierwszej rewizji budżetu. W Niemczech teatry są w przeważającej większości publiczne – podobnie jak w Polsce, choć to u naszych zachodnich sąsiadów scena już dużo mocniej uzwiązkowiona. Dlatego tak często porównuje się system kultury niemieckiej do polskiego. Nasze systemy są ewenementem na skalę europejską, więc berlińska sytuacja znalazła spory oddźwięk w Polsce. Jest jak zła wróżba.

Najłatwiej zabrać klubom

Burmistrz Berlina Kai Wegner zasłynął stwierdzeniem, że „kasjerki nie powinny musieć dokładać się do subsydiowania opery". Sama ta wypowiedź podważa sens funkcjonowania publicznych instytucji w ogóle, nie tylko w kulturze. Innym razem stwierdził, że „w ostatnich latach na kulturę po prostu wydaliśmy za dużo pieniędzy". Sam Wegner za nadwyrężenie finansów Berlina, które zmusiły władze do wdrożenia polityki oszczędności, wini poprzednią lewicową administrację i „inicjatywy związane z klimatem, które wydrenowały budżet".

Jeszcze dwa lata temu berlińska koalicja obiecywała środowiskom twórczym, że do 2026 r. budżet na kulturę zostanie sukcesywnie podwyższony do osiągnięcia 2 miliardów euro. Tutejsza scena kulturalna była przez lata pompowana jako nowe niemieckie dziedzictwo. Podawana za przykład innym stolicom. W sektorze kultury w Berlinie zatrudnionych jest ponad 160 tysięcy osób. To więcej niż zatrudnia przemysł kreatywny w całej Polsce.

W mieście żyje około 30 tysięcy niezależnych artystów. Poza zagrożonymi miejscami pracy, ludzie kultury obawiają ↦

↦ się ujednolicenia oferty kulturalnej. Gdy okazało się, że senat musi zrewidować pierwotne założenia budżetowe, wycofano się z zabrania środków reprezentatywnemu teatrowi czy filharmonii. Cięcia przeniesiono gdzieś indziej. Gdzie? Na kulturę klubową, niezależną, niezależne inicjatywy edukacyjne dla młodzieży czy rezydencje artystyczne, na które zjeżdżali artyści z całego świata.

Na początku stycznia 2024 r. Joe Chialo z CDU, berliński senator kultury, ogłosił, że publiczne środki będą powiązane z podpisaniem przez instytucje tzw. klauzuli antydyskryminacyjnej, argumentując, że „fundusze publiczne nie promują rasistowskich, antysemickich, wrogich queer lub w inny sposób wykluczających wyrażeń". Jednak ta decyzja nie miała chronić mniejszości, ale zamknąć usta krytykom Izraela, który zaczynał wówczas interwencję w strefie Gazy.

Już w październiku 2023 r. na cenzurowanym znalazło się Oyoun, centrum zlokalizowane na wielokulturowym Neukölln, które miało publiczne finansowanie zagwarantowane od 2022 do 2025 r. Dotacja wynosiła około miliona euro rocznie. Przyczyną wstrzymania środków była propalestyńska postawa, m.in. organizacja wydarzenia „Żydowski Głos na rzecz Sprawiedliwego Pokoju na Bliskim Wschodzie", z udziałem laureatów Nagrody Pokojowej w Getyndze. Według komentatorów z CDU, pomimo że instytucja jednoznacznie potępiła zbrodnie Hamasu, zbyt relatywnie podchodziła do sytuacji na Bliskim Wschodzie, bo wprost wspominano o palestyńskich ofiarach w Gazie. Przyczyną bezpośrednią było to, że zaproszona organizacja, Jüdischen Stimme, zorganizowała propalestyńską demonstrację w Berlinie, w której wzięło udział dziewięć tysięcy osób.

Wymysły burżuazji i orientacje

Ten silny spór, dotyczący zarówno kwestii konfliktu polityki instytucji publicznych z polityką państwową, jak i skali cięć, odzwierciedla nastroje w niemieckiej polityce. W ostatni weekend lutego Niemców czekają wybory (pisze o nich Łukasz Grajewski w dziale Świat). Sondaże pokazują, że sprawa jest przesądzona o tyle, że rządy przejmie prawica. Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna prowadzi, o drugie miejsce walczą lewicowa SPD i skrajnie prawicowa AfD, ale ta druga wysuwa się na znaczące prowadzenie. I właśnie to AfD przywołują artyści komentujący zmiany w polityce kulturalnej Berlina. To nie tylko sprawa berlińska – komentują.

AfD ma dość precyzyjną agendę w obszarze kultury, którą poparłby pewnie Kai Wegner, burmistrz Berlina – radykalne cięcia wydatków publicznych na kulturę, większa prywatyzacja pozyskiwania środków, współpraca z biznesem. Mniej pola na edukację i różnorodność.

Marc Jongen, deputowany do Parlamentu Europejskiego z ramienia Alternatywy dla Niemiec, jest uznawany za mózg polityki kulturalnej. Ten za swojego mistrza uważa słynnego niemieckiego filozofa Petera Sloterdijka, jest elegancki i nosi szare garnitury, nie głosi, że kultura Niemiec opiera się na piwie, jak inny kojarzony z tym tematem ekscentryczny polityk partii AfD, Hans-Thomas Tillschneider. Są różni, ale zgadzają się w jednym: w tym, że kultura ma służyć do „wyostrzenia świadomości narodu niemieckiego". Nie ma więc tam wiele przestrzeni na wielokulturowość, która budowała niemieckie sceny. Jako zwolennicy „kultury ludowej" politycy AfD walczą głównie z teatrami, które uznają za wymysł burżuazji, oskarżają o to, że prawie nie grają niemieckich sztuk i są „politycznie zorientowane na lewo", choć w przekazach AfD określane jest to raczej jako „poprawne politycznie".

Inna kwestia podnoszona przez AfD to przekonanie, że instytucje publiczne, dotowane za niemieckie pieniądze, przekazują „krytyczny wizerunek Niemiec", za bardzo skupiają się na takich zagadnieniach jak transformacja energetyczna, imigracja, feminizm lub różnorodność, szczególnie produkując treści krytyczne dla swojego państwa. Nie trzeba jednak wyobraźni, aby uzmysłowić sobie, jak będzie wyglądała polityka kulturalna pod rządami lub współrządami AfD. W Saksonii, Saksonii-Anhalt i Turyngii AfD współrządzi od czerwca zeszłego roku.

W kampaniach politycy AfD na potęgę produkowali krytykę wymierzoną w instytucje i artystów, choćby mówiąc o „szmatławym proletariacie i niedoszłych artystach, którzy są przekarmiani przez państwo, podczas gdy tworzą sztukę, którą nikt tak naprawdę nie jest zainteresowany" – twierdzi Hans-Thomas Tillschneider, dzisiaj członek parlamentu landowego w Saksonii-Anhalt. Wśród jego dokonań w tym regionie jest zeszłoroczny sprzeciw wobec obchodów rocznicy stulecia Bauhausu w Dessau. Bauhaus jest uznawany przez AfD za „błąd nowoczesności". Hans-Thomas Tillschneider powtarzał: „Nie może być tak, że Bauhausu nie wolno krytykować i że jest do pewnego stopnia święty i nie-

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

HALIL SAGIRKAYA / ANADOLU / GETTY IMAGES

Dwa lata temu berlińska koalicja obiecywała środowiskom twórczym, że do 2026 r. budżet na kulturę zostanie podwyższony do 2 miliardów euro. W sektorze kultury w Berlinie zatrudnionych jest ponad 160 tysięcy osób, to więcej niż zatrudnia przemysł kreatywny w całej Polsce. Tymczasem AfD ma dość precyzyjną agendę: radykalne cięcia wydatków publicznych na kulturę, większa prywatyzacja pozyskiwania środków, współpraca z biznesem.

Na zdjęciu: przygotowania przed 75. Międzynarodowym Festiwalem Filmowym Berlinale. Berlin, 11 lutego 2025 r.

tykalny, tylko dlatego, że był prześladowany w narodowym socjalizmie". AfD ma wyraźną awersję do nowoczesności, dlatego sytuacja, w której ta opcja miałaby realny wpływ na politykę kulturalną Niemiec, dla pracowników kultury i artystów jest czarnym scenariuszem.

Przestroga

Wojna podjazdowa państwa niemieckiego z artystami trwa, nie tylko w Berlinie i nie tylko na poziomie ekonomicznym. W Niemczech dawno nie rozmawiało się tyle o tym, jak powinna być finansowana kultura, mimo że to jeden z najlepiej uzwiązkowionych krajów, broniący praw artystów i pracowników w sposób zinstytucjonalizowany. Jak to się skończy? Senat Berlina debatuje nad przesunięciem kolejnych środków, instytucje czekają w niepewności kolejne tygodnie. Niektórzy dowiedzieli się o utracie środków, rozwiązali kontrakty, aby po dwóch tygodniach usłyszeć, że u nich cięć jednak nie będzie. Nie wiadomo, jakie instytucje uchronią się przed cięciami, a na które zostaną przekierowane konieczne do zaoszczędzenia środki. W połowie lutego na Bebelplatz odbędzie się kolejny generalny strajk pracowników i twórców kultury, a przez następne dni w instytucjach zaplanowane są dyskusje i programy towarzyszące akcji protestacyjnej.

Sytuacja w Berlinie pokazuje nam, że system państwowego mecenatu nad kulturą jest kruchy i może być groźnym narzędziem w rękach polityków. W Polsce Konfederacja także uważa, że publiczne pieniądze nie powinny być wydawane na kulturę.

Berlin przywykł, że kultura dzięki temu, że jest publiczna, może być dostępna, darmowa lub tania. Prawicowy rząd berliński pierwsze cięcia wycelował w darmowe niedziele – uderzy to w najbiedniejszych, którzy nie mogą pozwolić sobie na bilety. Dla AfD mniej wizyt w muzeach oznacza „mniej indoktrynacji lewackimi treściami". Dla tych, których nie stać na wizyty w instytucjach, będzie dostępna kultura wskazywana im i udostępniana przez państwo, zgodna z linią opowiadającą o „wielkich Niemczech". Cięcia w kulturze stają się także narzędziem politycznym dla karania niewygodnych instytucji, które próbują bronić swojej niezależności i niezależnego programu. Jeśli przez lata Polska patrzyła na Zachód, a Warszawa na Berlin, to teraz może trzeba spojrzeć na niego jako na przestrogę.

© ANNA PAJĘCKA

Lektor:
Tajemnicza wyspa

▪ *Jeff Biggers*
SARDYNIA. PODRÓŻ W CZASIE
Przeł. Barbara Gadomska. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, ss. 440.

Nowe tomy czarno-białej serii „Sulina" ukazują się nadzwyczaj często. No i co za różnorodność – jak pisze wydawca, „historia, antropologia, proza podróżna, reportaże, eseje"... Bywają rzeczy niezmiernie ważne (choćby „Śmierć w bunkrze" Martina Pollacka), zdarzają się rozczarowania. Jak można napisać książkę o Morawach, pomijając Ołomuniec! – jako zaprzysięgły miłośnik tego miasta poczułem się dotknięty.

Na Sardynii nie byłem nigdy, ale książka Biggersa (Amerykanin, rocznik 1963) mnie zafascynowała. Jest w niej wszystko: i historia, i kultura, i portrety ważnych postaci wywodzących się z tej wyspy, i krajobraz, a wszystko to z bardzo osobistej perspektywy, poza przewodnikowym schematem. I tak nasycone treścią, że często trzeba cofać się w lekturze, by nie pogubić wątków. Ale też jest o czym opowiadać: miejsce, gdzie rozwijały się przedrzymskie cywilizacje w epoce brązu, kraj zagadkowych kamiennych wież, nuraghes, i splątanej historii, przy całej swej odrębności odgrywający istotną rolę w powstaniu państwa włoskiego. Kraj z własnym językiem, a właściwie językami, z pisarzami tworzącymi po sardyńsku i po włosku. Wśród tych ostatnich jest noblistka Grazia Deledda, jest Giuseppe Dessì, autor „Krainy cieni", Salvatore Satta, autor „Dnia sądu" i Gavino Ledda, autor „We władzy ojca" – by wspomnieć tylko tych, których możemy czytać po polsku, podobnie jak Antonia Gramsciego, komunistę i wybitnego myśliciela, ofiarę faszyzmu. Nazwisk – także nieznanych u nas poetów, także plastyków i muzyków, jak wspaniała pieśniarka Maria Carta – jest tutaj mnóstwo.

Ten portret Sardynii ma też wymiar polemiczny. „Teza, że Sardynia jest »pustą sceną«, wysunięta przez Greków i Rzymian oraz nowożytnych pisarzy, budzi śmiech – pisze Biggers. – Potrzeba kilku muzeów, żeby odpowiednio wyeksponować pozostałości dynamicznych cywilizacji, nieustannie ewoluujących, o niezwykle bogatej kulturze, które rozwinęły się na wyspie". I obrona, zrodzona z uczucia, dotyczy także współczesności. Bieda, okrucieństwo (tak dobitnie pokazane w ekranizacji powieści Leddy autorstwa braci Tavianich), porwania – owszem, także. Latem 1979 r. porwano dla okupu mieszkającego na Sardynii, a pochodzącego z Genui sławnego pieśniarza folkowego Fabrizia De André. Uwolniony (po niemal pół roku!), pozostał jednak na wyspie, jak pisze Biggers, „nieodmiennie nią zafascynowany"... ©℗

OLGA

Drenda:
Niskie pobudki

Jakiś czas temu zdarzyło mi się być świadkiem wyklucia się na świat mini-Robespierka. Objawił się pod postacią dalszej znajomej, osoby zaradnej, zamożnej i wykształconej, którą do tej pory kojarzyłam z tyleż mądrych, co niezobowiązujących rozmów o muzyce. Gdy jednak ugrupowanie polityczne, z którym sympatyzowała, zaczęło odnosić sukcesy, pokazała się ze zgoła innej strony, racząc słuchaczy prześladowczymi fantazjami. Nie były to typowe groźby, na jakie łatwo natknąć się w internecie (gdzie ludzie, jak przypuszczam, traktują często interakcje jak wyżywanie się w grze komputerowej i do jakiegoś stopnia uważają, że to na niby). Ona swoją własną osobą i na żywo sygnowała wizję, w której ludzie, którzy nic jej nie zrobili, a nawet tacy, których znała, ale coś jej w nich widocznie nie odpowiadało, zasługiwali na ciężkie roboty, a przy pomyślnych wiatrach może i łamanie kołem.

Nie jest to jedyny znany mi przypadek, kiedy w kimś niespodziewanie objawił sie malutki oprawca. Na ogół nie jest to człowiek zgnębiony życiem (choć biorę poprawkę na to, że nigdy nie wiemy wszystkiego), a z pewnością nie na życiowym dnie. Zaskakująco często obserwuję, że pierwsi do chwytania za kamienie są ci, którzy w życiu nie mają na co narzekać i lubią to podkreślać. Wystarczy po prostu, że pojawiają się właściwe okoliczności, a ci już stoją w blokach startowych, bo JUŻ MOŻNA. Ich krwiożercza satysfakcja budzi zdumienie, a zwłaszcza jej skala: w zemście za rzeczy małe są oni gotowi dokonywać rzeczy strasznych.

Dobrze by było, gdybyśmy mieli samo dobro

OLGA DRENDA

Filozofia od wieków męczy się z pytaniem, skąd zło. Czy rzucane w powietrze abstrakcyjne pogróżki to już zło, trudno orzec; wszak w wyobraźni wszystko wolno, a słowa to często tylko rzucana w afekcie przypadkowa sałatka. Gdy jednak ktoś coś tak jawnie i z lubością ogłasza, to wolę jednak traktować te deklaracje poważnie i pamiętać na wszelki wypadek, co brzydkiego kiedyś z kogoś wyszło. Najważniejszą lekcją z obcowania z Robespierkami była jednak dla mnie nauka o tym, gdzie wyczerpuje się potencjał spójnego wyjaśniania sobie świata, gdzie pęka sieć przyczyn i skutków.

Chętnie tutaj powtarzam, że obecnie jesteśmy zaczarowani przez tendencję do poszukiwania wszędzie wyjaśnień z klucza nauk społecznych. Jakkolwiek przydatny i otwierający oczy, ma on w sobie zakodowany pewien defekt: daje ulgę pozornej logiki, łączenia kropek, i przedstawia pożądany stan docelowy. Złudna obietnica kryje się w założeniu, że gdy coś wystarczająco dobrze opiszemy, opatrzymy nazwą i statystyką, to stanie się możliwe do opanowania, „zarządzalne". Musi być jakiś powód, powiada psychologia czy socjologia; ktoś nie zaznał miłości w domu, ktoś został odrzucony za młodu, ktoś żyje w nieustannym lęku, ale przecież wystarczy odrobina pracy, żeby stał się na powrót obywatelem zrównoważonym. W takiej perspektywie nikt naprawdę nie chce źle, a czyjeś egzekucyjne marzenia to naprawialny błąd oprogramowania. W końcu każdy ostatecznie chce spokoju i dobrego życia, prawda?

Przypadkowość i zarazem ostentacja brutalnych deklaracji skłaniają mnie ku temu, by mocno w ten klucz wątpić. Pouczające bywają lektury o ludziach totalitarnych reżimów; odsłaniają one potęgę niskich pobudek i pielęgnowanych latami drobnych uraz, które potrafią kierować ludźmi. Okazuje się wówczas, że ktoś jest w stanie wytropić, odnaleźć i wysłać na śmierć człowieka, który kiedyś nie odpowiedział mu na dzień dobry, nie docenił należycie jego wiersza, odmówił wystawienia sztuki, nie zgodził się w dyskusji, dał tróję na egzaminie, kogoś, kto dostał w konkursie wyróżnienie czy stypendium – on, a nie ja!

Zwykłe sytuacje życiowe, zbiegi okoliczności, rzeczy drobne i w gruncie rzeczy mało ważne okazują się wtedy wystarczającym powodem do pognębienia bliźniego. Naukowy ogląd świata wraz z „naprawialnymi" kategoriami, takimi jak niskie poczucie własnej wartości czy niepewność siebie, nie wystarczają, by zrozumieć tę absurdalną dysproporcję; znacznie trafniejsze wydają się kategorie rodem z literatury i kina, jak małostkowość, podłość czy brzydota charakteru, albo lepiej – postacie je uosabiające. Twórczość nie dostarcza natychmiastowych wyjaśnień, uwalnia od konieczności poszukiwania przyczyny i skutku, i pomaga czasem pojmować czy przyjmować do świadomości sprawy, które racjonalny opis świata kurczy, a wreszcie – pozbawia absurdalności i grozy. A o nich, jak sądzę, warto pamiętać – i może lepiej nawet zostawić dla nich margines niezrozumienia. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo: *Amerykańskie wynalazki*

Cztery papierosy dziennie – skąpo, ale dobre i to. Dziś to nie do pomyślenia, żeby państwo zachęcało do palenia. Dawne to były czasy, kiedy oficerowie z Pentagonu zdecydowali, żeby do racji żywnościowej, którą fizjolog Ancel Keys (stąd znana wszem wobec „racja K") opracował dla US Army idącej na wojnę z Japonią i Niemcami, dorzucić papier toaletowy i fajki. Dobry dowódca widzi ludzi z ich potrzebami, naukowiec-moralista widzi wykresy i ideały. Keys najpierw sprawił, że całe pokolenie amerykańskich chłopców znienawidziło czekoladę i suchą kiełbasę. Potem zaś, gdy nad połową świata zapanowała dzięki tymże chłopcom *Pax Americana*, zagościł w cywilnych spiżarniach i jadalniach: otóż opracował i narzucił dietę śródziemnomorską.

Gdy przez kuchenny lufcik wpada mi kakofonia sprzecznych teorii na temat tego, co począć, gdy Ameryka bierze rozbrat z Europą, choć raz czuję się na siłach, by zabrać głos w sprawie geopolitycznej. Skoro już nie należy padać na twarz przed Ameryką, dajmy sobie wreszcie spokój z ową dietą. To amerykański wymysł, postulat zdrowotno-moralny, a nie żaden opis rzeczywistości znad ciepłego morza. Ludzie nad nim mieszkający są niewatpliwie szczęśliwsi, ale niekoniecznie dlatego, że jedzą chleb z oliwą, warzywa i owoce.

Ancel Keys był pionierem epidemiologii chorób serca, które kosiły Amerykanów, i słusznie założył, że ma to coś wspólnego ze sposobem odżywiania (prasa go nazywała *Mr Cholesterol*). Kupił sobie willę nad morzem w Kampanii i stamtąd prowadził rozległe badania terenowe – pobierał kampańskim i kalabryjskim kmieciom krew i prowadził kronikę ich jadłospisów. Willę nazwał Minnelea – pierwszy człon od rodzinnego Minneapolis, drugi od starożytnej Elei, która była w pobliżu. Tak, to ta Elea od Parmenidesa. Kolebka ontologii. To tam po raz pierwszy umysł grecki, a więc także – bądźmy dla siebie łaskawi – nasz, dumał o bycie niezmiennym, niedostępnym zmysłowo, poddanym wyłącznie rozumowi.

Tak jak bytu Parmenidesa nikt na oczy nie widział, tak też było z dietą śródziemnomorską w latach 50., kiedy ekipa Keysa prowadziła swoje „badania". Istnieją świadectwa, jak to Amerykanie odchodzili z domów z kwitkiem, bo akurat tego dnia śródziemnomorska rodzina nie miała nic na obiad. Niezbywalnym składnikiem, podstawą piramidy każdej tzw. kuchni ubogiej, jest głód. Niedostatek. Chłopi z Kampanii jedli więc mało albo nie to, co trzeba – wypieki z mąki kasztanowej lub żołędzi, wszelkie zielsko, a jeśli z rzadka maścili, to świńskim tłuszczem. Oliwa była dobrem luksusowym. I aż do XIX w. szła w lwiej części na eksport jako paliwo do lamp. Zresztą, smalec czy oliwa – dla tętnic żadna różnica, jeśli się jada tłusto nie częściej niż co parę tygodni.

Keys wiedział, że Amerykanie w szczycie powojennego bogacenia się nie będą słuchać o zaletach niedojadania. Żeby wpłynąć na zmianę jadłospisów, mógł podczepić się pod świeże tropy kultury masowej. Rzym z „Rzymskich wakacji" mało miał wspólnego z prawdziwym miastem. Co z tego, skoro dobrze się sprzedawał? Ameryka zakochiwała się w dalekiej Arkadii, gdzie na skuterach jeżdżą sami piękni, szczęśliwi i zdrowi. Wystarczy jeść tak jak oni. W późnym wydaniu swojej najważniejszej książki Keys przyznał, że jego dieta to „względnie nowy wynalazek". Dla dobra ludzkości.

Po 50 latach ten wynalazek zaczyna niestety służyć jako alibi dla promocji każdego produktu *made in Italy*, nawet takiego, który należałoby jeść raz na miesiąc. Oraz obrony przed każdą próbą wprowadzenia np. rekomendacji zdrowotnych. Powściągliwość w jedzeniu parmezanu i szynki San Daniele byłaby ciosem dla i tak konającej gospodarki.

To jak? Zaczniemy wreszcie jeść z umiarem po naszemu, bez czerpania wzorców z amerykańskiej fabryki snów? Zgodnie z własnymi tradycjami doprawionymi rozsądną dawką dobrodziejstw globalizacji? To by była dopiero cenna autonomia strategiczna!

PAWEŁ BRAVO

Skumbrie w tomacie

Dobrodziejstwem globalizacji są np. łatwo dostępne przetwory pomidorowe Mutti z Włoch, dzięki którym danie z polskiej tradycji poetycko-politycznej staje się naprawdę świetnym, łatwym i zaskakująco smakowitym obiadem.

Składniki: dwie tuszki makreli 400 ml przecieru pomidorowego (czyli tzw. passata) 150 g dobrych zielonych oliwek ▪ garść kaparów w soli ▪ oliwa ▪ sól ▪ skórka cytrynowa

W garnuszku podgrzewamy oliwę, wlewamy przecier, dodajemy pozbawione pestek i pokrojone oliwki oraz przepłukane kapary. Dusimy na wolnym ogniu kwadrans, żeby się przegryzło. Wlewamy sos na dno brytfanki (warstwa ok. 0,5 cm), układamy umyte i posolone rybki, do których włożyliśmy kawałki skórki z cytryny. Nacinamy w paru miejscach skórę, pieczemy w 180 st. C pół godziny. Podajemy np. z kaszą jaglaną albo polentą. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

ZMYSŁY

MOTYL NA ŚNIEGU

Nie od razu go złapali. Najpierw śledzili.
Ze zdziwieniem zauważyli, że delikatnie podlatuje nad śniegiem,
a gdy wychodzi słońce – przysiada, rozkłada skrzydła i wygrzewa się.
Ale co tu właściwie robi?

ANNA GOC

Oczy ma „kasztanowe, owłosione, z mlecznobiałym kołnierzem”. Głaszczki wargowe „dwa razy dłuższe od głowy”. Czoło „z kępką długich, czarnobrązowych włosów”. Czułki „sięgające dwóch piątych długości skrzydła wzdłuż krawędzi kostalnej, smukłe, ciemnobrązowe, przeważnie nagie”. Tułów „czarny, pokryty na grzbiecie krótkimi i rzadkimi, złotobrązowymi, owłosionymi łuskami”.

Nivaliodes negrobueno, czyli motyl śnieżny („nivalis” – z łaciny „śnieżny”), został odkryty na przełęczy Abra Negrobueno w peruwiańskich Andach przez zespół prof. Tomasza Pyrcza z Instytutu Zoologii i Badań Biomedycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

– Na wysokości 4800 metrów zobaczyliśmy nagle czarnego, dużego motyla, który leciał powoli nad śniegiem. „Stop! Co to było?!” – krzyknął któryś z nas. Zahamowaliśmy z piskiem, wypadliśmy z samochodu i pobiegliśmy za nim – mówi prof. Pyrcz.

Przystanek na czarnej skale

Prof. Pyrcz zaprasza do dużej sali na uniwersyteckim kampusie, w której są motyle z całego świata, łącznie blisko siedemset tysięcy okazów. Schowane w wysokich szafach, uporządkowane według regionów świata, z których pochodzą. Wśród nich największy na świecie zbiór motyli południowoamerykańskich.

Dołącza do nas dr Rafał Garlacz z Centrum Edukacji Przyrodniczej UJ, który badał między innymi motyle w andyjskich lasach mgłowych i był uczestnikiem wielu wypraw naukowych w Ameryce Południowej.

– Czterech biologów z wieloletnim doświadczeniem w badaniach motyli w wysokogórskich Andach i żaden z nas dotąd nie widział tak dużego motyla, który żyje tak wysoko – prof. Pyrcz wspomina wrześniowy poranek 2021 r., gdy odkryli motyla śnieżnego.

Tamtego dnia nie od razu go złapali. Najpierw śledzili. Ze zdziwieniem zaobserwowali, że motyl delikatnie podlatuje nad śniegiem, a gdy wychodzi słońce – przysiada, rozkłada skrzydła i wygrzewa się.

– Od razu wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z unikalnym gatunkiem. Motyl, którego obserwowaliśmy, żył o ponad pięćset metrów wyżej niż inne motyle z tej grupy – opowiada prof. Pyrcz. – Jego najbliżsi krewni występują w lasach tropikalnych na wysokości około dwóch i pół tysiąca metrów. W dużo bardziej stabilnych i sprzyjających warunkach. Temperatura utrzymuje się tam na podobnym poziomie przez cały rok, a od wiatru motyle chroni to, że żyją w gęstym lesie.

Motyl śnieżny, jak go później nazwali, funkcjonuje w warunkach półpustynnych – zwykle na piargach wysokogórskich, gdzie pada śnieg i wieją huraganowe wiatry, które osiągają prędkość nawet do stu kilometrów na godzinę. Życie utrudniają też duże amplitudy temperatur: w dzień może tu być osiemnaście stopni, w nocy temperatura może spaść do minus dwudziestu.

– Mieliśmy takie sytuacje w wysokich Andach, gdzie mogliśmy ustać tylko w ten sposób – mówi prof. Pyrcz i wstaje, by przyjąć pozycję skoczka narciarskiego wychodzącego z progu. – Wiatr i tak spychał nas ze ścieżki. Możemy więc sobie wyobrazić, co tak mocny wiatr potrafi zrobić z delikatnymi skrzydłami motyli.

– Jakie strategie na przetrwanie ma motyl śnieżny? – pytam.

– Wiemy o nim sporo, ale wciąż nie wszystko – odpowiada prof. Pyrcz. – Od razu zauważyliśmy, że preferuje czarne skały, które szybko się nagrzewają. Przysiadając na skale może pobierać energię cieplną, która się od niej odbija. Gdy temperatura zaczyna spadać, szuka wyłomów skalnych i wczołguje się do środka. W ten sposób chroni się przed wysuszeniem i zamarznięciem – mówi prof. Pyrcz. – W trakcie badań okazało się, że hemolimfa motyla śnieżnego, czyli owadzi odpowiednik krwi, zawiera substancje, takie jak glikole, które sprawiają, że nie zamarza – dodaje.

Jeden na trzy lata

Żeby upewnić się, że mają do czynienia z nowym gatunkiem, przeprowadzają cały szereg badań – morfologicznych i molekularnych.

– Skrzydła motyli są pokryte łuskami, które tworzą deseń, i na tej podstawie możemy dokonać pierwszej identyfikacji. W dalszej kolejności badamy aparaty kopulacyjne samca i samicy, bo u motyli ich skomplikowana budowa jest charakterystyczna dla danego gatunku – wyjaśnia dr Garlacz.

Pierre Boyer, współpracownik zespołu profesora Tomasza Pyrcza, tuż przed schwytaniem pierwszego motyla Nivaliodes negrobueno. Peruwiańskie Andy, wrzesień 2021 r.

INSTYTUT ZOOLOGII I BADAŃ BIOMEDYCZNYCH UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO / MATERIAŁ PRASOWY

Dlatego tak ważny jest jak najbardziej szczegółowy opis motyla: głowy, tułowia, skrzydeł oraz odwłoka. Oczu, czułków, głaszczek. – Owady uskrzydlone mają charakterystyczne użyłkowanie, coś w rodzaju szkieletu, na którym rozpostarta jest błona skrzydeł. Jeśli wiemy, że pewne cechy mogą pomóc w określeniu gatunku, staramy się opisać jak najwięcej szczegółów – mówi dr Garlacz. – Podobnie jeśli pewne cechy są charakterystyczne dla większych grup gatunków, ale ulegają w toku ewolucji pewnym modyfikacjom, należy te zmiany wychwycić i opisać.

Kolejnym krokiem są badania genetyczne.

Jeśli badacze złapią jeden okaz motyla z nowego gatunku, szukają kolejnych. – Zdarza się, zwłaszcza w przypadku motyli, które występują w gęstych lasach tropikalnych, że znajdziemy jednego osobnika, a następnego dopiero po dwóch, trzech latach. Sytuacja jest łatwiejsza, jeśli motyle występują wysoko w górach, na łąkach czy piargach, gdzie są lepiej widoczne – mówi prof. Pyrcz. – Wtedy wystarczy krótka penetracja obszaru, żeby odłowić kolejne. Jeśli jednak nie udaje się złapać drugiego okazu, pojawia się dylemat, czy opisywać nowy gatunek na podstawie badań jednego osobnika, czy czekać, aż pojawi się dłuższa seria. Co bywa mało prawdopodobne, bo żeby się udało, trzeba pojechać w to samo miejsce, o tej samej porze roku i trzeba mieć szczęście.

Przy opisywaniu nowego gatunku biolodzy wskazują, który okaz spośród zebranych będzie tzw. holotypem – to na jego podstawie opisuje się gatunek lub podgatunek.

– To jest bardzo istotne z punktu widzenia taksonomii. Cała reszta okazów pochodzących z tego samego miejsca to są tak zwane paratypy – mówi prof. Pyrcz. – Opisanie ich jest równie ważne, bo może się okazać, że holotyp ulegnie zniszczeniu, choć zbiór naukowy powinien być odpowiednio zabezpieczony, by holotyp mógł być przechowywany jak najdłużej. Jeśli jednak holotyp ulegnie zniszczeniu, trzeba wyznaczyć go na nowo.

Miejsca nieodkryte

Tropikalne Andy – gdzie bioróżnorodność jest najwyższa na świecie, a liczba obszarów dotąd nie eksplorowanych przez biologów wciąż duża – interesowały Tomasza Pyrcza, ówczesnego doktoranta w Instytucie Zoologii UJ, od lat 90., i najpierw prowadził tam badania na własną rękę. Jest autorem opisu ponad trzystu nieznanych wcześniej gatunków motyli.

Pierwszą wyprawę w Andy wenezuelskie zorganizowali w 1996 r. z prof. Januszem Wojtusiakiem, wieloletnim kierownikiem Muzeum Zoologicznego UJ, jednym z najważniejszych polskich entomologów. Poznali się dużo wcześniej na Uniwersytecie w Nsukka, w Nigerii. W Andy wyjeżdżali przez kolejne trzydzieści lat regularnie: dwa lub trzy razy w roku na kilka tygodni. Budowali sieć współpracowników na miejscu – głównie w Peru, Ekwadorze, Kolumbii, Boliwii, a także w Wenezueli, dopóki sytuacja polityczna na to pozwalała. Jeździli także do Ameryki Środkowej: Meksyku, Gwatemali i Kostaryki.

Większość badań prowadzą na wysokości od trzech do pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza. – Zespół musi się aklimatyzować. Dlatego raczej unikamy sytuacji, gdy z poziomu morza wjeżdżamy od razu na cztery tysiące metrów. Dwa dni staramy się spędzić na dwóch tysiącach, potem dwa na czterech i dopiero potem zaczynamy badania na pięciu tysiącach metrów – mówi prof. Pyrcz.

INSTYTUT ZOOLOGII I BADAŃ BIOMEDYCZNYCH UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO / MATERIAŁ PRASOWY X2

Nocne łowy

Na początku ich sprzęt i jedzenie wwożą na górę muły, nierzadko korzystają z pomocy lokalnych tragarzy. Teraz coraz częściej wjeżdżają samochodami terenowymi.

Wynajmują pokoje w niewielkich górskich pensjonatach, a jeśli takich nie ma w okolicy, proszą o nocleg mieszkańców lub rozbijają namioty. Ważne, by od miejsca badań dzieliły ich najwyżej trzy godziny drogi pieszo. – Pamiętam trzecią noc w ekwadorskich Andach, na aktywnym wulkanie Tungurahua. Spaliśmy na wysokości prawie czterech tysięcy metrów, w szopie, której użyczył nam gospodarz. Wieczorem dołączyły do nas krowy, o których możliwym towarzystwie nam nie wspomniał – opowiada dr Garlacz.

Przygód mają więcej. Podczas jednej z wypraw do Peru otoczyli ich miejscowi, pasterze krów. – Jedna z droższych wypraw, w której korzystaliśmy z pomocy wojskowych helikopterów, by dostać się na teren trudno dostępny. Rdzenni mieszkańcy najpierw wystraszyli się helikopterów, a potem ludzi, którzy rozświetlili nocą las. Zorganizowali się w grupę kilkudziesięciu osób uzbrojonych w strzelby. Otoczyli nas i zażądali wyjaśnień – opowiada prof. Pyrcz. – Pokazaliśmy im siatki na motyle i zebrane owady. Opowiedzieliśmy o naszej pracy. Dopiero wtedy uznali, że nie jesteśmy dla nich zagrożeniem.

Przed rozpoczęciem badań przedstawiają się lokalnym mieszkańcom. Zwłaszcza jeśli mają w planach także odłowy nocne. – Kilka osób, w sztucznym świetle, roztaczającym poświatę, do tego światło ultrafioletowe. Nietrudno wskrzesić

Zebrane w terenie motyle w kopertach.
Po lewej: profesor Tomasz Pyrcz w peruwiańskich Andach, na wysokości ponad 4500 m n.p.m., wrzesień 2021 r.

w ten sposób opowieści i legendy peruwiańskie o Pisztako, demonicznej istocie mordującej ludzi – mówi dr Garlacz.

Jeśli znajdują się w miejscach zapalnych, trudnych politycznie, a nawet niebezpiecznych, przygotowują się. – W Kolumbii jeździmy z dokumentem wydanym przez lokalną uczelnię, który gwarantuje nam „bezpieczeństwo ze wszystkich stron" – mówi prof. Pyrcz. – „Wszystkich", to znaczy wojskowych i partyzanckich. Zdarzało się, że na granicę kolumbijsko-wenezuelską jechali w towarzystwie policjanta.

– Im jednak wyżej w górach, tym bezpieczniej. I nie chodzi tylko o to, że mniej tam jadowitych węży i skorpionów – dodaje.

Kuszące odchody

Na każdą wyprawę zabierają: siatki entomologiczne, pułapki, pęsety, szpilki. Koperty, pudełka do zabezpieczenia materiału. W walizkach mają też kable i żarówki do nocnych odłowów. Niemałych rozmiarów generator prądotwórczy, który zwykle wzbudzał zainteresowanie w czasie kontroli na lotnisku, zastąpili powerbankiem.

Harmonogram wypraw mają szczegółowo rozpisany. Dzięki zdjęciom satelitarnym i aplikacjom takim jak Google Maps mogą wybrać teren do badań precyzyjnie.

Pułapki konstruują na miejscu. Spleciony z zielonych siatek wędkarskich worek powinien być otwarty od dołu. Właśnie na dole umieszczają talerz z przynętą. Owady skuszone zapachem, zwykle odchodów lub sfermentowanych krewetek czy ryb, wlatują do siatki, a gdy poczują się zagrożone, lecą w górę, w głąb worka.

– Na obszarach tropikalnych, takich jak Andy, łąk, a więc i kwiatów właściwie nie ma. W lesie tropikalnym kwiaty się pojawiają, ale wysoko, w koronach drzew. Wbrew naszym wyobrażeniom, motyle rzadko szukają tam nektaru jako źródła energii czy minerałów. Najczęściej żywią się gnijącymi owocami, odchodami zwierząt mięsożernych, jak pumy czy jaguary, a także, jeśli w okolicy są domostwa, psów – mówi prof. Pyrcz.

– Dlatego zdarzało się, że jeśli nocowaliśmy w pensjonacie wysoko w górach, a właściciele mieli psy, rano zbieraliśmy ich odchody. Ku radości wszystkich – dodaje prof. Pyrcz.

Pułapek instalują w terenie od kilkunastu do kilkudziesięciu, zwykle wzdłuż ścieżki. Przewyższenie między pierwszą a ostatnią wynosi 1500 metrów. Sprawdzają je codziennie, a znalezione w nich owady wyjmują najszybciej jak to możliwe, bo zniszczone stają się nieprzydatne do badań naukowych.

Nowe gatunki

Po powrocie przebierają motyle od razu. Jeśli przynoszą setki, a nawet tysiące odłowionych owadów, pracują do późnych godzin nocnych. By uzyskać jak najlepszy materiał do badań molekularnych, pobierają próbki DNA od razu, na miejscu. Odrywają pęsetą odnóża, zabezpieczają je w alkoholu, wkładają do fiolek, a potem każdą wprowadzają do komputerowej bazy danych.

– To niezwykle ważne, ponieważ informacja zawarta w materiale genetycznym pozwala z dużą precyzją oraz całkiem obiektywnie pomóc w identyfikacji gatunku. Każdy gatunek posiada unikalny kod DNA, jeśli więc użyjemy tego samego odcinka DNA do porównań, uzyskamy dobre narzędzie do szybkiej identyfikacji. Ta metoda jest tania, prosta, szybka i w większości przypadków skuteczna – mówi dr Garlacz.

Każdy okaz wkładają do osobnej koperty. Pilnują, żeby do kopert nie dostały się mrówki.

Odrzucają tylko te owady, które są bardzo zniszczone.

Zebrane motyle przywożą w papierowych pudełkach, bo te nie zatrzymują wody z parujących owadów i obniżają ryzyko pojawienia się pleśni, która niszczy materiał genetyczny. Po powrocie owady są preparowane, a następnie przemrażane przez minimum dziesięć dni, żeby do zbioru nie wprowadzić żadnych potencjalnych szkodników.

Rozkładają je potem, sortują, wybierają materiał do opracowania. Resztę niespreparowanego materiału przechowują w zamrażarkach. Pod każdym okazem jest etykietka z opisem: miejsce, data, wysokość, kto zbierał i w jakim środowisku.

– Zdarza się, że po przywiezieniu owadów do Krakowa i dokładnej identyfikacji, większość z nich okazuje się nowymi gatunkami – mówi dr Garlacz.

– Nie ma większej radości niż moment, w którym jesteśmy w terenie, złapiemy motyla i od razu wiemy, że to nowy gatunek – mówi prof. Pyrcz. – Coś pani pokażę – wstaje i po chwili wraca z gablotą pełną małych, mieniących się motyli o srebrnych skrzydłach. – Gdy je złapaliśmy, szczęka nam opadała. Środkowe Peru, na wysokości czterech tysięcy metrów.

– Piękne.

– Jeszcze jedną rzecz pani pokażę – mówi prof. Pyrcz. – Proszę za mną.

Szuka przez chwilę, wchodzi na drabinę, zmienia alejkę. – Szkoda, chyba został przeniesiony do drugiej części zbioru – mówi. – Chciałem pani pokazać pierwszego motyla, którego znalazłem jako dziesięciolatek w moim ogrodzie w Senegalu, gdzie wtedy mieszkałem.

– Skąd dziesięciolatek wiedział, jak zabezpieczyć złapanego motyla, by przetrwał tyle lat?

– Pierwszych wskazówek udzielił mi tata. Powiedział, jak preparować, jak rozkładać skrzydła, jak opisywać na etykiecie. Wyjaśnił podstawowe informacje o gatunkach. Z ciekawości zacząłem chodzić na zajęcia z biologii na uniwersytecie w Dakarze, a jeden z wykładowców pokazał mi wtedy pierwszy prawdziwy zbiór naukowy motyli.

©℗ ANNA GOC

Opis motyla śnieżnego pochodzi z tekstu opublikowanego w „Zoological Journal of the Linnean Society".

STANISŁAW

Mancewicz:
Fragment większej całości

Stwierdzenie, że świat, jaki znamy, się definitywnie skończył, jest solidnie udokumentowane. Nikomu przez kilka ostatnich pokoleń nie trzeba było tłumaczyć roli Ameryki w tutejszym imaginarium. Dziś trzeba by tę rolę na nowo i porządnie objaśnić, wciąż jednak nie bardzo wiadomo, o co chodzi.

Trzeba powiedzieć, że dziwnie, by nie rzec melodramatycznie brzmią stare pytania zadane w nowych czasach. Ot, takie dla przykładu, czy rola Ameryki jako ostoi wszelkiej wolności się skończyła? Czy jej – choćby symboliczna – rola naszej obrończyni jest aktualna? Czy Ameryka jako legendarnie kolorowa kraina z marzeń szarego Polaka wciąż istnieje? Czy Ameryka jako kraj infantylnych wyobrażeń uprawianych przez dorosłych ma jeszcze z owymi wyobrażeniami cokolwiek wspólnego?

Rzecz jasna, spora część ludzi – zwłaszcza w Polsce – widzi rolę USA wciąż tak samo jak wtedy, tzn. za czasów ZOMO, Breżniewa, Andropowa czy Czernienki – ale jest to klasyczna polska projekcja, marzenie, fantazja, coś, co lubimy nazywać myśleniem życzeniowym. Nie ma już żadnych komunistów, Sowietów ani nawet Ronalda Reagana i ówczesnych Amerykanów. Są inni, tu i tam, co powinno być źródłem rozmyślań i komentarzy. Niestety. Wytłumaczeniem – ale nie usprawiedliwieniem – dla sporej części naszej klasy politycznej jest smutna, bolesna prawda, jaką jest zawsze brak inteligencji, międlenie przeszłości, słaby refleks, niewłaściwe skojarzenia i skłonność do łatwizny, która bierze się zawsze z lenistwa i złej diety. Prawda o dzisiejszej sytuacji jest taka, że w Polsce – jakkolwiek to zabrzmi szokująco – niepotrzebni są chorobliwie nadpobudliwi ludzie żądni władzy po nic. Na pewno bez nich byłoby łatwiej, a na pewno mniej głupio. Nie da się ukryć, że są to marzenia ściętej głowy, bo czas rządów po wszystkich stronach oceanu nadpobudliwych i przebodźcowanych starszawych mężczyzn dopiero się zaczął.

Musimy tu rzec, że po latach obserwowania polskich polityków, którzy zawsze nam się widzieli jako osobny rodzaj aktywności białka krążącego w obiegu Drogi Mlecznej, spotkała nas przygoda niespodziewana. Oto Ameryką rządzi dziś zestaw postaci przecież jeszcze bardziej osobliwych. Często z szokującą przeszłością, niewierzących w rudymenty mikrobiologii, mających kłopoty z podstawami fizyki, chemii i geografii. Są to w sporej liczbie dziwacy z dziwacznymi pomysłami, dziwacznie widzący rzeczywistość, co często daje dobre efekty w robieniu i liczeniu pieniędzy, ale rzadko poza tym. Ludzie ci, skłonni do szokującego prostactwa, mają jako politycy codzienną skłonność do fragmentaryzowania przeszłości, teraźniejszości i zdaje się także przyszłości.

Nie jesteśmy niestety skorzy do żartów. Jedyna, ćwierć-śmieszna myśl kołacząca się nam po głowie dotyczy wypowiedzi Buddy'ego Cartera – amerykańskiego Republikanina, członka Izby Reprezentantów, człowieka pochodzącego ze stanu Georgia, z wykształcenia bodaj farmaceuty. Otóż ten energiczny polityk parę dni temu ogłosił, że Ameryka będzie wielka, gdy doda się do niej „Red, White and Blueland". Jest to jego wkład w najnowsze amerykańskie trendy modyfikowania nazw i dotyczy Grenlandii. Wydaje się więc, że poza wszystkim, przyszłość będzie obfitować w zmiany nazw geograficznych podyktowane przez amerykańskich aptekarzy. Można by już poprosić członków naszego parlamentu, by nie skandowali nazwiska człowieka, który zaproponuje nam zmianę nazwy kraju na „Red and Whiteland". Nie mamy złudzeń, że mogą te prośbę zignorować. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

REKLAMA

FUNDACJA Pomagam.pl

Przekaż 1,5% podatku

Fundacji Pomagam.pl i pomagaj najbardziej potrzebującym.

KRS **0000 353 888**

Wpisz numer **KRS 0000 353 888** przy rozliczaniu podatku dochodowego PIT, by nieść pomoc najbardziej potrzebującym razem z nami! Więcej informacji oraz odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania znajdziesz na: **pomagam.pl/procent-podatku**.

REKLAMA

Okrutnie zabawny i szczery donos na ojców złożony przez jednego z nich. Jak dobrze, że ktoś to w końcu napisał!

MIRA MARCINÓW

Bohater walczy ze swoim wewnętrznym trutniem, a Jarek Westermark przekuwa tę walkę w porywającą literaturę.

ALEKSANDRA ZBROJA

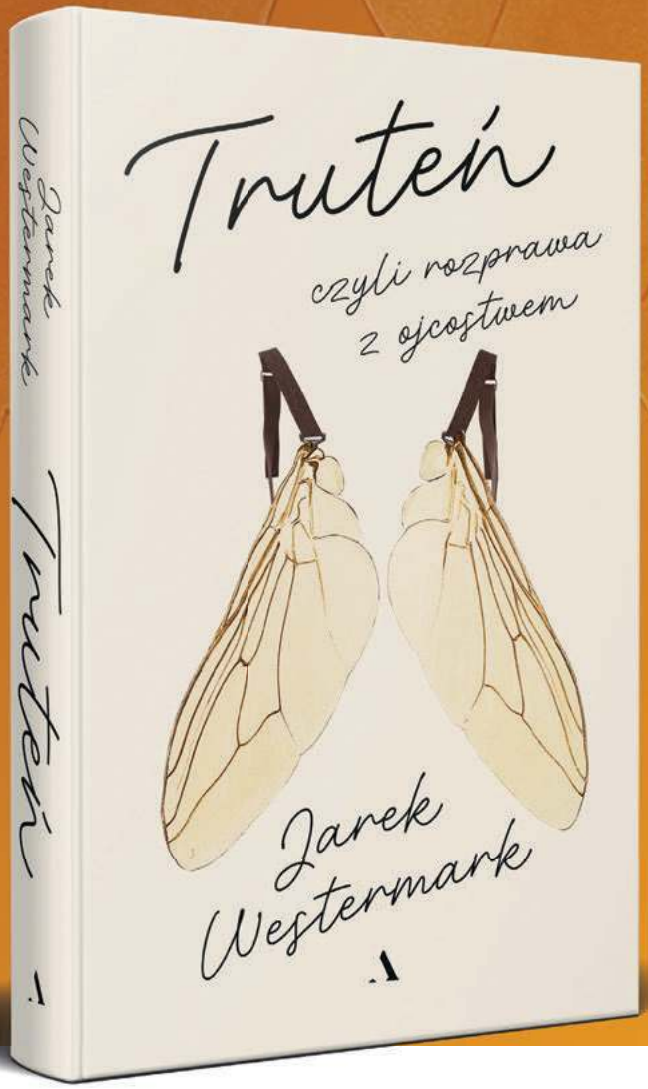

BRAWUROWA OPOWIEŚĆ O OJCOSTWIE, KTÓRA W NOWATORSKI SPOSÓB ŁĄCZY POWIEŚĆ Z OSOBISTYM ESEJEM, będącym podróżą w głąb „długiej nocy", gdy rodzicielstwo wydaje się senną marą rodem z body horroru. Ucieczka w świat ulubionych filmów i lektur wydaje się odpowiedzią na złowrogie podszepty trutnia, by odpuścić sobie trudy zaangażowanego ojcostwa. Czy takiej pokusie można się oprzeć?

PREMIERA 26 LUTEGO

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA **WWW.WYDAWNICTWOAGORA.PL**

KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora